

*Cyril M. Kornbluth*  
**SYNDYKAT**



**Cyril M. Kornbluth**

**SYNDYKAT**

Przełożył Andrzej Leszczyński

**Ilustracja na okładce***Royo*

# WSTĘP

„Dopiero czternastego lutego rząd ogłosił stan wyjątkowy. Bezpośrednią przyczyną stał się nalot bombowy, w wyniku, którego na wzgórzu Fort George w Nowym Jorku została zniszczona kompania B dwudziestej siódmej dywizji pancерnej. Przywódcy tamtejszego Syndykatu, przy znacznej pomocy studentów, nauczycieli oraz mieszkańców z sąsiedztwa, zajęli i ufortyfikowali budynek liceum George’a Washingtona. Akcji tej przewodził Thomas „Licznik” z Cleveland - człowiek, któremu inteligencja oraz niezwykle zdolności organizacyjne pozwoliły w wieku trzydziestu pięciu lat zająć jedno z czołowych miejsc w stołecznej organizacji podziemnej.

O piątej piętnaście pierwszy pułk dwudziestej siódmej dywizji zajął pozycje w następującym rejonie: kompania A u zbiegu ulicy sto dziewięćdziesiątej i alei Św. Mikołaja - jej zadaniem było odcięcie dostaw broni i amunicji do szkoły poprzez pobliską stację metra; kompanie B, C i D, gotowe do szturmu, rozmieszczono na stokach wzgórza Fort George. O piątej dwadzieścia pięć szesnaście czołgów Pattona kompanii B z rykiem silników ruszyły w kierunku szkoły, natomiast kompanie C i D zostały w odwodzie. Planowano otoczyć budynek z trzech stron - z czwartej, bowiem znajduje się urwisko - i otworzyć ogień w wypadku, gdyby Cleveland nie usłuchał przekazanego drogą radiową rozkazu bezwarunkowej kapitulacji.

Posterunek obserwacyjny znajdował się w sali widokowej na szczycie szkolnej wieży. Dostrzegłszy wyłaniającą się z pochyłości antenę radiową prowadzącego czołgu, Cleveland skontaktował się telefonicznie z wynajętymi pilotami, czekającymi w pogotowiu na pływającym lotnisku Syndykatu, które dryfowało poza siedmiomilową strefą przybrzeżną. Ci zaś, najlepsi fachowcy, mający za sobą lata pracy w służbach publicznych, już o piątej dwadzieścia sześć poderwali wszystkie maszyny w powietrze, a tym razem samoloty nie były załadowane alkoholem, papierosami czy szmuglowanym towarem. Po upływie trzech minut na czołgi kompanii B posypały się bomby raketowe; oddziały Clevelanda szturmem wzięły kwaterę dowództwa kompanii; rozpoczęły się walki.

Cała Ameryka Północna uważnie śledziła te wspańiałe wydarzenia, strategię inspirowaną największymi dokonaniem w historii wojen - niezapomniane oświadczenie Clevelanda: „To cudowny dzień dla całej ludzkości!”; Jego śmierć na czele oddziałów szturmujących garnizon Fortu Tottena; Amadeo Falcaro gromadzącego w swych rękach kolejne ogniwa władzy; konferencje, zawieszenia broni, akty zdrady i egzekucje zakładników; Traktat z Las Vegas oraz wspólne wystąpienie Syndykatu i Zgromadzenia przeciwko siłom rządowym; zdradę O’Toole’a z Kontynentalnej Agencji Prasowej i krwawą bitwę o przejęcie kontroli nad tym ważnym centrum nerwowym; decydujący Marsz na Baltimore...”

B. Arrowsmith Hynde: *Zarys historii Syndykatu*  
*Kiedy zakłębom mocy brak,*

*Czar się nie spełnia żaden,*

*Nie w zamązpójściu przyszłość twa.*  
*Nie pij studziennej wody.*

*Z kory i pędów sidła płeć Na sarny i króliki.*

*Nie poluj nigdy, włóczy swej Grot kładąc do trucizny.*

*Ta, co być może w tobie jest,*

*Nie cierpi zgubnej stali.*

*Przeklnij więc i zaprzysiąż śmierć Na cały cech kowali.*

*Zanim trzynaście skończysz lat Mężczyzny znać nie możesz,*

*A wówczas ona, pani twa,*

*Na pewno zdejmie klątwę.*

fragment *Instrukcji dla wróżek* ok. r. 2150

„Nigdy nie została stworzona precyzyjna historia przyszłości, a fakt ten, według mnie, jest wystarczającym argumentem przeciwko uznawaniu historii za naukę ścisłą. Astronomowie biedzą się nad problemem oddziałujących na siebie trzech ciał i rozkładają bezradnie ręce wobec problemu czterech ciał. Tymczasem dowolnie wybrany moment historyczny przedstawia sobą problem co najmniej dwóch miliardów ciał. W związku z tym wszelkie próby opisanie realiów historycznych uporządkowanymi równaniami zawierającymi różne zmienne wydają mi się z góry skazane na niepowodzenie. Można obliczyć średnie wielkości opadów atmosferycznych, wykreślić krzywe sumarycznych przewozów ładunków, wyznaczyć wartości przyrostu naturalnego czy stopnia wykorzystania patentów, za nic w świecie nie da się jednak opisać matematycznie okresowych wysypów karbunkułów na twarzy Karola Marksa - nawet, jeśli wziąć pod uwagę, choć fakt ten odkryto znacznie później, że dokuczliwa infekcja gronkowcem złocistym nie pozostała bez wpływu na kształt dwudziestowiecznego totalitaryzmu. Z punktu widzenia patologii podobne zestawienia można by ciągnąć w nieskończoność: epilepsja Juliusza Cezara, nieżyt żołądka Napoleona, paraliż Wilsona, alkoholizm Granta, uschnięta ręka Wilhelma II, nimfomania Katarzyny Wielkiej, niedowład Jerzego III, głuchota Edisona, ślepotą Eulera, jąkanie się Burke'a i tak dalej. Czy znajdzie się ktoś na tyle nierozsądny, aby twierdzić, że świat dzisiejszy byłby taki sam, jakim jest, gdyby Marks, Cezar, Napoleon, Wilson, Grant, Wilhelm II, Katarzyna Wielka, Jerzy III, Edison, Euler i Burke - żeby już pozostać tylko przy tych jedenastu postaciach - byli zupełnie innymi ludźmi? A przecież wielkie teorie przeobrażeń historycznych w ogóle nie uwzględniają karbunkułów na twarzy Marksa. Jeśli chodzi o ścisłość, żadna znana mi teoria historyczna nie bierze tego faktu pod uwagę.

Czyżbym, więc dążył do twierdzenia, że historia - ta przeszła, jak i przyszła - jest absolutnie niepoznawalna; że musimy brnąć naprzód w całkowitych ciemnościach, zapominając o planowaniu, gdyż żaden plan nie może być dokładny, a jego zastosowanie nie przyniesie spodziewanych rezultatów? Nie, skądże! Wyrażam jedynie mój sprzeciw skierowany do tych, którzy zajmują stanowiska ekstremalne, którzy mienią się strażnikami odwiecznych prawd, piastunami ognia. Ich, bowiem nie dręczą pytania dotyczące celów i wiodących do nich dróg, które zajmują nas wszystkich. Oni są przekonani, że ich cel jest słuszny, a co za tym idzie, że kwestia wyboru jest sprawą trywialną. My wszyscy natomiast,

nie mając tejże pewności, że znamy idealne rozwiązanie problemu oddziałujących na siebie dwóch miliardów ciał, jakim jest historia, o wiele bardziej skłaniamy się ku rozważaniom na temat środków wiodących do przyświecającego nam celu...”

F. W. Taylor *Organizacja, Symbolizm i Morale*

# ROZDZIAŁ I

Charles Orsino rozpoczął swą karierę od pewnego szczebla organizacyjnej hierarchii, chociaż - co prawda - nie był to szczebel dość wysoki. W jego żyłach płynęło zaledwie kilka kropli krwi rodu Falcaro: wystarczająco, by znalazło się dla niego jakieś miejsce, lecz zdecydowanie za mało, żeby było to miejsce odpowiednie. Polegając wyłącznie na dobrej woli F. W. Taylora, który zaopiekował się nim po tym, jak jego rodzice zginęli podczas eksplozji reaktora brooklyńskiego w roku osiemdziesiątym trzecim, miał szansę zdobyć znaczącą pozycję w branży alkoholowej, wyścigów konnych, naboru i opieki nad prostytutkami czy w jakiegokolwiek innej siatce, gdyby wykazał się odrobiną zdolności. Lecz tego wiosennego popołudnia, mając dwadzieścia dwa lata, pełnił rolę poborcy w okręgu sto pierwszego komisariatu policji w Nowym Jorku. Było to zwykłe zajęcie wszystkich początkujących członków Syndykatu; nie ufano policjantom, którzy często narzucali klientom wyższe stawki, chowając różnicę do własnej kieszeni.

Znudzony wędrował ulicami, rutynowo odwalając nieprzyjemną czynność ściągania forsy, a myślami wciąż wracał do porannej partii polo, podczas której omal się nie zbłąźnił.

- Dobry wieczór, panie Orsino. Jak to miło znowu pana widzieć. Czy zechce pan wypić szklankę schłodzonego piwa, zanim przygotuję podatek?

- Nie, dziękuję, panie Lefko. Jak pan wie, intensywnie trenuję. Szkoda, że nie mogę obstawić u pana kilku zakładów. Siedem telefonów, prawda? Po dziesięć dolarów od rozmowy?

- Zgadza się, panie Orsino. Za chwilę będę gotów, muszę jeszcze odebrać typowania na siódmą gonitwę, w Hileach. Wszystkie panie postawiły na szkapę nazwaną Ognistą Myszą, chyba tylko, dlatego, że podobało im się jej imię. W ten sposób pewnie będę miał obszerną listę dłużników. Wrócę za minutkę.

Lefko podszedł do telefonu i zaczął się targować z bookmacherem. Charles obrzucił niewidzącym spojrzeniem tłum wymieniających uwagi i chichoczących graczy. („Panie Orsino, czy przyszedł pan tu znowu, żeby robić z siebie małą i marnować mój czas? Do diabła, człowieku! Jak się ma pięćdziesiąt kolejek do chukkeru, to nie oddaje się przeciwnikowi partii!” Charles uśmiechnął się krzywo. Stary Gilby, sędzia polo, potrafił się strasznie wściekać, kiedy jakiś dureń marnował szansę w jego ulubionej grze. W ostatniej rozgrywce Charles był przekonany, że Benny’emu Grashkinowi lada moment zepsuje się prychnący przeraźliwie dżip, a on tym sposobem zyska możliwość strzału do darmowej piłki, kiedy Benny będzie wymieniał maszynę. Stary Gilby odgwizdał jednak przerwę i nie chciał słuchać żadnych logicznych argumentów. „Do pioruna, człowieku! Kiedy wreszcie wy, młodzi zapaleńcy, zrozumiecie, że aby nauczyć się chodzić, trzeba najpierw poraczkować? Chciałbym zobaczyć drużynę, która konsekwentnie dąży do zwycięstwa, drużynę z prawdziwego zdarzenia, panie Orsino!”)

- Proszę, oto pieniądze, panie Orsino. W samą porę. Właśnie rozpoczyna się siódma gonitwa.

Charles uściśnął dłoń właściciela i ruszył w stronę wyjścia pośród nasilających się okrzyków pań, które wbijały oczy w ekran telewizora.

- Ognista Mysz! Ognista Mysz!

Na jednym z najwyższych pięter wieżowca Syndykatu F. W. Taylor - dla Charlesa po prostu

wuj Frank - wrzeszczał wniebogłosy na potężnie zbudowanego, przygarbionego mężczyznę. Thornberry, prezes Krajowego Banku Kredytowego, stał z cierpiętniczą miną, co tym bardziej rozwścieczało Taylora.

- Jeszcze jeden taki numer, Thornberry - darł się Frank - a wylądujesz w pokoiku bez klamek! Kiedy odpowiedzialny członek Syndykatu wybiera twój bank i chce zaciągnąć kredyt, to masz go udzielić bez zbędnego gadania o gwarancjach. Wy, bankierzy, sędzicie chyba, że nadal mamy średniowiecze, a wasze ukochane świstki papieru wciąż posiadają tajemną moc. Przejrzyj wreszcie na oczy! Nikt poza tobą nie przywiązuje już do tego wagi. Niewzruszone prawa ekonomii przeszły tak samo do historii jak Dagon czy Isztar, zresztą z identycznych powodów. Wymarli ich czciciele. Nie macie już żadnej mocy, aby przesuwac pionki na planszy. Jesteście przeżytkami wartymi tyle samo, co niebiorący udziału w rozgrywce pokera bankier. Teraz liczy się jedynie Syndykat, który odznacza się własną moralnością, akceptowaną przez społeczeństwo. Czy to jasne?

Thornberry wymamrotał coś o źródłach gotówki i płatności na każde żądanie. Taylor głośno parsknął.

- Źródła gotówki, płatność na żądanie! Urim i Tumim! To ty powinieneś znaleźć źródła pieniędzy, Thornberry! Właśnie ty! Do cholery, nie mam czasu, żeby robić ci tu wykład. Zapamiętaj sobie to, co powiedziałem, i nie dyskutuj. Dla członków Syndykatu masz mieć nieograniczone kredyty. Jeśli ktoś przeciągnie strunę, my będziemy się tym martwić. A teraz wynoś się!

Thornberry, z oczyma błyszczącymi od starczych łez, posłusznie wykonał polecenie.

Mamuśce Maginnis opadła szczeka na widok Charlesa Orsino wchodzącego do Pubu Starych Zboreźników.

- Zawsze miło mi pana widzieć, panie Orsino, obawiam się jednak, że w tym tygodniu nasze spotkanie nie będzie dla pana najprzyjemniejsze.

Ta zawsze coś kręciła.

- Jak mam to rozumieć, pani M.? Dla mnie każde spotkanie z klientem stanowi przyjemność.

- Chodzi o interes, panie Orsino. O ten interes. Proszę mi wybaczyć, ale muszę powiedzieć, że nie mam najmniejszego pojęcia, w jaki sposób odłożyć dwadzieścia pięć dolarów tygodniowo, choćby mnie pan posiekał na kawałeczki. Mogłabym płacić piętnaście, ale...

Charles zrobił groźną minę, chociaż był w bardzo pogodnym nastroju. Podobne sytuacje zdarzały się codziennie.

- Chyba pani rozumie, pani Maginnis, że w ten sposób obniża się dochody Syndykatu. Jakie poczucie bezpieczeństwa mieliby mieszkańcy terytorium Syndykatu, gdyby wszyscy postępowali tak jak pani?

Mamuśka zerknęła na niego spod oka.

- Wydaje mi się, panie Orsino, że taki młody człowiek, jak pan, pewnie często miewa ochotę na dziewczynę... - W tej samej chwili, jakby dla zachęty, z zaplecza wyszła córka pani Maginnis i zaczęła wycierać ścierką kontuar. - Poza tym - kontynuowała matka - dla każdej młodej damy spędzenie wieczoru z dżentelmenem z Syndykatu byłoby wyjątkowym zaszczytem...

- Możliwe - mruknął Charles, zaczynając nagle rozmyślać nad tą propozycją. O wiele bardziej wolałby spędzić wieczór z dziewczyną niż na przedstawieniu festiwalu

szekspirowskiego, jak zaplanował, istniały jednak pewne przeszkody. Po pierwsze, byłoby to przekupstwo. Po drugie, dziewczyna mu się nawet podobała, lecz wizja pani Maginnis, jako jego teściowej spowodowała tak bolesny skurcz żołądka, że szybko odegnał ją od siebie. Po trzecie, miał już kupione bilety dla siebie i członków ochrony.

- Co się tyczy podatku - rzekł zdecydowanym głosem - w tym tygodniu niech będzie piętnaście. Jeśli w przyszłym tygodniu interesy nadal będą szły tak źle, zostanę zmuszony do przejrzenia pani ksiąg rachunkowych, aby zdobyć pewność, czy możliwa jest stała redukcja podatku.

Pani Maginnis zrozumiała konkluzję i nieco się zaczerwieniła.

- Jestem pewna - rzekła, kładąc na kontuarze odliczoną kwotę - że nie będzie to konieczne. Mam nadzieję, że to jedynie chwilowy kryzys.

- Znakomicie. - Chcąc okazać, że nie żywi w stosunku do niej wrogich uczuć, Charles zapytał jeszcze: - Jak się miewają pani mężowie?

- Jako tako. Alfie w tym tygodniu jest w drodze, a Dinnie'emu znowu dokucza reumatyzm, ale chyba stanie za barem nieco później, kiedy nie będzie już takiego tłoku.

- Proszę mu powiedzieć, pani Maginnis, żeby zajrzał do przychodni rejonowej i powołał się na moje nazwisko. Może lekarz zdoła mu nieco ulżyć.

Wyszedł, odprowadzany słowami podziękowań.

Zawsze odczuwał radość, kiedy mógł pomóc miłym ludziom; przyjemnie było chodzić po zalanych słońcem ulicach, odwzajemniać ukłony i odpowiadać na serdeczne powitania. (Tylko ta drużyna, która miała konsekwentnie dążyć do zwycięstwa, nie dawała mu spokoju. Ale to nie była tylko jego wina. Vladek zmarnował idealną okazję, za wcześnie wypalił ze swojej pięćdziesiątki i posłał piłkę na aut. Przed następnym gwizdkiem Gilby'ego musieli się wszyscy pospiesznie cofnąć i zarzynając silniki, na nowo uformować szpicę w kształcie litery V.)

Nerwowy młodzieniec w nowojorskim Krajowym Centrum Obsługi Prasowej po raz pierwszy zetknął się z takim problemem. Stał jak sparaliżowany przed pulpitem, na którym systematycznie mrugały trzy lampki awaryjne, oznaczające przerwanie łączności Nowego Jorku z Kansas City, Hialeah oraz z Bostonem.

Kierownik zmiany zajął jego miejsce i błyskawicznie połączył się z sekcją techniczną. Gdy na ekranie ukazała się twarz uśmiechniętego mężczyzny, rzucił szybko:

- Sprawdź linie do Hialeah, Bostonu i Kansas City, Micky. W tej właśnie kolejności.

- Już się robi - odparł technik i zniknął.

Kierownik odwrócił się w stronę młodzieńca.

- Nie wiedziałeś, co robić? - zapytał z isticie genialną domyślnością. - Nie przejmuj się.

Następnym razem będziesz już wiedział. Zwróciłeś uwagę na priorytet połączeń?

- Tak - bąknął chłopak.

- To nie przypadek, że kazałem mu sprawdzać w tej właśnie kolejności. Najpierw Hialeah, które jest najważniejszym miastem. Większość pieniędzy pochodzi z obsługi wyścigów konnych. Wydaje mi się, że na początku było to jedyne źródło naszych dochodów. Rzecz jasna, klienci torów wyścigowych często zalegają z opłatami, ale za to nigdy nie protestują. Nic ich przecież nie zmusza do wydawania forsy, no nie? W drugiej kolejności Boston. To zwykła linia publiczna, zwłaszcza, że teraz nie odbywają się targi. Obsługa linii publicznych nie przynosi nam prawie żadnych korzyści, opłaty są bardzo niskie, ale musimy się tym zajmować dla dobra społeczeństwa. Dopiero na końcu Kansas City. To również linia publiczna, ale jedna



jej centrala znajduje się już na terytorium Zgromadzenia. Nie widzę żadnego powodu, dla którego mielibyśmy się śpieszyć z obsługą Regana i jego chłopców. Naprawimy to połączenie dopiero wtedy, kiedy pozostałe dwa będą już czynne. Teraz rozumiesz?

- Tak - mruknął młodzieniec.

- To świetnie. Do wszystkiego trzeba podchodzić ze spokojem.

Kierownik wrócił na swoje miejsce i zajął się sprawdzaniem rachunków. Nie była to pilna praca, nie chciał jednak zdręzczać chłopaka gadaniem. Ciekaw był tylko, czy tamten wszystko zrozumiał. Raczej nie, to naturalne. Trzeba mieć spore doświadczenie, żeby szybko zorientować się w sytuacji, a motywacja ludzi powoli ulega zmianie. Na początku każdy myśli tylko o tym, by zdobyć ciepłą posadkę i zaoszczędzić trochę forsy. Po latach stopniowo dochodzi się do wniosku, że człowiek poświęca się pracy z zupełnie innych powodów, zwłaszcza, gdy ma sympatycznych, uczciwych współpracowników. Nie można działać na szkodę Syndykatu. Klienci płacą za to, by mieć trochę uciechy. Byliby nawet gotowi oddać ostatnie pieniądze za odrobinę rozrywki.

W drodze na sto pierwszy komisariat policji Charles poczerwieniał, kiedy przypomniał sobie tyradę, jaka nastąpiła po ostatnim gwizdku Gilby'ego. „Panie Orsino, czy jako kapitan drużyny miałby pan śmiałość zaprzeczyć, że każda niebezpieczna piłka powinna być wyeliminowana z gry? Bo chyba musi pan przyznać, że ostatni strzał pana Vladeka wyrzucił piłkę poza pole gry, zwiększając w ten sposób możliwość groźnego rykoszetu.” Staruch miał oczywiście rację, ale tego typu strzały były praktykowane, zwłaszcza na początku rozgrywki. Nie można aż tak drobiazgowo sędziować partii treningowych, tym bardziej, że używali regulaminowej, opancerzonej, stalowej piłki o średnicy czterdziestu centymetrów, za którą w każdym sklepie trzeba było zapłacić aż trzydzieści dolarów.

Minął oznakowane dwoma zielonymi latarniami wejście komisariatu i rzucił torbę z pieniędzmi na biurko sierżanta. W tej samej chwili dyżurny rozpoczął przemowę.

- Nie chciałbym pana zanudzać osobistymi problemami moich ludzi, panie Orsino, pomyślałem jednak, że może zgodziłby się pan poświęcić sto dolarów na premię dla jednego, niezwykle sumiennego młodzieńca. Chodzi o posterunkowego Gibneya, który od siedmiu lat pełni służbę w sto pierwszym komisariacie i nie popełnił dotąd żadnego wykroczenia. Dwukrotnie był wyróżniony, za zastrzelenie włamywacza i za ujęcie kanciarza w punkcie przyjmowania zakładów pana Lefko. Pięć lat temu Gibney się ożenił i ma dwójkę dzieciaków, urwisy spod ciemnej gwiazdy. Sam pan rozumie, jak bardzo potrzebna mu forsa. Teraz chce się ożenić ponownie, stracił głowę dla jakiejś dziewczuchy, a jego pierwsza żona nie ma nic przeciwko temu, twierdzi, że bardzo jej się przyda pomoc w domu. Chcą wyprawić huczne wesele.

- Jeśli wystarczy mu na to setka, to w porządku - odparł Charles i uśmiechnął się - Proszę mu złożyć najlepsze życzenia ode mnie.

Podzielił stosik banknotów na dwie równe części, dołożył do jednego z nich setkę, a drugi wsunął do kieszeni.

Dostarczył następnie pieniądze do kasy Syndykatu, zjadł obiad w jednym z nieciekawych barów w wieżowcu, po czym wrócił do swego wynajętego pokoiku w śródmieściu. Przeczytał jeden rozdział najnowszej książki F. W. Taylora, czyli wuja Franka, zatytułowanej „Organizacja, Symbolizm i Morale”, niewiele jednak zrozumiał. W końcu wziął kąpiel i przebrał się w strój wieczorowy.



## ROZDZIAŁ II

Do jednego z niechlujnie umeblowanych pokoi w budynku Syndykatu weszła szczupła, ładna dziewczyna, dyskutując zawzięcie z siwobrodym, starszym mężczyzną o długim, haczykowatym nosie.

- Mój drogi przodku - wycedziła, siląc się na uprzejmość.

- Do cholery, Lee! Nie nazywaj mnie swoim przodkiem. W ten sposób sprawiasz, że czuję się, jakbym już nie żył.

- Sądząc po twojej argumentacji, byłoby to dość bliskie prawdy.

- Przestań, Lee. - Mężczyzna sprawiał wrażenie pokonanego i gotowego do kapitulacji.

- Och, nie miałam zamiaru zranić twoich uczuć, Edwardzie... - Zerknęła na niego spod przymrużonych powiek i niespodziewanie zmieniła ton. - Posłuchaj mnie, ty stary diable. Nie dam się nabrać na twoje sztuczki. Nie byłabym zdolna zranić twoich uczuć nawet za pomocą tępej siekiery. Wybij sobie z głowy, że dam się na coś takiego namówić. To byłoby wysłanie człowieka na pewną śmierć. Poza tym tamci dwaj zginęli w wypadkach.

Dziewczyna odwróciła się i zaczęła wodzić palcami po półokrągłym ekranie, otaczającym wielki obudowany aparaturą fotel, na który skierowane były trzy projektory.

- A jeżeli nie? - zapytał cicho mężczyzna. - Tom McGurn i Bob to byli fachowcy, trudno znaleźć lepszych. Jeśli ten przeklęty rząd zamierza wykańczać nas po kolei, to nie możemy przecież siedzieć bezczynnie. Mam wrażenie, że jesteś jedyną osobą zdolną do podjęcia jakiejś akcji.

- To znaczy: do wszczęcia wojny - rzekła z goryczą. - „Zetrzeć ich z powierzchni ziemi”. Czy nie tak grzmiał Dick Reiner, kiedy byłam jeszcze w pieluszkach?

- Owszem - mruknął siwobrody. - Zresztą nadal powtarza to samo, chociaż ty... nosisz to, co obecnie noszą wszystkie młode damy. Obiecuj mi coś, Lee. Jeśli zdarzy się jeszcze jeden wypadek, pomożesz nam zająć się tą sprawą?

- Jestem pewna, że nic więcej się nie wydarzy - odparła. - A więc mogę ci to obiecać. I niech cię ręka boska broni, Edwardzie, byś sam próbował coś sfingować. Mówiłam ci już, ale powtórzę raz jeszcze: to byłoby wysłanie człowieka na pewną śmierć.

Charles Orsino dokładnie przyglądał się swemu odbiciu w trzyczęściowym lustrze.

Żałował, że pas z bronią nie jest tak samo, nowy jak garnitur. Kabura zwieszała się ciężko przy biodrze. Dostał ją w prezencie na osiemnaste urodziny - wtedy, gdy młodzieńczy pas zapinany przez piersi okazał się na niego za mały. Ale z tym zakupem musiał jeszcze poczekać, ów reprezentacyjny wieczór i tak kosztował go za dużo. Pięciu ludzi ochrony! Skrzywił się na to wspomnienie. Należało jednak pokazywać się w odpowiednich miejscach, na dodatek z właściwą obstawą, inaczej w ogóle nie miałyby to sensu.

Przez chwilę delectował się myślą, że być może spotka w teatrze niezwykle piękną dziewczynę, która uzna go za interesującego, przystojnego mężczyznę i świetnego gracza polo, a która poza tym okaże się w prostej linii dziedziczką rodu Falcaro, mającą bardzo wpływowych krewnych...

- Mówi Halloran, szef pańskiej ochrony - rozbrzmiało w głośniku domofonu. - Limuzyna została podstawiona, panie Orsino.

- Dziękuję, Halloran - rzekł wyniośle, tak jak trenował to rano w łazience, po czym ruszył na dół.

Czekał na niego wspaniały samochód, a ochroniarze byli ubrani bez zarzutu. Należało pamiętać, by po przyjacielsku traktować ich szefa, natomiast w stosunku do pozostałych zachować pewien dystans. Wóz prowadził Halloran. W czasie drogi Charles zamienił z nim kilka słów na temat przedstawienia: miała to być współczesna inscenizacja „Juliusza Cezara”. Szef ochrony powiedział, że słyszał najlepsze opinie o tym dramacie.

Ich pojawienie się w holu teatru imienia Costello nie wywołało żadnej sensacji. Cóż, pięcioosobowa obstawa nie należała do specjalnie licznych, chociaż w pobliżu nie było innych członków Syndykatu. Nie widać też było pięknej dziewczynki rodu Falcaro. Charles zamienił kilka zdań z reżyserem telewizyjnym, którego znał z widzenia. Ten stwierdził, że teatr jest instytucją dogorywającą, a Harry Tremie, grający Brutusa, stworzył znakomitą kreację, chociaż nie pamięta dobrze tekstu.

W pewnej chwili Halloran szepnął Orsino do ucha, że już pora zająć miejsca. Szef ochrony był cały zlany potem, Charles nie miał jednak odwagi zapytać go o przyczynę zdenerwowania. Na widowni wybrał fotel przy ścianie, obstawa natomiast usiadła z przodu, za nim i z boku.

Kurtyna poszła w górę przy dźwiękach piosenki „Nowy Jork, ulica A”.

Pierwsza scena - rozpoczęta chwilą ciszy przeznaczoną na to, żeby wierzycięty usiadły spokojnie, a kasłacze przestali kasłać - przedstawiała trójwymiarowy obraz Times Square z umieszczonym na makiecie, stylizowanym frontonem biura rzecznika praw obywatelskich.

Kiedy na scenę wkroczył Cezar, Orsino zdumiał się, a po całej widowni przeleciał szmer. Aktor był ucharakteryzowany na Francuza Letoura, jednego ze słynnych działaczy Zgromadzenia, bohatera ludowego, który nie bał się stawiać wszystkiego na jedną kartę. Już to zapowiadało ciekawą inscenizację.

- Hola! Milczcie: Cezar mówi!

Zaraz po tych słowach snop światła przesunął się w stronę siedzącego w głębi sceny wieszczka - rzecznika praw obywatelskich - a następnie ku Brutusowi i Kasjuszowi, po czym nastąpił ich długi, złowróżbny dialog. Z początku Brutus stał tyłem do publiczności, lecz zaczął się powoli obracać...

- Cóż to za okrzyk? Lękam się, czy tylko lud nie chce królem obwołać Cezara.

I oto można było dostrzec, że Brutus przypomina Falcaro, starego Amadeo Falcaro we własnej osobie, z długą brodą, orlim nosem i krzaczastymi brwiami.

Robiło się coraz ciekawiej. Przedstawienie wyraźnie nawiązywało do Traktatu z Las Vegas, kiedy to Letour czynił wszelkie starania, żeby ściśle powiązać ze sobą Syndykat i Zgromadzenie, natomiast Falcaro zależało jedynie na krótkotrwałej, wyłącznie militarnej unii. Przez chwilę Charlesa ogarnął żal, iż to nie Falcaro odtwarza postać tytułową, musiał jednak przyznać w duchu, że Tremaine odgrywa energicznego, wyniosłego Falcaro takim, jakim on jest. Kiedy Cezar ponownie wkroczył na scenę, kontrast między obiema postaciami stał się dobrze widoczny: Cezar-Letour był człowiekiem nerwowym i przerażonym. Do końca aktu pierwszego wszyscy zachowywali się po przyjacielsku; Charles doszedł do wniosku, że sprawy między nimi jakoś się ułożą i zamierzał już uciąć sobie drzemkę, kiedy nagle Kasjusz oznajmił:

- Dobrze oceniłeś prawdziwą jego wartość i powody, które go czynią nam potrzebnym.

Nic nadzwyczajnego, pomyślał Orsino, tłumiąc ziewnięcie. Poświęcenie życia dla Syndykatu i tak dalej, tyle, że w dość niecodziennej formie, wytwornej i ugrzecznionej, niczym pawana w Roselandzie. Czasami - dajmy na to, w trakcie krótkiej przerwy w meczu polo - zastanawiał się, czy ludzie w tamtych czasach naprawdę zachowywali się tak wytwornie

i kulturalnie. Czyszkę w trzecim roku rządów Amadeo Falcaro musieli przeprowadzać ludzie o stalowych nerwach. Dwa tysiące zabitych w ciągu trzech dni, jak głosiły podręczniki historii, komentując zarazem, że ci, których czyszka objęła, byli istotami skostniałymi, niegodzącymi się z reformami, ludźmi już niepotrzebnymi, niepotrafiącymi zrozumieć, że przyszłość leży jedynie w budowaniu nowego pod sztandarami organizacji.

Halloran delikatnie położył mu dłoń na ramieniu.

- Za chwilę będzie przerwa, proszę pana.

Aktorzy zeszli ze sceny i kurtyna opadła przy ogłuszającym aplauzie. Ludzie na widowni zaczęli się podnosić z miejsc. I wtedy stała się rzecz niesłychana.

Halloran ruszył pierwszy; Charles szedł tuż za nim, w otoczeniu czterech ochroniarzy. Kiedy Halloran minął schody i stanął w przejściu na korytarz, odwrócił się twarzą w stronę Orsino i rozpoczął dziwaczną pantomimę. Dopiero po chwili Charles pojął, że Halloran sięga po pistolet tkwiący w kaburze.

- Jezu! - syknął cicho idący po lewej stronie ochroniarz i rzucił się w kierunku Hallorana, który zdołał właśnie wydobyć broń. Rozległ się przytłumiony strzał z pistoletu kalibru 0,45. Tuż obok prawego ucha Charlesa huknął drugi, ogłuszający strzał. W przejściu na korytarz bezładnie osunęły się na podłogę dwa ciała. Dokoła rozbrzmiały krzyki ludzi. Ktoś o przenikliwym głosie zawołał:

- Proszę zachować spokój! To część przedstawienia! Nie ma się, czego bać! To inscenizacja!

Mężczyzna szybkim krokiem podszedł do drzwi, umilkł nagle, a gdy ujrzał krew, zemdłał.

Jakaś kobieta zaczęła walić pięściami w pierś ochroniarza stojącego po prawej stronie Charlesa, wołając:

- Coś ty zrobił mojemu mężowi?! Zastrzelełeś mojego męża! - Miała na myśli tego mężczyznę, który zemdłał w przejściu. Charles odciągnął ją od strażnika.

Przedostali się jakoś do holu, przy czym większość ludzi poszła tłumnie za nimi. Trzej pozostali ochroniarze usiłowali trzymać ich na dystans. Charles stwierdził, że nic nie słyszy na prawe ucho, miał jednak nadzieję, że to minie. Nie było to zresztą jego największe zmartwienie. Halloran chciał go zabić. Strażnik o nazwisku Weltfisch zasłonił go własnym ciałem, a drugi, Donnel, zastrzelił szefa ochrony.

- Od dawna znałeś Hallorana? - zwrócił się do Donnela. Ten, nie spuszczać oka ze zgromadzonych ludzi, odparł:

- Od kilku lat, proszę pana. Był po prostu jednym z wielu w dziale ochrony osobistej.

- Zabierzcie mnie stąd - polecił Orsino. - Jedziemy do budynku Syndykatu.

W obszernej, czarnej limuzynie niemal całkowicie zapomniał o przerażających wydarzeniach, chciał zresztą jak najszybciej o nich zapomnieć. Ta strzelanina miała zupełnie inny charakter niż w rozgrywkach polo - tutaj chodziło o zabicie przeciwnika.

Samochód zatrzymał się przed gigantycznym frontonem wieżowca Syndykatu, przeszli rutynową kontrolę i wjechali przez ogólnie dostępną bramę. Platforma uniosła wóz z pasażerami w górę, mijali wydziały Kontroli Obrotu Alkoholem, Badania i Jakości Alkoholi, Transportu, Nadzoru Handlu Dziełami Sztuki, Oczyszczania i Renowacji, Rekrutacji i Zatrudnienia Kobiet, a także wiele innych, których Charles nie miał jeszcze okazji odwiedzić, chociaż był członkiem Syndykatu. Wreszcie winda zatrzymała się automatycznie; tabliczka u wejścia na piętro informowała: „Wydział Ścigania i Praw Obywatelskich”.

Była dopiero za kwadrans dziesiąta, F. W. Taylor powinien znajdować się w swoim

gabinecie.

- Zaczekajcie tu, chłopcy - rzekł Charles, po czym szepnął kilka słów szyfru do mikrofonu. Drzwi rozsunęły się błyskawicznie.

Taylor z szybkością karabinu maszynowego nagrywał coś na dyktafon. Wyglądał na piekielnie zmęczonego. Kiedy Charles wszedł do pokoju, wuj Frank spojrzał na niego spod ściągniętych brwi, lecz szybko na jego twarzy odmalowała się ulga.

- Charles, mój chłopcze! Siadaj, proszę! - zawołał, wyłączając dyktafon.

- Wuju...

- To miło, że wpadłeś do mnie. Myślałem, że wybierasz się dziś do teatru.

- Byłem w teatrze, wuju, ale...

- Przeglądam właśnie tekst do kolejnego wydania „Organizacji, Symbolizmu i Morale”.

W życiu byś nie zgadł, kto mnie do tego nakłonił.

- Chyba bym nie zgadł. Wuju...

- Stary Thornberry, prezes Krajowego Banku Kredytowego. Wyobraź sobie, że był na tyle bezczelny, aby odmówić udzielenia kredytu młodemu McGurnowi. Ach, ci bankierzy! To nie do wiary, że ludzie przywykli błagać ich o wypłatę własnych pieniędzy czy też o korzystne zainwestowanie swoich dochodów, jakby byli niewolnikami. Nawet więcej - domagają się tego, podobnie jak żądają tanich trunków, papierosów, różnych towarów konsumpcyjnych, czystych kobiet czy szansy wygrania fortuny. Jak wiesz, to nasi przodkowie, którzy kiedyś byli obiektem drwin, wyrobili w nich te nawyki. Jeśli rozprawiali towary i świadczyli usługi po takich cenach, że każdy mógł sobie na nie pozwolić, nazywano ich kryminalistami.

- Wuju!

- Tak, chłopcze! Wiem, co chciałbyś powiedzieć. Nikogo nie można ogłupiać w nieskończoność! Gdy wreszcie mieli dość obelg i restrykcji, wystąpili zbrojnie. Ludzie muszą mieć wolność wyboru, a Falcaro i cała reszta poprowadzili ich pod sztandarami Syndykatu oraz Zgromadzenia, uwięzili rząd i wysłali go za morze.

- Wuju Franku...

- Skąd nadal od czasu do czasu nękają nasze miasta portowe - kontynuował niezmordowany Taylor, który w tym temacie czuł się jak ryba w wodzie. - Szkoda, że nie widziałeś, jak ten staruch szłochał. To już ostatni z dawnej kasty bankierów, która zasłużyła na to, co ją spotkało. Sami ściągnęli na siebie karę. Mają coś takiego, co nazywają *laissez-faire*, chociaż przez jakiś czas zdawali się o tym nie pamiętać. Żądają takich dupereli jak weksle gwarancyjne, ulgi podatkowe, subsydia i setki innych formalności, które musiałby załatwiać jeden z ich kumpi. Ale kiedyś było tak wielu bankierów, że zawsze znalazł się ktoś, kto mógł poświęcić na to swój czas. Cóż, w miarę narastania ograniczeń rosła niechęć do rządu. A wtedy istniało jeszcze coś takiego jak dotacje rządowe. Nie mam zamiaru ci tego objaśniać, dość, że były to sumy istniejące jedynie na papierze, które powodowały straszliwy wzrost cen każdego towaru. Możesz mi wierzyć albo nie, ale bankierzy nie zapomnieli o tym, nie wyrzucili po prostu tego papierka. Dopóki utrzymywano go w mocy, zwyczajni ludzie nie mogli sobie pozwolić na wiele wygód.

- Wuju...

\* \* \*

Nad zmarszczoną powierzchnią wody niedaleko wyspy Sea Island u wybrzeży Georgii powoli wysunął się peryskop. Patrzył przez niego chudy niczym beznamiętny pies kapitan Yan

Dellen z Marynarki Wojennej Ameryki Północnej, obok którego stał niski i gruby komandor Gminne.

- Mógłbyś podpłynąć nieco bliżej, Van - odezwał się cicho Grinnel.

- W tym działaniu nie odniesiesz trwałych obrażeń - odparł Van Dellen. Grinnel miał w najbliższym czasie otrzymać naszywki admirała i w normalnych warunkach kapitan nie pozwoliłby sobie odnosić się do niego w ten sposób, ale to był okręt kapitana i żaden specjalista od płaszcza i szpady, spędzający czas za biurkiem w sekcji wywiadu marynarki, nie miał prawa niczego mu dyktować.

Grinnel uśmiechnął się krzywo.

- Mógłbym to nazwać świetnym kamuflażem - powiedział, klepiąc się po brzuchu, - ale znamy się już od tak dawna.

- Nie będziesz miał najmniejszych problemów przy tak spokojnym morzu - rzekł Van Dellen z poważną miną. Starał się znaleźć odpowiednie słowa, aby przybliżyć tamtemu ryzyko, na jakie się naraża, mając do dyspozycji jedynie bystry umysł, fałszywy sygnet oraz dwa pistolety, lecz w jego głowie uporczywie tkwiło tylko jedno: „Dzięki Bogu wkrótce pozbędę się tego cholernego Socjokraty. Zabije mnie któregoś dnia, jeśli tylko będzie miał okazję zdybać mnie sam na sam. Dzięki Bogu jestem Konstytucjonistą. My nie posuwamy się do tego typu akcji. A może i tak? Nie jestem we wszystko wprowadzony; kto by się przejmował motorniczym podwodnej balii? A ten cholerny skurczybyk już niedługo zostanie admirałem.

Mój chłopak też kiedyś będzie admirałem, ma głowę na karku, tak jak jego matka. Znow się uśmiechnął.

- Cóż, to byłoby na tyle, prawda?

- Słucham? - zapytał Van Dellen. - Ach tak, już rozumiem. Chuck! - przywołał adiutanta. - Rozpakujcie kapsułę komandora i przygotujcie wszystko do jej wyrzucenia.

Wkrótce, dysząc ciężko, komandor wdrapał się do włazu kapsuły.

- Jesteś pewien, że została dopiero teraz rozpakowana? - warknął do intendenta. - Już zaczyna śmierdzieć.

- Osobiście doglądałem rozpakowywania trzy minuty temu, panie komandorze - rzekł obcesowo młody adept. - Smród nasili się tylko, jeśli będziemy marnowali czas na pogawędkę. Ma pan jeszcze... - spojrział na zegarek - siedemnaście minut. Proszę pozwolić, że zamknę włącz.

Komandor obrzucił uważnym spojrzeniem twarz świeżo upieczonego oficera, na zawsze utrwalając w pamięci jego rysy, po czym wsunął się do środka. Pokrywa opadła z hukiem. Któregoś dnia ten szczeniak będzie żałował, że odezwał się do niego w ten sposób. Wyprostowanym kciukiem dał znak Van Dellenowi, że wszystko w porządku; tamten pomachał mu dłonią i uśmiechnął się krzywo. Marynarze wepchnęli kapsułę w otwór wyrzutni.

Puf!

Wyskoczyła z okrętu i nim zaczęła pływać na falach, automatycznie dopasowała się kolorem do barwy morskiej wody. Grinnel chwycił dźwignię steru i zaczął obracać kołem napędowym, kierując kapsułę w stronę brzegu. Spieszył się; to urządzenie - stery, przekładnie, koło zamachowe, rama, w ogóle wszystko - miało się rozpuścić w wodzie za piętnaście minut. W tym czasie powinien dotrzeć do brzegu.

Tam natomiast czekała go rola agenta, w zasadzie całkowicie niezależnego, dokonującego zwiadu na terytorium wroga. Dopiero po piętnastym styczniu miał zrealizować konkretne

zadanie.



## ROZDZIAŁ III

Charles Orsino poruszył się w fotelu.

- Wuju...

- Właśnie tak - F. W. Taylor zachichotał. - Starego Amadeo i jego przyjaciół nazywano kryminalistami. Kiedy sprzedawali ludziom trunki, nie przejmując się dotacjami budżetowymi czy lichwiarskimi podatkami, mówiono o nich: „meliniarze”. Gdy przewozili tanie masło na południe, a tanią margarynę na północ, wołano: „przemytnicy”. Jeśli handlowali tanimi papierosami i biletami komunikacji, mówiono: „fałszerze”. Nazywano rabusiami, gdy podbierali towar nigdy nie nasyconym hurtownikom i dostarczali po rozsądnych cenach klientom. Oni byli kryminalistami, natomiast bankierzy filarami społeczeństwa. A przecież to ci sami bankierzy, którzy stanowili elitę, których każde słowo było traktowane jako ponadczasowa prawda, a przeciwstawienie się im uważano za czyste szaleństwo, pewnego dnia zniknęli i była to chyba najlepsza rzecz, jaką mógł nam przynieść tamten dzień, całe nasze stulecie...

Ojciec Ambrosius dojadł ostatni kawałek solonego śledzia, wytarł palce, sięgnął za pazuchę i wyjął gęsie pióro oraz kawałek pergaminu. Przeciągnął po nim kilka razy gąbką nasączoną octem i z satysfakcją popatrzył na czysty papier, nadający się do spisania notatek do kolejnego kazania. Zaostrzył i naciął starannie pióro, czekając, aż pergamin wyschnie. Tylko przelotnie zadumał się nad tym, co przed chwilą stał. (A tak się złożyło, że była to ostatnia istniejąca kopia pięciu początkowych wersetów siódmej księgi „Roczników” Tacyta.)

Przystąpił do pracy. Kazanie miało być wygłoszone w niedzielę mięsopustną, rozpoczynającą Wielki Post. Myśli ojca Ambrosiusa pomknęły ku doniosłym tezom przyszłego kazania. Wielki Post... solony śledź... skrucha... grzechy główne... skąpstwo... lichwa... zaległe opłaty za miejsca w ławkach... młody sir Baldwin o obwisłych policzkach, mieszkający w rozsypującym się zamku na wzgórzu... śledź solony, teraz i *per saecula saeculorum*, dopóki sir Baldwin nie ureguluje zaległych opłat za swoje miejsce w ławce.

W tej samej chwili do jego celi wszedł chwiejnym krokiem sir Baldwin. Ojciec Ambrosius kurtuazyjnie podniósł się z krzesła i rzekł z lekkim ociąganiem:

- *Pax vobiscum*.

- Że co? - zapytał sir Baldwin, powiódł mętnymi niebieskimi oczkami po całej komnacie i obejrzał się przez ramię. - Ach, mówiłeś do mnie, ojcze. Możesz do mnie szwargotać po łacinie ile dusza zapagnie, nie rozumiem ani słowa. Znam tylko królewski język Normanów. A jeśli był on wystarczająco dobry dla Jego Wysokości Ryszarda, to nie mniej nada się dla mnie, no nie? Czym więc mogę ci służyć, ojcze?

- To ty przyszedłeś do mnie w odwiedzin, sir Baldwinie - przypomniał mu zdumiony ojciec Ambrosius.

- Co? Ano właśnie. Wyprawiliśmy się na rogacza, ojcze, tropiliśmy go przez cały ranek, a teraz zgubiliśmy ślad. Wpadłem, więc, żeby się zapytać, który to poczciwy święty jest najbardziej odpowiedni, by się do niego pomodlić w takiej sytuacji. Chodzi o to, że chciałem dostarczyć znajomym trochę godziwej rozrywki i pojechaliśmy na polowanie, ale rogacz nam umknął. Niech mnie ojciec źle nie zrozumie, to moi przyjaciele i nie mają mi tego za złe, lecz na pewno zaraz rozejdą się plotki i dla nikogo nic dobrego z tego nie wyjdzie, no nie? Zatem powiedz mi, dobry ojczulku, do którego to poczciwego świętego miałbym się zwrócić, żeby

z tego wszystkiego nie wynikło dla mnie nic złego.

Ojciec Ambrosius zacisnął zęby i siłą powstrzymał się, żeby nie zgrzytać. Zrobił mądrą minę i po chwili odparł:

- Jeśli chodzi o polowanie na rogacza, to chyba najlepszy byłby święty Hubert.

- Jasne, ojczulku! Święty Hubert jest najlepszy. Właśnie, Hubert. Raczej nie zapomnę, bo mam kuzyna o tym samym imieniu. Nie widziałem się z nim już od lat. Biedaczysko, ma przetokę, żywi się tylko cienką zupką i nie da rady usiedzieć na koniu podczas dłuższego polowania. Stare biedaczysko. Ale, wracając do rzeczy, wpadłem tu w jeszcze jednej sprawie. Domyślam się, że tej niedzieli palnie ojciec bardzo mocne kazanie na temat skąpstwa, no nie? Chłop ze wsi, ten złotnik, miał czelność powiedzieć mi, że będę musiał mu oddać Fallowfield! To czterdzieści akrów ziemi, a ten bezczelny wieśniak twierdzi, że nie należą już do mnie. Zrób mi przysługę, ojcze, i z ambony spójrz na niego kilka razy groźnym wzrokiem, żeby wiedział, gdzie jest jego miejsce, dobra?

- Skąpstwo jest grzechem - zauważył ostrożnie ojciec Ambrosius. - Ale jak to się stało, że Fallowfield ma z tym coś wspólnego?

Sir Baldwin poskubał obwisłą dolną wargę i z wyraźnym zakłopotaniem pogładził jasne wąsy.

- To fakt, że pożyczając od niego dwadzieścia marek, powiedziałem, iż Fallowfield może służyć jako rękojmia. Pytam cię, ojcze: czy można mnie obarczać winą, że moi dłużnicy to banda leniwych, oszukańczych, saksońskich świń, od których nie można wydostać pieniędzy?

Proboszcz zjeżył się niedostrzegalnie - sam był czystej krwi Saksończykiem.

- Zrobię, co w mojej mocy - odparł. - Lecz zanim odejdziesz, sir Baldwinie...

Mężczyzna zatrzymał się w drzwiach i odwrócił.

- Zanim odejdziesz, pozwól, że zapytam, kiedy uiścisz zaległe opłaty za miejsce w ławce, nie mówiąc już o dziesięcinie.

Sir Baldwin lekceważąco machnął ręką.

- Chyba ci już mówiłem, ojcze. Nie mam złamanego grosza przy duszy, a jeszcze ten wieśniak nachodzi mnie, bym przepisał na niego Fallowfield, które odziedziczyłem po ojcu, a on dostał w spadku po swoim ojcu. Więc jak, do diabła... proszę mi wybaczyć - miałbym uregulować zaległe opłaty i dziesięcinę, i datki na tacę, i to wszystko, czego wy, ojczulkowie, domagacie się od biednych ludzi, co? - Ujrzawszy, że ojciec Ambrosius otwiera usta, powstrzymał go, unosząc dłoń w rękawicze. - Nie, ojcze, nie chcę już słyszeć o tym ani słowa. Wiem, co pragniesz mi powiedzieć: że nie pójdę do nieba, postępując w ten sposób. Nie wątpię, że jesteś wykształcony i w ogóle, ale ja również mogę ci co nieco powiedzieć, no nie? Otóż faktem jest, że pójdę do nieba. Widzisz, ojcze, Bóg jest dżentelmenem i na pewno nie będzie robił kłopotów drugiemu dżentelmenowi z powodu takiej błaahostki jak kłopoty finansowe, które mogą przecież spotkać każdego, nieprawdaż?

Błysk w tępych ślepiach gościa był dla ojca Ambrosiusa nie do zniesienia. Skromnie spuścił wzrok.

- Słusznie! - zapiał sir Baldwin. - A ten pocziwy święty ma na imię Hubert. Nie zapomniałem, widzisz? Nie jestem takim idiotą, za jakiego niektórzy mnie uważają.

Odwrócił się i wyszedł, pogwizdując coś pod nosem.

Ojciec Ambrosius usiadł z powrotem i zagapił się na pergamin. Trzeba było przygotować mocne kazanie o skąpstwie dla tego fanfarona. Zresztą, skąpstwo jest grzechem. Chrześcijanie powinni pożyczać sobie pieniądze w potrzebie, nie licząc ani czasu, ani procentów. Lecz czy

ktokolwiek kiedyś słyszał, aby sir Baldwin coś komuś pożyczył? Rzecz jasna, był panem na włościach i do niego należało ochraniać poddanych przed napaścią. Wyglądało jednak na to, że nikomu nie grozi żadna napaść...

Z ciężkim sercem proboszcz sięgnął po pióro i naskrobał na pergaminie: „Rz XIII2,8, XV 1. Kto więc przeciwstawia się władzy, przeciwstawia się porządkowi Bożemu... Nikomu nie bądźcie nic dłużni... A my, którzy jesteśmy mocni, powinniśmy znosić słabości tych, którzy są słabi...” Połączenie tych trzech cytatów, wzmocnione gromiącym spojrzeniem z wysokości ambony, powinno skłonić wiejskiego złotnika, by zastanowił się dobrze, nim znów zacznie nachodzić Sir Baldwina. Albowiem skąpstwo jest grzechem.

Rozległo się nieśmiałe pukanie w futrynę.

W drzwiach stał złotnik, odziany w skóry wieśniak o imieniu John i miał w potężnych, spalonych na brąz palcach swoją czapkę.

- Słucham cię, synu. Wejdz, proszę. - Mimo woli w głosie ojca Ambrosiusa pojawiły się złowieszcze tony. Powinien był to przewidzieć, zamiast dać się ponieść chciwości, będącej jednym z grzechów głównych. - O co chodzi?

- Ojciec - mruknął mężczyzna. - Przyszedłem, żeby ofiarować ci to. - Wyciągnął przed siebie sakiewkę z miękkiej skóry, wewnątrz której coś zabrzęczało.

Ojciec Ambrosius wysypał zawartość na stół i w zamyśleniu rozgarnął palcem ciężkie, srebrne monety. Pięć marek i jednaście srebrnych pensów. To znaczy - koniec z solonym śledziem aż do Wielkiego Postu! Część pieniędzy dla biskupa - tyle, żeby wyjednać łaskę dla całej parafii! Złocenia do obrazu Najświętszej Panienki! Może także nowe szyby w jednym czy dwóch oknach kościoła!

Zesztywniał nagle i wsunął monety z powrotem do sakiewki.

- Zdobyłeś te pieniądze przez grzech - rzekł suchym głosem. - Grzech chciwości, która tkwi głęboko w twoim sercu, i grzech skąpstwa wobec bliźnich, takich samych jak ty chrześcijan. Nie dawaj tych pieniędzy na kościół, lepiej zwróć je swoim ofiarom.

- Ojciec! - rzekł wieśniak, nieomal bliski płaczu. - Wybacz mi, ale się mylisz! Ludzie wciąż przychodzą do mnie i przychodzą. Powtarzają, że wszystko w porządku, że pożyczają pieniądze tak samo, jak pożyczają sobie konia. Czy sądzisz, że pragnąłem zostać lichwiarzem? Skąd! Byłem uczciwym złotnikiem, a uczciwy złotnik nie może nic na to poradzić, że wszystkie pieniądze we wsi dziwnym sposobem trafiają do jego rąk. Ktoś tam zostawi markę w moim sejfie i płaci pensa rocznie za jej przechowanie. Ktoś inny przyniesie worek srebrnych monet, żeby przetopić je na misę, a to, co zostanie, mam zatrzymać dla siebie. Potem przychodzi ktoś inny i mówi: „Pozwól mi skorzystać z marki zostawionej przez tego czy tamtego, zwrócę ci ją po roku, dopłacając drugą markę”. Ojciec, oni mnie o to błagają! Powtarzają, że zginą w biedzie, jeśli nie pożyczę im pieniędzy, że schorowani rodzice umrą, gdyż nie ma, czym zapłacić za pijawki, że zmarli przodkowie będą ich straszyć po wieczność, jeżeli nie dadzą na mszę za ich dusze. I co ja mam robić?

- Przestać grzeszyć - odparł proboszcz. Dla niego sprawa była prosta.

Złotnik skrzywił się ze złością.

- Dobrze ci siedzieć tutaj i mówić w ten sposób, ojciec. A jak sądzisz, skąd wzięły się pieniądze, których żądałeś na mszę za spokój duszy Goodie'ego Howata? Skąd Tom Kudłacz miał pieniądze na wóz, żeby wozić swoje piwo i sprzedawać je w Glastonbury? Za co farmer Major wynajął ludzi z Wealing do zwózki siana, zanim wielka burza przerwała sianokosy? Mógłbym podać sto innych przykładów. Mówię ci, ojciec, w tej parafii źle by się działo, gdyby

nie John Złotnik, który nie ma najmniejszej ochoty, by wytykano go palcem jako przekłętego grzesznika! Nie chciałem parać się lichwą, ale widać to było mi pisane. A przekonałem się już, że ci, co najwyżej zadzierają nosa, mijając lichwiarza na ulicy, błagają go najpokorniej, kiedy los zmusi ich do złożenia mu wizyty!

Kaznodzieja siedział porażony tym wybuchem. John sprawiał wrażenie uczciwego - ale fakty to fakty; czy dobro może się rodzić ze zła? Krążyły zresztą plotki, że nawet Jego Świątobliwość Papież we własnej osobie odwiedza lombardy: krupierów, bankierów, czy też jak oni się nazywają...

- Muszę to przemyśleć, mój synu - rzekł. - Możliwe, że zbyt pośpiesznie cię oceniłem. Niewykluczone, że w czasach świętego Pawła lichwa była rozumiana zupełnie inaczej. Możliwe, że na dobrą sprawę nie zajmujesz się lichwiarstwem, tylko czymś podobnym. Możesz zostawić te srebrne monety.

Kiedy John wyszedł, ojciec Ambrosius zacisnął powieki i przyłożył obie pięści do skroni. Tak wiele się zmieniło. W czasach Starego Testamentu mężczyźni mieli więcej niż jedną żonę. Teraz coś podobnego byłoby grzechem, a czyż Abraham, Izaak albo Jakub nie poszli do nieba? Święty Paweł kierował swoje epistoły do niewielkich gmin chrześcijańskich tonących w oceanie pogaństwa. Niewątpliwie chrześcijanie musieli się wtedy trzymać razem, jednoczyć w walce ze wspólnym wrogiem, teraz zaś owe więzy wspólnoty uległy znacznemu rozluźnieniu. Jak to możliwe, żeby grzesznie zarobione pieniądze mogły wpłynąć na spokój duszy Goodie'ego Howata, zwiększenie zysków piwowara Toma, czy też na uratowanie siana służącego całej wiosce? To z pewnością diabelskie sztuczki, chociaż wcale nie nakłaniały do zła. Więcej takich sztuczek, a życie w parafii przypominałoby raj na ziemi!

Ojciec Ambrosius wyszedł ze swej celi, stanął przy ołtarzu i zaczął energicznie przerzucać kartki spoczywającej na pulpicie wielkiej, oprawnej w metal Biblii.

*„Pogoń za bogactwem jest przyczyną wszelkiego zła...”*

Owa myśl niczym błyskawica poraziła ojca Ambrosiusa, ale dotyczyła ona chciwości sir Baldwina, a nie Johna Złotnika.

Powlókł się z powrotem do zakrystii i zaczął znów skrobać piórem po pergaminie, niszcząc ostatnie ślady pięciu początkowych wersetów siódmej księgi „Roczników” Tacyta. Nie miał wątpliwości, że musi przygotować mocne kazanie, ale wcale nie skierowane przeciwko Johnowi Złotnikowi. Miało być wymierzone przeciw bezwzględności człowieka, który uchylał się przed prawem - tak boskim, jak i ziemskim - nie chcąc przepisać Fallowfield na własność temu, komu nie zwrócił długu. W wyobraźni słyszał już pomruk aprobaty, jaki rozlegnie się w kościele tej niedzieli, i widział spojrzenia ludzi, karcące sir Baldwina za próbę zwodzenia wiernego i hojnego parafianina, jakim był John lichwiarz.

\* \* \*

- Właśnie w ten sposób władza przechodzi z rąk do rąk - konkludował zadowolony z siebie F. W. Taylor - a przychylność społeczeństwa zmienia się w nienawiść. To dziwne: ludzie zawsze sądzą, że zmiana sił rządzących jest ostateczna i żadna inna już nigdy nie nastąpi.

Zamilkł. Wszystko wskazywało na to, że skończył.

- Wuju - wtrącił Orsino. - Ktoś próbował mnie zabić.

Taylor przez dłuższą chwilę przyglądał mu się z otwartymi ustami.

- Co się stało? - zapytał w końcu.

- Poszedłem do teatru, z pięcioosobową obstawą. Dowódca ochrony, Halloran, próbował mnie zastrzelić. Jeden z moich ludzi stanął na linii ognia. Zginął na miejscu.

Taylor zaczął nerwowo przebierać palcami po klawiaturze łączności. Kiedy na ekranach pojawiły się twarze różnych ludzi, sypnął rozkazami.

- Dowódcą ochrony Charlesa Orsino na dzisiejszy wieczór był Halloran. Sprawdzić go. W najdrobniejszych szczegółach. Usiłował zastrzelić Orsino. Sprawdzić także wszystkich ludzi, którzy znajdowali się z Halloranem w obstawie.

Wyłączył konsolę łączności i ze ściągniętą twarzą odwrócił się w stronę Charlesa.

- A ty? - zapytał. - Czyżbyś się w coś wplątał?

- Skąd, wykonywałem tylko swoje obowiązki, wuju - odparł szybko Orsino.

- Nadal zbierasz podatki w rejonie sto pierwszego komisariatu?

- Tak.

- Może chodzi o jakąś kobietę?

- Raczej nie, wuju. Ostatnio w nic się nie angażowałem.

- A nie pobiłeś albo nie znieważyłeś kogoś?

- Na pewno nie. Sprawy w tym rejonie idą jak w zegarku. Podnoszę morale ludzi, tłumacząc im wszystko, co dzieje się na wschód od Missisipi. Dlaczego tak się przejąłeś tym wypadkiem?

- Bo to już trzeci. Tamci dwaj, twój kuzyn, Thomas McGurn, i twój wuj, Robert Orsino, nie mieli w obstawie ludzi, którzy by ich zasłonili swym ciałem. Czy mogę ci zadać jeszcze jedno pytanie?

- Słucham, wuju.

- Dlaczego, mój chłopcze, nie powiedziałeś mi o tym od razu, jak tylko tu wszedłeś?

## ROZDZIAŁ IV

Następnego dnia zwołano naradę rodzinną. Orsino, jak każdy junior, nie brał udziału w tego typu posiedzeniach. Zdawał sobie jednak sprawę, z jakiego powodu uczyniono wyjątek, i niezbyt było mu to w smak.

Edward Falcaro omiótł mrozącym krew w żyłach spojrzeniem ponad trzydziestu przywódców Syndykatu zgromadzonych przy stole, po czym warknął:

- Myślę, że damy sobie spokój ze sprawozdaniami i podobnymi drobiazgami. Przejdźmy od razu do tej cholernej strzelaniny. Dick, przedstaw nam szczegóły.

Zapalił tanie, śmierdzące cygaro i odchylił się na oparcie fotela.

Wstał Richard W. Reiner.

- Thomas McGurn - rzekł - został zabity piętnastego kwietnia ośmioma pociskami z broni maszynowej w swojej prywatnej jadalni w hotelu Astora. Usługująca mu, Elsie Warshofsky, jest główną podejrzaną, ale...

- Podejrzaną?! - parsknął Edward Falcaro. - Jestem pewien, że to ona go zabiła.

- Właśnie miałem to powiedzieć. Nie dysponujemy jednak żadnymi dowodami. Pani Warshofsky wyskoczyła, wypadła, albo została wypchnięta z okna jadalni. Karabin maszynowy znaleziono pod oknem. Nie było żadnych świadków tego zdarzenia. W życiorysie Elsie Warshofsky nie ma niczego szczególnego. Jedna z jej znajomych podsunęła myśl, opartą - jak sama przyznała - wyłącznie na domysłach, że na podstawie niektórych wypowiedzi pani Warshofsky można by przypuszczać, iż jest ona członkiem tajnej organizacji znanej pod nazwą DAR. W związku z powyższym należy jeszcze nadmienić, że nazwisko pani Elsie Warshofsky brzmiało: Adams.

Robert Orsino zginął dwudziestego pierwszego kwietnia od wybuchu bomby termitowej, ukrytej w poduszce i zaopatrzonej w zapalnik naciskowy. Jego kamerdyner, Edward Blythe, zniknął z miejsca wypadku. Obława policyjna doprowadziła do schwytania go na plaży w Montauk Point dwudziestego trzeciego kwietnia, umarł jednak, zanim zdążył cokolwiek zeznać. Analiza treści żołądkowej wykazała śmiertelną dawkę fluorku sodu. Istnieje domniemanie, że truciznę zaaplikował sobie sam.

- Domniemanie! - warknął staruch, wypuszczając śmiertelną dawkę dymu tytoniowego.

- W życiorysie Blythe'a - kontynuował cierpliwie Reiner - również nie znaleziono niczego szczególnego. Należy tu jeszcze dodać, że lokalne władze z Montauk Point donosiły o pojawieniu się u wybrzeży, w nocy z dwudziestego trzeciego na dwudziestego czwartego kwietnia, okrętu tak zwanej Marynarki Wojennej Rządu Ameryki Północnej.

Trzydziestego kwietnia w holu teatru imienia Costello dowódca osobistej ochrony, James Halloran, usiłował zabić Charlesa Orsino. Zdążył oddać tylko jeden strzał, od którego padł inny z członków obstawy, po czym został zabity. Życiorys Hallorana nie zawiera żadnych ciekawych szczegółów, poza tym, że nadzwyczaj interesował się on historią. Kolekcjonował i prawdopodobnie czytał stare książki, dotyczące czasów przed-Syndykackich i przed-Zgromadzeniowych. Śledczy znalazł przy jego łóżku pierwszy tom opublikowanej w roku 1942 pracy Morisona i Commagera „Narodziny Republiki Amerykańskiej”, który był otwarty na rozdziale dziesiątym, zatytułowanym „Wojna o niepodległość”.

Reiner usiadł z powrotem.

- Dick - odezwał się syczącym głosem F. W. Taylor. - Czy nie zapomniałeś dodać, że

Warshofsky, Blythe i Halloran to znani oficerowie Marynarki Wojennej Ameryki Północnej?

- Chyba żartujesz? - odparł Reiner. - Czyżbyś chciał powiedzieć, że świadomie przemilczałem kluczowe dla tej sprawy fakty?

- Chcę powiedzieć, że wprost artystycznie wyłożyłeś karty na stół. Wspomniałeś o plotkach, o wątpliwym rejsie okrętu wojennego i o hobby człowieka, ponieważ marzy ci się przejęcie przez nas kontroli nad oceanem, prawda? Nigdy nie ukrywałeś swoich poglądów.

- I teraz nie wstydzę się swego stanowiska w kwestii tak zwanego rządu Ameryki Północnej. Będę ich tępił zawsze i wszędzie.

- Do cholery! Zamknijcie się obaj! - warknął Edward Falcaro. - Próbuję zebrać myśli. - Przez jakieś pół minuty milczał ze spuszczoną głową, wreszcie uniósł wzrok i spytał z niepewną miną: - Czy ktoś ma jakieś propozycje?

Charles Orsino chrząknął i spiął się wewnętrznie, przerażony swą lekkomyślnością. Brwi starca powędrowały do góry, zaraz jednak rzekł chrapliwym głosem:

- Chyba możesz zabrać głos. Jesteś uważany widocznie za ważną osobistość, skoro chcieli cię zabić.

- Może zamieszana jest w to jakaś organizacja z Europy lub Azji? - powiedział Orsino.

- Czy ktoś wie coś na temat Europy lub Azji? - zapytał Edward Falcaro. - Jimmy, ty chyba kiedyś tam latałeś, prawda? Sprawdzałeś, o ile pamiętam, jakoś maku z Anatolii, kiedy Zgromadzeniu nie odpowiadały dostawy z Meksyku.

Jimmy Falcaro miał piskliwy głos.

- Owszem, ale to była strata czasu. Tamtejsi zawszeni farmerzy produkują tylko tyle żywności, żeby przetrwać, obsiewając najwyżej ćwierć akrowe poletka makiem. Tak samo to wygląda od Morza Chińskiego aż po Śródziemne. Tylko w Anglii jest nieco inaczej. To ty, Frank, mi to wyjaśniałeś. Może teraz powiedz wszystkim:

Taylor podniósł się z krzesła.

- Całą Anglię porosły lasy. Kiedy tamtejsza klasa rządząca utraciła wiarygodność i nie mogła sobie poradzić z narastającą liczbą paradoksów, nadszedł koniec. Gdy zachodzi coś podobnego, potrzebna jest silna, zorganizowana warstwa kryminalna, zdolna do przejęcia kontroli nad produkcją i dystrybucją towarów. Pewnie zdajecie sobie sprawę, jacy byli Anglicy. Ci biedni łajdacy ujęli w karby wszystko, co nielegalne. Nie można było zrobić nic, co nie byłoby objęte przepisami prawa. Z fragmentarycznych doniesień wnioskuję, że dziś angielską puszcę zamieszkuje kilka setek głodujących ludzi. Jeden z podróżników opowiadał, że wciąż noszą oni meloniki i chodzą do swoich biur w centrum Londynu.

Francja zmieniła się w kraj wieśniaków, którzy chodzą pijani przez trzy kwadransy na godzinę. Rosję także zamieszkuje wieśniacy, ale ci są pijani na okrągło. Niemcy... No cóż, tam klasa kryminalna była zbyt liczna i za bardzo zorganizowana. Cały kraj jest wielkim cmentarzyskiem. - Wzruszył ramionami. - Jeśli ktoś byłby do tego zdolny, to jedynie Zgromadzenie, które chciałoby zetrzeć nas z powierzchni ziemi.

Reiner poderwał się na nogi.

- Nigdy nie zgodzę się z podobną hipotezą! - wrzasnął. - To czysta złośliwość insynuować, że stulecie pokoju dobiegło końca, że nasza zachodnia, licząca niemal pięć tysięcy kilometrów długości granica z zaprzyjaźnionym państwem...

- Nie zeszpecona, mój przyjacielu - wtrącił ironicznie Taylor - nawet przez jedną fortyfikację...

- Frank Taylor! Do cholery, przestań się wygłupiać! - ryknął Edward Falcaro. - Nie

zebraliśmy się tutaj dla żartów!

- Czy byłeś ostatnio na terytorium Zgromadzenia? - parsknął Taylor.

- Owszem, byłem - odparł z kwaśną miną Falcaro.

- I jak ci się tam podobało?

Starzec z irytacją wzruszył ramionami.

- Oni wybrali inną drogę niż my. To prawda, że Regan już bardzo cienko przedzie, ale nigdy nie zapomnimy, że w tamtych dniach to właśnie Jimmy Regan stanął ramię w ramię przy Amadeo Falcaro. Jest jeszcze coś takiego jak lojalność.

- Jest również coś takiego jak ślepotą - zauważył F. W. Taylor.

Tym razem posunął się za daleko. Edward Falcaro uniósł się z fotela, oparł ciężko na stole i pochylił do przodu.

- Proszę to potraktować jako oficjalne oświadczenie, panowie - rzekł napiętym głosem. - Nie będę udawał, że jestem zadowolony z obrotu spraw na obszarze Zgromadzenia. Nie będę obstawał, że stary Regan jest wciąż zrównoważonym, odpowiedzialnym partnerem. Nie będę utrzymywał, że ludzie Zgromadzenia są mile widziani wszędzie tam, gdzie Syndykat oferuje usługi swoim klientom. Świetnie zdaję sobie sprawę, że w trakcie naszej oficjalnej wizyty na terytorium Zgromadzenia widzieliśmy wyłącznie to, co nasi gospodarze chcieli nam pokazać. Nie umiem sobie jednak wyobrazić, by jakakolwiek organizacja, której korzenie wywodzą się z wielkich ideałów swobody i służby, mogłaby się posunąć do takich działań. Może jestem w błędzie, panowie, ale nie mogę uwierzyć, by potomkowie Jimmy'ego Regana zdolni byli wydać rozkaz zamordowania któregoś z potomków Amadeo Falcaro. Rozpatrzmy więc najpierw wszelkie inne możliwości. Czy to jest jasne, Frank?

- Tak.

- W porządku - mruknął Falcaro. - Zabierzmy się do rzeczy systematycznie. Dick, najpierw ty rozwiń swoją hipotezę o winie rządu za te krwawe wydarzenia. Mnie również nie podoba się ta myśl. Gdyby okazało się to prawdą, musielibyśmy poświęcić mnóstwo czasu i zadać sobie wiele trudu, aby wytropić ich agentów i zlikwidować siatkę. Dopóki ograniczali się do rejsów zwiadowczych i sporadycznych napaści na nasze przybrzeżne tereny, nie przejmowałem się nimi zanadto. Nie wyrządzali zbyt dużych szkód, dopingowali nas do zachowania czujności, a co chyba najważniejsze - nie pozwalali naszym klientom zapomnieć o tych dawnych, złych czasach, kiedy oni byli u władzy. To wystarczyło, żeby poniechać myśli o wątpliwej przyjemności długotrwałej i kosztownej walki. Jeśli to oni są odpowiedzialni za zabójstwa, będziemy musieli wydać im wojnę, ale przedtem trzeba zyskać pewność.

- Czy mogę już mówić? - zapytał kwaśno Reiner.

Starzec skinął głową i zaczął ponownie rozpalać cygaro.

- Nazywa się mnie - rzecz jasna, za moimi plecami - fanatykiem - zaczął Reiner.

Z premedytacją nie patrzył w stronę F. W. Taylora, jakby mówił o rzeczach oczywistych. - Niewykluczone, że to prawda, ale równie dobrze fanatyzm może być pożyteczny w naszych czasach. Pozwólcie, że wymienię główne cele tak zwanego rządu. Dąży on do nałożenia olbrzymich podatków, wykorzenia hazardu, ograniczenia wszelkich, uznawanych za niezdrowe, przyjemności życiowych do niezbędnego minimum, usankcjonowania pruderii seksualnej za pomocą rażąco barbarzyńskich przepisów prawa karnego, wprowadzania nie kończących się regulacji i ograniczeń dotyczących niemal każdej chwili życia człowieka. Takie były cele rządu wtedy, kiedy sprawował on władzę, i bez wątpienia będą takie same, jeśli powróci on do władzy. Nie rozumiem, jak można zapomnieć o tym ciągłym zagrożeniu



dla naszej swobody, dostrzegając jedynie pewne małe znaczące korzyści, które płyną, jak się to ciągle powtarza, z faktu, że rząd nadal istnieje. - Zawiesił głos i skrzywił się, jakby walcząc z przykrymi wspomnieniami. Po chwili kontynuował bardziej napiętym, gardłowym głosem: - Pewnego dnia poruszyło mnie coś, co niechcący usłyszałem. W punkcie przyjmowania zakładów, do którego stałe chodzę, idąc do studolarowego okienka, zauważyłem dwójkę małych dzieci przy kantorze dla nieletnich i zatrzymałem się, chcąc zobaczyć, jakie konie obstawiają.

O ile pamiętam, brali kupony na szóstą gonitwę w Hialeah. W pewnym momencie jeden z nich powiedział: „Moja mama nie grywa na wyścigach. Mówi, że cały hazard powinien być zabroniony”.

W sercu mnie zakłuło, panowie, kiedy to usłyszałem. Miałem ochotę odciągnąć tego chłopca na bok i powiedzieć mu: „Synu, twoja matka nie musi grać na wyścigach. Nikt nie musi tego robić, jeśli nie ma ochoty. Lecz tak długo, dopóki choć jedna osoba chce postawić kilka groszy na konia, a ktoś inny zgadza się przyjąć zakład, nikt nie ma prawa twierdzić, że hazard na wyścigach konnych powinien być zabroniony”. Oczywiście, nie odciągnąłem chłopca na bok i nie tłumaczyłem mu tego, gdyż całkowicie mijałoby się to z celem. W praktyce należałoby uczynić to, za czym do tej pory optowałem i nadal to czynię. Do końca usunąć wszelkie pozostałości po rządzie i dokładnie zdezynfekować ranę, by nigdy więcej nie zaistniało niebezpieczeństwo zakażenia. Ale mój głos nie był wystarczająco silny. Kiedy pojąłem, że sposób myślenia niewinnego dziecka został wypaczony do tego stopnia, iż wypowiada się ono w sprawie ukrócenia swobód obywatelskich, w kwestii ograniczenia dostępu do nieszkodliwych rozrywek, krew się we mnie wzburzyła. Mogę to nazwać tylko jednym słowem: *zdrada!*

Orsino z uwagą wsłuchiwał się w tę przemowę, a po jej zakończeniu przyłączył się do spontanicznych owacji. Nie mógł powiedzieć, że czuje osobistą niechęć do rządu, nie wierzył także w istnienie przerażającej organizacji terrorystycznej DAR, ale Reiner mówił tak przekonująco, z takim zapałem!

Wuj Frank podniósł się z krzesła.

- Mam wrażenie, że odbieглиśmy od tematu - oznajmił sucho. - Jeśli komuś trzeba odświeżyć pamięć, przypomnę, że dyskutujemy nad dwoma morderstwami i jednym nieudanym zamachem. Nie umiem dostrzec żadnego związku między tymi wydarzeniami a paranoidalną manią Dicka Reinera dotyczącą inkwizycji, o ile taki związek w ogóle istnieje. Nie widzę zwłaszcza najmniejszego sensu w używaniu słowa „zdrada”. Bo któż tu zdradził? My? Syndykat nie jest rządem. Nie wolno nam dopuścić do określania go za pomocą folklorystycznych pojęć z czasów istnienia rządu, jeśli bowiem zostanie powiązany z tamtą ekipą, podzieli jej los. Syndykat jest organizacją o wysokim morale i łatwym do zaakceptowania, hedonistycznym charakterze. Fakt, że odziedziczyliśmy rolę rządu, wynika jedynie z tego, że stał się on organizacją o niskim morale i nieugiętym, purytańskim, sadomasochistycznym charakterze. Nie mam najmniejszych złudzeń co do tego, że Syndykat będzie trwał wiecznie, i nikt nie powinien ich mieć. Oczywiście, nie chciałbym, aby jakkolwiek zmiana nastąpiła za mego życia, za życia moich dzieci czy też ich dzieci, nie sądzicie jednak, że kieruje mną żarliwa troska o losy mych nie narodzonych praprawnuków. Jeśli zatem jest wśród nas ktoś, kto nie pragnie jak najdłuższej władzy Syndykatu, mogę mu podpowiedzieć, że najprostszym sposobem zdemoralizowania naszej organizacji jest przystać na propozycję Dicka Reinera i rozpętać świętą wojnę. Stąd już tylko krok do polowania na

heretyków w naszym gronie, do wprowadzenia cenzury, podatków akcyzowych, dochodowych, jednym słowem do rozbudzenia agresji. Więc może jednak wrócilibyśmy do sprawy owych morderstw.

Orsino pokręcił głową, bezgranicznie zdumiony. W tej samej chwili do pokoju weszła dziewczyna, szepnęła coś na ucho Edwardowi Falcaro, po czym usiadła obok niego. Nie tylko Orsino zauważył jej obecność. Na twarzach większości spośród zgromadzonych osób malowało się takie samo zdumienie, a nawet oburzenie. Głęboko zakorzenioną tradycją Syndykatu było niemieszanie kobiet w sprawy organizacji.

Edward Falcaro zignorował jednak wyraźne objawy zdziwienia oraz oburzenia i rzekł spokojnie:

- To było bardzo interesujące, Frank, o ile wszystko dobrze zrozumiałem. Nie po raz pierwszy już się zdarza, że wybiegam myślami naprzód, znajduję jakieś logiczne rozwiązanie, a potem słucham, jak ty wyjaśniasz moje motywacje, włączając w to pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt powodów, które mnie samemu nigdy by nie przyszły do głowy.

Kilka osób wybuchnęło głośnym śmiechem, a Charles Orsino poczuł się trochę nieswojo. Wiedział bowiem dobrze, podobnie jak Edward Falcaro i wszyscy pozostali, że Taylor wspomagał Falcaro bardziej intuicją i zdrowym rozsądkiem niż głęboką wiedzą analityczną. Domyślił się, że staruch doszedł do wniosku, iż odrobina humoru rozładuje napięcie i zażegna niepotrzebne spory.

- Zatem, panowie, niewiele wiadomo o tym, jak się sprawy mają - kontynuował tamten. Odgryzł koniec następnego cygara i zaczął je z namaszczeniem przypalać. Po chwili jego głos dobiegł z gęstej chmury dymu. - Przede wszystkim więc powinniśmy poznać więcej szczegółów, prawda? - Gdyby nie broda i cygaro, można by go wziąć za wstydlive, marudne dziecko. - Co byście powiedzieli na pomysł wsadzenia do rządu naszego człowieka, który na miejscu by się przekonał, czy tamci mieli coś wspólnego z tymi zabójstwami, czy nie?

Jedynie Charles był na tyle naiwny, aby zabrać głos; pozostali wiedzieli, że Edward Falcaro musi mieć jeszcze jakiegoś asa w rękawie.

- To niemożliwe! - wypalił Orsino. - Oni mają detektory kłamstwa, narkotyki skłaniające do mówienia i wiele innych rzeczy... - Urwał nagle, dojrawszy rozbrajający, dobrotliwy uśmiešek Falcaro i pełne irytacji, karcące spojrzenia pozostałych mężczyzn. Tajemnicza dziewczyna zachichotała.

Niech ich wszystkich piekło pochłonie! - pomyślał Charles. Opadł na oparcie krzesła, mając ochotę zapaść się pod ziemię.

- To prawda, młody człowieku - rzekł łagodnym tonem Falcaro. - Lecz prawdą jest także, że nie znasz nas jeszcze za dobrze. A jeśli mamy swoje sposoby na uniknięcie narkotyków i detektorów kłamstwa? Czy któryś z was, panowie, zdobyłby się na odwagę wkroczyć do jaskini lwa i przeniknąć do rządu, aby szpiegować dla nas i składać raporty?

Charles wstał; pałaca potrzeba zatarcia złego wrażenia przez wykazanie się odwagą była silniejsza od nieśmiałości i wstydu.

- Ja tam popłynę, proszę pana - rzekł najspokojniej jak umiał. - A jeśli zostanę zabity - pomyślał - to wtedy się przekonają, wtedy dopiero będą żałować.

- Bardzo słusznie, młodzieńcze - rzekł Falcaro z takim entuzjazmem, jakby miało to znaczyć: „No i mamy problem z głową”. - Obecna tu młoda dama będzie się tobą opiekować.

Charles wolnym krokiem ruszył przez całą długość sali w stronę szczytu stołu; pomyślał, że chyba zaprezentował się z jak najlepszej strony. Ale wuj Frank brutalnie zburzył jego

samozadowolenie, chwycił go za rękaw i zatrzymał przy swoim krześle.

- Powodzenia, Charles - szepnął. - Na miłość boską, uważaj na siebie. Chyba widzisz, że sam diabeł zaplanował to od samego początku.

- Do widzenia, wujku Frank - odparł Charles, który nagle poczuł się nieswojo. Poszedł dalej.

Dziewczyna wstała z miejsca i otworzyła przed nim drzwi. Poruszała się ze zwinnością kota, a w duszy Charlesa Orsino zaczęło narastać przekonanie, że to on jest kanarkiem.

# ROZDZIAŁ V

Max Wyman musiał przedzierać się przez tak gęsty, rozwrzeszczany tłum, jakiego do tej pory nie spotkał. Na placu Scratch Sheet było jasno jak w dzień, a może nawet jaśniej. Atomowe lampy, zainstalowane na ścianach stupiętrowych wieżowców, zalewały ciżbę uradowanych ludzi potokami niebieskawego światła. Po żarowej tablicy informacyjnej przesuwały się dwudziestopięciometrowej wysokości litery: „23:58... 31 GRUDNIA... WEDŁUG DONIESIEŃ POLICJI DWA MILIONY OSÓB WYLEGŁY NA ULICE NOWEGO JORKU, BY POWITAĆ NOWY ROK... 23:59... 31 GRUDNIA... FALCARO ŻARTOWAŁ PRZED KAMERAMI: „NIGDY NIE SĄDZIŁEM, ŻE DO TEGO DOJDZIE” ... 24:00, PÓŁNOC, 1 STYCZNIA... SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU...”

Ryk tłumu stał się nie do zniesienia. Wyman zasłonił uszy dłońmi - miał tego dość, nienawidził tych ludzi, pragnął uciec od nich. Kilku nastolatków, obok których znalazł się mimo woli, przy wtórze głośniego śmiechu zdierało ubrania z jakiejś dziewczyny. Ona także chichotała, tylko udawała, że się broni. Noc zresztą była dosyć ciepła. Wyman wbijał wzrok w białą skórę dziewczyny, chcąc przy okazji nasycić oczy jej nagością. Wykrzykiwał przekleństwa zarówno pod adresem ofiary, jak i napastników, ale jego zachrypnięty, przepity głos tonął we wrzawie.

Ktoś wsunął mu w garść butelkę i otworzył usta, prawdopodobnie wołając: „Szczęśliwego Nowego Roku!” Max zacisnął palce, uniósł flaszkę do ust i pociągnął z niej kilka łyków. Wyrwano mu ją, ale zrobił to inny mężczyzna, nie ten, który mu wręczył butelkę. Jakiś hałaśliwy, gruby babsztyl przywarł do niego całym ciałem i ku jego przerażeniu oraz obrzydzeniu przykleił swe wargi do jego ust. Po chwili jednak siwowłosa, ryczący ze śmiechu facet szarpnięciem odciągnął od niego kobietę, objął ją i sam zaczął namiętnie całować.

Dwie wysokie dziewczyny chwyciły Wymana pod ramiona i tym razem z niego zaczęły ściągać ubranie, zanosząc się śmiechem, jakby wymyśliły najlepszy dowcip roku. Rozdzielili na oślepek kilka ciosów i szaleńczy śmiech wokół niego zamarł - widocznie dziewczyny wyczuły jego przerażenie i wściekłość. Nagły ruch tłumu dość szybko oddzielił go od nich; spomiędzy morza głów wynurzyła się następna butelka. Pochwycił ją, ale tym razem nie pił, wsunął tylko za pasek spodni i złożył ręce na brzuchu. Wykorzystując fale przesuwających się z wolna ludzi, zdołał w końcu dotrzeć na obrzeże zwartej ciżby.

„PRZYWÓDCY SYNDYKATU WITAJĄ NOWY ROK... TAYLOR WYŚLAWIA STULECIE POKOJU... 0:05, 1 STYCZNIA...”

Wyman stanął twarzą w twarz z młodą dziewczyną, która uśmiechnęła się zachęcająco, lecz szybko spoważniała, patrząc na niego z uwagą.

- Wynoś się stąd! - wrzasnęła, tłukąc drobnymi piąstkami w jego pierś.

Tutaj dało się już rozróżnić poszczególne głosy, chociaż tłum był jeszcze gęsty. Ulicznica nadal krzyczała i okładała go ciosami, kiedy niespodziewanie ruszył górny pas komunikacyjny ulicy Scratch Street i zbiegowisko zaczęło się rozplýwać na boki niczym szampan z otwartej butelki. Wyman razem z wrzeszczącą nastolatką znaleźli się na sunącym z wolna chodniku. Większość ludzi pobiegła w stronę pasa wiodącego na północ i zrobiło się trochę luźniej; dziewczyna ze szlochem także pognęła w tamtym kierunku.

Wyman, odruchowo rozcierając ucho, podreptał ze wzrokiem utkwionym w ziemię ku pasowi jadącemu na wschód i opadł ciężko na ławkę linii podążającej z szybkością dziesięciu

kilometrów na godzinę. Na pasy dwukrotnie i trzykrotnie szybszy jedynie popatrzył tępym wzrokiem; nie miał odwagi przeskoczyć na któryś z nich. Pił bez przerwy już od miesiąca; mógł upaść i rozbić zdobytą butelkę.

Zeskoczył z pasa komunikacyjnego przy skrzyżowaniu Riveredge. Rzadko kto tutaj wysiadał. Riveredge stanowiło płataninę linii transportowych biegnących pod ziemią, na jej powierzchni i na estakadach. Max tu pracował.

Ruszył wzdłuż sunących z wolna transporterów taśmowych, obudowanych w celu ubezpieczenia przed kradzieżą ładunków. Mijał rurociągi przenoszące paliwo, wodę oraz ścieki, gigantyczne blaszane magazyny i zbiorniki. Tu, w Riveredge, nigdy nie było ciemno i nie ustawał ruch. Dwadzieścia cztery godziny ledwie wystarczały na zapewnienie całemu Manhattanowi wszystkiego, co było potrzebne w ciągu doby, na wywiezienie wytworzonych towarów i usunięcie odpadów. W przypominającym światło słoneczne blasku atomowych lamp inżynierowie z przeszklonych budek kontrolowali i regulowali wszelkie procesy. Brygady naprawcze wybiegały ze swych stacji na dźwięk dzwonek, żeby zmienić wypaczoną płytę osłonową, założyć nowy zawór, czy choćby uporządkować stertę bel jedwabiu zaklinowanych na zakręcie taśmy transportera.

Dotarł w końcu do Stacji Remontowej numer 26, wyciągnął zza paska butelkę i wypił, jak mu się zdawało, tylko tyle, żeby nie sprawiać wrażenia pijanego.

- Cześć! - powitał zachrypniętym głosem kierownika zmiany. - Utknąłem w tłumie świętującym Nowy Rok.

- Nawet tutaj słyszeliśmy wrzaski - odparł tamten, badawczo przyglądając się Wymanowi. - Nic ci nie jest, Max?

- Żartujesz? - wykrzyknął rozzłoszczony Wyman. - To jasne, że trochę wypilem. Ale przecież nie jestem wstawiony, no nie? To miałeś na myśli?

- Jezu! - szepnął kierownik z rezygnacją. - Posłuchaj, Max. Nie mogę cię dzisiaj wysłać w teren. Mógłbyś sobie coś zrobić. Staram się być lojalny i chciałbym, żebyś ty postępował tak samo wobec mnie. Co cię gryzie, chłopie? Nikt cię nie zgani za kilka kieliszków i parę wygłupów. Sam w ubiegłym miesiącu schlałem się do nieprzytomności. Ale ty, do cholery, zawsze jesteś na gazie! Mam już tego dosyć. Wszyscy mają dosyć!

Wyman zaklął ordynarnie i chciał skoczyć na kierownika, ze zdumieniem spostrzegł jednak, że jest bezradny. Dooley i Weintraub, koledzy z tej samej zmiany, chwycili go pod rękę; na ich twarzach malował się smutek i troska.

- Wy śmierdzące szczury! - parsknął Wyman. - Żeby najlepsi kumple tak załatwili człowieka...

Po chwili uspokoił się, potem zaczął płakać, aż wreszcie głowa opadła mu na piersi. Dooley i Weintraub opuścili śpiącego na podłogę.

- On zawsze tak? - kierownik zapytał, ocierając spocone czoło. Pracował na stacji numer 26 dopiero od dwóch tygodni.

Dooley wzruszył ramionami.

- Mniej więcej - odparł. - Przyszedł do nas jakieś trzy miesiące temu. Opowiadał, że pracował w ekipie remontowej na stacji przeładunkowej w Buffalo. Zresztą zna się na rzeczy. Ale jeszcze nie widziałem, żeby ktoś pił tak jak on. Nigdy nie pogadał z nami, nie pożartował, tylko woda i woda. Tym razem chyba faktycznie przesadził.

- Myślę, że takich jak on kiedyś nazywano alkoholikami - wtrącił niespodziewanie Weintraub.

- A cóż to takiego? - zapytał kierownik.

- Czytałem na ten temat. Byli tacy ludzie w czasach przed Syndykatem. Tak pisało w książce. Teraz jest zupełnie inaczej. Kiedyś dziewczyny bały się dawać dupy, a chłopaki bali się je do tego nakłaniać, ale robili to po kryjomu i w dodatku musieli walczyć ze sobą, wewnątrz. Było to tak trudne do zniesienia, że niektórzy nie umieli sobie dać rady. I zamiast urządzić zdrową popijawę, tak jak wszyscy rozsądni ludzie, tamci gazowali bez przerwy. A że ciągle walczyli ze sobą wewnątrz, gazowali coraz bardziej. - Obrzucił sceptycznym spojrzeniem twarze wpatrujących się w niego ze zdumieniem mężczyzn. - Naprawdę, czytałem o tym - powtórzył.

- Możliwe - mruknął bez przekonania kierownik. - Ja też słyszałem, że kiedyś było ciężko żyć. Czy ci alkoholicy wychodzili jakoś z tego?

- Nie mam pojęcia. Tego nie doczytałem.

- Cóż, myślę, że trzeba go będzie zwolnić. - Kierownik powiódł wzrokiem po twarzach ludzi, chcąc wyczytać z nich aprobatę. Widocznie znalazł ją, gdyż westchnął z ulgą. - Tak, trzeba go będzie zwolnić. Najwyżej pójdzie do Syndykatu po zapomogę. Tu nie działo już nic dobrego. Weźcie porcję gorącej zupy i nakarmcie go, kiedy się obudzi. - Kierownik, człowiek dobrego serca, sądził, że gorąca zupa będzie wystarczającym lekarstwem.

Ale o trzeciej trzydzięci, po dwóch wyjazdach do awarii, pracownicy stwierdzili, że Wyman bez słowa opuścił stację.

Niski, gruby mężczyzna z trudem przedostał się przez świętujący tłum, w którym ugrzązł na skutek nieuwagi. Komandor Grinnel nie przybył tu, żeby się bawić. Gdy uzmysłowił sobie, że od piętnastego stycznia dzielą go zaledwie dwa tygodnie, zwątpił, czy znajdzie czas na jakiegokolwiek rozrywki. Zadanie, które go czekało, wymagało współdziałania dwóch osób, a on do tej pory nie znalazł jeszcze partnera.

Prześlizgiwał się zaułkami w stronę placu Columbii. Miał ze sobą listę najpewniejszych adresów kontaktowych.

Ale jeden agent się wyprowadził, a na terytorium Syndykatu, w tym zwariowanym bezprawiu, nie sposób było kogokolwiek odnaleźć; drugi umarł - z przedawkowania morfiny; z kolei agentka tak zbiła męża nogą od krzesła, że omal nie wyzionął ducha - i teraz czekała w areszcie na rozprawę. W myślach komandora tłukły się natrętne pytania: Dlaczego naszą tutejszą siatkę tworzą tak niepewni ludzie? A może ten łajdak, Emory, specjalnie wybrał do potrzeb mojej misji taką zbieraninę? To było niewybaczalne.

Zostało mu już tylko ostatnie nazwisko na liście, kobieta. Nie mogła mu w niczym pomóc przy czekającym go zadaniu; potrzebował kogoś o odpowiedniej sile, o pewnej wiedzy technicznej, kogoś, kto mógłby na stałe świadczyć usługi rządowi. Co prawda, profesor Speiser brała już udział w kilku operacjach technicznych. Lecz nawet abstrahując od tego, odnalezienie jej byłoby ze wszech miar wskazane. Potrzebne było chociażby zaciszne miejsce do napisania raportu.

Sabotaż...

Ostrzył sobie zęby na tamtych trzech i gdyby się nie spili i nie uparli, żeby zejść z tego osypiska... W ciągu minionych tygodni jego akcje dywersyjne przyniosły Syndykatowi, lekko licząc, trzymilionowe straty. A te głupie sukinsyny nawet tego nie zauważyły! Brygady remontowe odbudowywały zburzone mury, technicy demontowali uszkodzone silniki i wstawiali w to miejsce nowe, ekipy naprawcze lokalizowały i łątały uszkodzenia sieci łączności czy też linii rurociągów.

Wszystko zdawało się na nic.

- Zobacz, Sam. To jest stopione, jakby eksplodowała tu niewielka bomba termitowa. Jak, do diabła, mogło się coś takiego wydarzyć?

- Nie mam pojęcia, nie było mnie tutaj. Bierzmy się do roboty, chłopcze.

- Dobra. Jak myślisz, czy powinniśmy komuś o tym zameldować?

- Jeśli chcesz, możemy powiedzieć Larry'emu. Nie sądzę jednak, żeby on posłał sprawę dalej. To pewnie robota dzieciaków. Nie ma rady, i tak musimy to naprawić. Dzieciaki zawsze były takie same.

Przypomniawszy sobie tę rozmowę, zacisnął zęby i wyszedł na plac Columbii.

Profesor Speiser mieszkała w jednym ze starych domów dla kadry nauczycielskiej, zbudowanym z plastikowej cegły. Kiedy zadzwonił, w okienku pojawiła się jej wydłużona twarz pod strzechą kręconych włosów.

- Tak? O co chodzi?

- Profesor Speiser? Pani zna moją córkę, *pannę Wolność*. Prosiła mnie, żebym panią odwiedził, kiedy będę w Nowym Jorku. Czy nie przyszedłem za późno?

- O rety! To fakt, dość późno. Proszę wejść, panie... *panie Wolność*.

Wprowadziła go do saloniku i obrzuciła złężnionym wzrokiem. Mówiąc, płynnie dobierała gładkie słówka, jak podczas wykładu w szkole.

- Panie Wolność, bo chyba tak powinnam pana nazywać, sam pan pytał, czy nie jest jeszcze za późno. Pojęłam, że to pytanie można odebrać na dwa sposoby. W każdym jednak wypadku moja odpowiedź jest jednoznaczna. Przybył pan za późno. Postanowiłam na zawsze zerwać z... powiedzmy, z pańską córką, panie Wolność.

- Czy to nieodwołalne? - zapytał komandor.

- Tak. Nie byłabym w porządku, gdybym kazała się panu wynosić, nie udzieliwszy wyjaśnień. Jestem na to przygotowana. Otóż zrozumiałam, że moja znajomość z panną Wolność i chęć wykonania dla niej kilku zadań wynikała, nazwijmy to, z braku pewnego elementu w moim życiu.

Grinnel zerknął na stojącą na biurku fotografię łysego, uśmiechniętego mężczyzny z fajką. Kobieta pochwyciła jego spojrzenie i dodała, jakby ze wstydem, a zarazem z dumą:

- To doktor Mordecai z Wydziału Stomatologii Uniwersytetu. Podobnie jak ja, od wielu lat żyje w samotności. Mamy zamiar się pobrać.

- Czy sądzi pani, że doktor Mordecai miałby ochotę poznać moją córkę? - zapytał komandor.

- Nie, na pewno nie. Będziemy mieli bardzo mało czasu na cokolwiek innego poza naszą karierą zawodową i życiem prywatnym. Proszę mnie źle nie zrozumieć, panie Wolność. Jestem wciąż przyjaciółką pańskiej córki i zawsze nią pozostanę. Lecz nagle przestałam odczuwać w głębi duszy potrzebę okazywania tego poprzez czyn. To było jak piękny, lecz dość jałowy sen. W końcu musiałam powiedzieć sobie otwarcie, że można doświadczać pełni życia bez pomocy panny Wolność. Wybacz pan, ale zrobiło się naprawdę późno...

Uśmiechnęła się krzywo i wstała.

- Czy przyjmie pani moje najlepsze życzenia wszelkiej pomyślności, profesor Speiser? - zapytał, wyciągając rękę.

Kobieta uśmiechnęła się szerzej, z wyraźną ulgą.

- Obawiałam się, że pan...

Zbladła nagle i silnie się zachwiała, kiedy igła z sygnetu komandora wniknęła w skórę jej

dłoni. Grimmel, ze ściągniętą, poważną miną, cofnął rękę i ostrożnie schował igłę z powrotem. Następnie wyjął pistolet, strzelił kobiecie prosto w serce i spokojnie wyszedł z jej mieszkania.

Idiotka! Powinna się była tego spodziewać.

Max Wyman włókł się przez labirynt chodników Riveredge. Głowa mu ciążyła, jakby była z ołowiu, nogi ugiwały się pod nim, ale wstyd popychał go do ucieczki.

W pewnej chwili spostrzegł jak przez mgłę, że nie jest już sam. Riveredge nie było zamieszkane. Nie spodziewał się więc żadnego głosu nawołującego go z ciemności.

- Hej, kolego! Kolego, zaczekaj chwilę! Ktoś cię pobił?

Głos przybrał na sile; Max zrobił kilka szybszych, chwiejnych kroków. Kręte węże transporterów i estakady komunikacyjne rzucały głębokie cienie. Między bryłami zbiorników połączonych rurami dopływowymi czaił się nieprzenikniony mrok. Wyman nie umiał jednak odnaleźć miejsca, skąd wołano na niego. Stanął w końcu, drżąc na całym ciele, i oparł się plecami o grubą żelazną belkę, podtrzymującą szeroki pas jezdni. Za nią, zasłaniając wnękę w filarze wiaduktu, stał wielki arkusz zardzewiałej, falistej blachy, który teraz poruszył się i runął na ziemię. Z ciemności dobiegł starczy głos:

- Jesteś zmęczony, synu. Wejź, proszę.

Max zrobił kilka niepewnych kroków i runął na stertę łachmanów. Za jego plecami ktoś ostrożnie uniósł arkusz blachy i zasłonił nią wejście.



## ROZDZIAŁ VI

Max Wyman budził się, dręczony koszmarami. Nie był jednak sam, ktoś wciskał mu w garść to batonik, to lemoniadę, to znów kilka kostek cukru. Ktoś układał go delikatnie na stercie łachmanów, kiedy zrywał się z wrzaskiem i chciał wyruszać na poszukiwanie alkoholu. Po dwóch dniach ujrzał wreszcie wyraźnie bladą twarz starszego mężczyzny o zastygłych rysach. Tamten przedstawił się jako T. G. Pendelton.

Po tygodniu pozwolił wreszcie Wymanowi na krótki spacer po najbliższej okolicy Riveredge, nie dał mu jednak wyjść w ciągu nocy. .

- Mieszka tu trochę dzikusów - wyjaśnił - którzy gotowi byłiby cię zabić za byle co. Najgorsze są kobiety. Jeśli ktoś cię zawoła, nie reaguj, bo skończysz w kanale odprowadzającym ścieki do rzeki Hudson. To biedni ludzie.

- Żal ci ich? - spytał zdumiony Wyman. Było to dla niego coś zupełnie nowego. Od czasu, kiedy wyniósł się z Buffalo, nigdy nikogo nie żałował. Tam spotkało go coś potwornego, padł ofiarą haniebnego zdrady... Otarł czoło kościstymi palcami; nie miał ochoty wracać myślami do tamtych zdarzeń.

- A czy udałoby mi się tu przeżyć, gdyby było inaczej? - odparł pytaniem T. G. - Czasami mogę im w czymś pomóc, bo nikt inny o nich nie dba. To starzy i schorowani ludzie, nie mający swego miejsca w życiu. Dlatego zachowują się jak dzikusy. Ty jesteś młody, chyba najmłodszy z tych, którzy blakają się po Riveredge.

Tam, w wielkim mieście, jest mnóstwo zajęć dla młodych, ale zdarza się, że na starość lądujesz na bruku.

- To przez ten przeklęty Syndykat - parsknął Max z nienawiścią w głosie.

T. G. wzruszył ramionami.

- Może dlatego, że starzy, schorowani ludzie zbyt łatwo zdobywają alkohol. Tracą kogoś, z kim spędzili całe życie, i nie mogą się już odnaleźć. Wszyscy przyzwyczajamy się do określonych warunków, do łatwego życia i sądzimy, że będzie tak zawsze. A potem, kiedy następuje drastyczna zmiana, część z nas nie może tego znieść. Tobie się to zdarzyło bardzo wcześnie.

- Co spowodowało jazgot dzwonek alarmowych?

Wyman odskoczył w głąb wnęki, jakby otrzymał kopniaka w żołądek. Zalała go fala nieznośnych wspomnień: terkot dzwonka, poruszające się rytmicznie wahadło, jaskrawe światło, ładna buźka tej, która go zdradziła, znieawidzony Hogan - wszystko to bezładnie przemieszane.

- Nic - odparł chrapliwym głosem. Pomyślał, że oddałby teraz wszystko za taką ilość wódki, która by zdołała oczyścić jego pamięć. - Nic ważnego.

- Nie bój się, wyrzuc to z siebie. Coś ci się przytrafiło?

- Sam nie mogę w to uwierzyć - mruknął Max. - Podobne rzeczy się nie zdarzają. Nie. To wszystko przez nią, przez Syndykat i tego łajdaka, Hogana. Nie chcę o tym mówić.

- Jak wolisz.

Ale później wrócili do tego tematu. Wyman opowiedział swą mroczną historię: o latach spędzonych w Buffalo, o żarliwym uczuciu do Inge, wreszcie o tej straszliwej chwili, kiedy ujrzał ją w ramionach Hogana, grubej ryby tamtejszego Syndykatu. Wyciągnął na światło dzienne wszystko, co odczuwał - swą wiarę w uczciwość Syndykatu i zaufanie do Inge,

z czego jedno i drugie okazało się płonne; pociąg do alkoholu, ucieczkę z Buffalo do Erie, potem do Pittsburga, do Tamy, w końcu do Nowego Jorku. Dziwnym sposobem nękający go dźwięk dzwonek oraz widok ruchu wahadła i oślepiającego światła zaginęły gdzieś między wspomnianymi okrucami rzeczywistości.

T. G. słuchał z uwagą; karmił go i ukrywał, gdy od czasu do czasu pojawiały się w okolicy patrole. O sobie nie powiedział ani słowa, ale historię jego życia zdradziła pewna otyła kobieta, która wraz z mężczyzną o żółtych zębach mieszkała w pobliskim, nie używanym zbiorniku; jej głos odbijał się echem od pustych ścian z falistego plastiku. Wznała, że T. G. był chemikiem, specjalistą od alkaloidów. Ożenił się z rozsądku, powodziło mu się nieźle i był dość szczęśliwy. Nie wiedział, że jego żona była głęboko wierząca. Po kryjomu, czego on nawet nie odkrył, przez wiele lat kołła dręczący ją niepokój alkoholem. Aż któregoś dnia, po całonocnym pijaństwie w Riveredge, popełniła samobójstwo. T. G. przyjechał tu po jej ciało, wyprawił jej pogrzeb, a następnie wycofał wszystkie oszczędności z banku i wrócił. Od tamtej pory nie ruszał się z Riveredge.

- Należałoby całować ziemię, po której stąpa ten człowiek - mamrotała niewyraźnie. - Nigdy się nie wścieka, nikogo nie wyzywa. Zawsze ma jakąś butelczynę, gdy jesteś w potrzebie, i umie zabawić rozmową, jeśli dopadnie cię chandra. Wszyscy powinni go szanować.

Kiedy Max Wyman opuścił zbiornik z falistego plastiku, czuł się podle. Dobroć T. G. sprawiała, że uznał siebie za ostatnią kreaturę.

- Wynoszę się stąd - oznajmił swemu opiekunowi po kilku dniach.

Tamten, którego twarz zawsze przypominała zastygłą maskę, jakby odrobinę się uśmiechnął.

- Może najpierw zobaczyłbyś się z kimś?

- Z twoim przyjacielem?

- Z kimś, kto słyszał o tobie. Może on będzie mógł ci jakoś pomóc. Jego uczucia w stosunku do Syndykatu są podobne do twoich.

Wyman zacisnął zęby. Na samą myśl o Syndykacie, Hoganie, Inge oraz zdradzie przeszywał go ból. Boże, żeby móc im się odwzajemnić!

Po chwili przejrzał na oczy i spojrzał uważnie na T. G.

- Po co? Dlaczego miałbym się z kimś spotykać? O co tu chodzi?

Tamten wzruszył ramionami.

- Ja nie dbam ani trochę o Syndykat, ale martwię się o ludzi. Żał mi ciebie. Nie jesteś zupełnie normalny, Max, tak jak my wszyscy, którzy tu mieszkamy.

- Idź do diabła!

- On...

Wyman czekał przez chwilę, lecz T. G. milczał.

- No, dalej! Nie możesz tego wydusić? - Max wiedział, że każdego innego można by usprawiedliwić za takie zachowanie, ale on nie miał nic na swą obronę. T. G. również zdawał sobie z tego sprawę.

- Nie jesteś całkiem normalny, bo dusisz w sobie nienawiść - odparł w końcu. - Lepiej dać ujście swoim uczuciom; zdzielić po pysku człowieka, którego nienawidzisz, i dać mu szansę rewanzu, a nie pozwalać, żeby ta nienawiść zżerała cię od środka jak robaki.

- A co ty masz przeciwko Syndykadowi?

- Zupełnie nic, Max. Syndykat dla mnie nic nie znaczy, troszczę się jedynie o ludzi: takich

jak ty, ale również takich, którzy tworzą Syndykat. Należy któregoś z nich po mordzie i daj mu szansę oddać ci z nawiązką. Może jak Samson w świątyni zdołasz podkopać ich pozycję, ale prędzej to oni cię zniszczą. W każdym razie zrobisz coś dla siebie. Właśnie o to mi chodzi. Tego wszyscy musimy się nauczyć, albo skończymy w Riveredge.

- Masz fioła.

- Pewnie, że mam. Inaczej bym tu nie siedział.

Nieznajomy przyszedł o zachodzie słońca. Był niski i gruby, z potarganą strzechą rzadkich włosów i najbardziej zimnym, bezwzględny spojrzeniem, jakie Max kiedykolwiek widział u człowieka. Kiedy wymieniali uścisk dłoni, Wyman poczuł szybkie, delikatne ukłucie w palec; zwrócił uwagę, że mężczyzna nosi wykwintny, gruby sygnet ze złota. Po chwili mgła przesłoniła mu wzrok i świat wokół niego zawirował. Nie wiedział, co się z nim dzieje, miał jednak świadomość, że zadawano mu pytania, na które udzielał odpowiedzi, i że trwało to całymi godzinami.

W pewnym momencie odzyskał jasność myśli.

- Teraz mogę się przedstawić - rzekł grubas. - Jestem komandor Grinnel z Marynarki Wojennej Ameryki Północnej. Prowadzę nabór agentów. Wstępne badanie wypadło pomyślnie, chyba nie jesteś wtyczką. Sprawiasz wrażenie właściwego człowieka dla potrzeb rządu amerykańskiego. Witam cię w naszym gronie.

- Czego po mnie oczekujecie? - spytał nieswoim głosem Wyman.

- To zależy od twoich umiejętności. A czym ty miałbyś ochotę się zająć?

- Chciałbym zabić kilku z Syndykatu - wypalił Max.

Komandor uważnie spojrzał na niego lodowatym wzrokiem.

- Myślę, że to się da załatwić - odparł po chwili. - Chodź ze mną.

Pojechali tramwajem na Cape Cod. O północy, piętnastego stycznia, wyszli obaj z pokoju hotelowego i ruszyli ulicami miasteczka. Komandor przymocował niewielkie paczuski do czterech nóg wyniosłej wieży, zapewniającej łączność mikrofalową z Kontynentalnym Centrum Prasowym i ogólną siecią telefoniczną. Takie same ładunki zostały przyklejone do ścian hangaru policyjnych ścigaczy motorowych.

O pierwszej w nocy eksplozje zwały wieżę na ziemię, a przystań zamieniły w straszliwe kłębowisko poskręcanych od żaru blach. Równocześnie, nie wiadomo skąd, na ulicy Centralnej pojawiło się pięćdziesięciu mężczyzn w czarnych golfach i hełmach. Połowa z nich błyskawicznie wzniosła barykadę w poprzek ulicy, otwierając ogień do mieszkańców i gliniarzy, którzy podeszli za blisko. Druga połowa zajęła się systematyczną grabieżą wszystkich sklepów pomiędzy barykadą a plażą.

Mrugając latarką, komandor przesłał umówiony sygnał, po czym wraz z Wymanem bezpiecznie dotarli do barykady i zostali przepuszczeni. O drugiej trzydzieści pięć wszyscy napastnicy, dwóch przybyszów oraz zrabowane towary byli już na pokładzie łodzi podwodnej, która po dziesięciu minutach zniknęła w głębi oceanu.

Komandor Grinnel najpierw pogratulował kapitanowi udanej akcji, a następnie przedstawił Wymana.

- To rekrut. Nie zabierałbym go w normalnych warunkach, ale on ma specyficzną motywację i może być dla nas niezwykle użyteczny.

Kapitan obrzucił Maxa niechętnym spojrzeniem.

- O ile nie jest wtyczką.

- Korzystałem z mego sygnetu, lecz jeśli pan chce, możemy jeszcze raz przeprowadzić test

i od razu go zaprzysiężyć.

Przyklejono Wymanowi elektrody urządzenia, które rejestrowało puls, wydzielanie potu, szybkość oddechu, napięcie mięśni i fale mózgowie. Technik w czarnej bluzie zadał mu kilka nic nie znaczących pytań, dostrajając aparaturę.

Wreszcie zaczęło się badanie. Max nie omieszkał zauważyć, że kapitan rozpiął kaburę pistoletu, zanim padło pierwsze pytanie.

- Nazwisko, wiek i pochodzenie.
- Max Wyman, dwadzieścia dwa lata, mieszkaniec terytorium Syndykatu Buffalo.
- Jaki jest twój stosunek do Syndykatu?
- Nienawidzę go.
- A jakie żywisz uczucia w stosunku do rządu Ameryki Północnej?
- Jeśli walczy on z Syndykatem, to jesteśmy po tej samej stronie.
- Czy gotów jesteś rabować dla rządu amerykańskiego?

Trwało to dobrą godzinę. Pytania padały jedno za drugim; Wyman odpowiadał na nie bez wahania i za każdym razem technik obsługujący aparaturę nieznacznie, z satysfakcją kiwał głową. Wreszcie badanie dobiegło końca i odłączono go od przyrządu.

Kapitan, jakby z nabożną czcią, sięgnął po małą książeczkę i przeczytał:

- Czy ty, Maksie Wymanie, szczerze wypierasz się wszelkiej dotychczasowej lojalności i przyrzekasz posłuszeństwo rządowi Ameryki Północnej?

- Przyrzekam - powiedział silnym, pewnym głosem.

W jakimś zakamarku jego umysłu, po raz pierwszy od wielu miesięcy, naraz umilkły dzwonki alarmowe, zniknął obraz kołyszącego się wahadła i jaskrawe światło.

Charles Orsino odzyskał swą osobowość. Wróciła także świadomość misji, jaką miał do spełnienia.

## ROZDZIAŁ VII

Wszystko zaczęło się wtedy, gdy nieznajoma dziewczyna wyprowadziła go z sali konferencyjnej. Nawet jeśli miał jakieś wątpliwości, nie odważył się wypowiedzieć ich na głos. Poczł jednak strach, kiedy w podziemiach budynku stanęli przed drzwiami przypominającymi wejście do grobowca, a gdy te zatrzasnęły się za nim z hukiem, ogarnęło go przerażenie.

- Gdzie jesteście? - zapytał w końcu. - Dokąd mnie prowadzisz?

- Do laboratorium psychologii.

Zrobiło to na nim takie samo wrażenie, jakie nazwy „Wydział Alchemii” czy „Seksja Astrologii” mogły wywrzeć na wykształconym, młodym człowieku w roku 1950.

- Laboratorium psychologii - powtórzył nieswoim głosem. - Jeśli nie chcesz mi powiedzieć prawdy, to trudno. Zgodziłem się na ochotnika, bez żadnych warunków. - Chciał jej przypomnieć, że powinna go traktować jak swoistego bohatera, że winna jest mu odrobinę szacunku zamiast tanich dowcipów.

- Powiedziała prawdę - odparła, majstrując pieczołowicie przy ryglach następnych opancerzonych drzwi. - Jestem psychologiem. Poza tym nazywam się Lee Falcaro, jeśli już chcesz wiedzieć.

- Z tej samej linii co stary Edward Falcaro?

- Dokładnie. To brat mego ojca, Szymona, który siedzi w Miami i nadzoruje transport oraz hazard.

Drugie drzwi otworzyły się i weszli do ciemnego pomieszczenia wypełnionego suchym, zatechłym powietrzem.

- Siadaj - nakazała dziewczyna, wskazując mu dziwny fotel.

Usiadł, stwierdzając ze zdumieniem, że jest to najwygodniejszy mebel, z jakiego kiedykolwiek korzystał; zdawał się obejmować całe jego ciało, nigdzie nie uwierał. Dziewczyna jednak sprawdziła coś za jego oparciem i mruknęła, że trzeba będzie poprawić. Orsino zaprotestował.

- Nonsens - odparła stanowczo. Usiadła naprzeciwko niego na zwykłym krześle. Charles poruszył się niespokojnie i zauważył, że fotel dopasowuje się do ułożenia jego ciała. Wciąż nie odczuwał najmniejszego ucisku.

- Zaniepokoiło cię słowo „psychologia” - zaczęła Lee. - To fakt, że dziedzina ta cieszy się złą sławą i wszyscy myślą, że to jakieś pokrętne machlojki. Prawdą jest też, że w obecnych czasach nikt nie przykłada wagi do badań nad ludzkim umysłem. Wszystkim powodzi się nieźle, generalnie rzecz biorąc - bez większego wysiłku każdy ma to, czego zapagnie. Mówiąc słowami twego wuja, Franka Taylora, Syndykat stanowi organizację o właściwej strukturze oraz wysokim morale i cieszy się szeroką akceptacją społeczeństwa. Ja bym powiedziała, że Syndykat jest organizacją typu ojcowskiego, która świetnie realizuje zadania opiekuńcze. Kiedy ludziom się dobrze powodzi, nie analizują swojego życia.

Na dobrą sprawę nie ma żadnego powodu, dla którego nasza gałąź rodziny miałaby się zajmować psychologią eksperymentalną. Dawno, dawno temu stary Amadeo Falcaro często zasięgał rady profesora Oscara Sternweissa z wydziału psychologii Uniwersytetu Columbia, który wcale nie był takim zaganianym improwizatorem, jakim przedstawia się go w książkach historycznych. W końcu jedna z córek Amadeo wydała się za jednego z synów Sternweissa,

a potem odziedziczyła po nim wszystkie notatki, bibliotekę oraz prywatne laboratorium. Stało się irracjonalną, rodzinną tradycją utrzymywanie tego wszystkiego w idealnym stanie. Kiedy zaś każdy z akademickich nurtów psychologii począł zajmować się wyłącznie udowadnianiem, że inne nurty są całkowicie błędne, co doprowadziło do degradacji tej nauki, nasza tradycja rodzinna pozostała nieskażona, była bowiem odizolowana od zwalczających się obozów. Teraz pewnie zastanawiasz się, co to wszystko ma wspólnego z próbą wsadzenia ciebie do rządu.

- Właśnie - odparł Charles z naciskiem. Gdyby ta dziewczyna nie należała do Syndykatu, już dawno zaprotestowałyby przeciwko tym wygłupom i wyniósł się stąd. Lecz ona nie tylko była z Syndykatu, ale jeszcze należała do rodu Falcaro, nie miał więc innego wyjścia, niż wysłuchać tego bełkotu i dopiero później się z nią pożegnać. Cała ta psychologia to bzdura: ego, duch wszechmogący, wektory umysłu, konsultacje, psychosomatyka. Jedna wielka bzdura wymyślona przez schorowanych starców. Wszyscy przecież zdawali sobie sprawę...

- Wiemy, iż rząd stosuje środki pobudzające podczas pierwszego badania rekruta. Natomiast w drugim badaniu używają niezawodnego fizjologicznego detektora kłamstwa, którego działanie opiera się na tym, że każde wypowiedane kłamstwo powoduje określone procesy fizjologiczne u badanej osoby. Mamy zamiar to ominąć, wprowadzając ciebie jako młodego człowieka, z bardzo ważnych powodów nienawidzącego Syndykatu...

- Nic z tego nie wyjdzie! Sama powiedziałaś, że detektora nie da się oszukać!

- Wcale nie chcemy go oszukiwać. Będiesz naprawdę człowiekiem, który nienawidzi Syndykatu. Stopniowo zlikwidujemy twoją osobowość, będziesz przyjmował dawki seconalu codziennie przez pół roku... Później ukryjemy twoją osobowość pod całkowicie odmienną. Pogrzebiemy Charlesa Orsino pod wielką górą sugestii, przymusów i obsesji pakowanych w ciebie przez szesnaście godzin dziennie, aż będziesz na tyle odurzony, żeby przestać z tym walczyć. Oczywiście, wszczepiona tym sposobem osobowość będzie niestabilna, neurotyczna, ale to nawet pasuje do czekającego nas zadania.

Orsino po raz pierwszy w życiu stykał się z podobnymi, metafizycznymi koncepcjami.

- Ale... skąd będę wiedział, że ja to ja?

- Sądzę, że możemy wprowadzić taki klucz: kiedy tylko złożysz przysięgę wierności rządowi, znów staniesz się sobą.

Charles nie omieszkał zauważyć, że pomiędzy jej brwiami tworzy się niewielka zmarszczka, szczególnie wtedy, gdy mówi „chyba” lub „sądzę”. Zdawał sobie sprawę, że w pewnym sensie jest teraz o wiele bliższy śmierci niż wtedy, gdy Halloran wymierzył w niego broń.

- Zgadzasz się na to wszystko? - zapytała Lee.

W tym pytaniu zawartych było jednocześnie tak wiele rzeczy: *Poświęcenie życia dla Syndykatu*” w rozumieniu podręczników do historii, co samo w sobie stanowiło już bardzo wiele. Ale w połączeniu z „*zapowiada się znacznie ciekawiej niż to beznadziejne polo*” oraz „*w ten sposób moje akcje w oczach rodziny pójdą znacznie w górę*” zyskiwało ogromną wartość. Dziwnym sposobem, pod natarczywym spojrzeniem Lee Falcaro, Charles musiał podzielić tę wartość przez: „*o ile wszystko się uda*”.

- Tak, zgadzam się - odparł.

Dziewczyna odpowiedziała uśmiechem.

- To nie będzie takie trudne - dodała. - W dawnych czasach istniały jeszcze rejestry ludności, spisy administracji terenowej i wojskowych komisji poborowych, setki różnych akt,

w których można by sprawdzać chociażby adresy. Ale teraz wystarczy jedynie dać ci nowe nazwisko i sfałszowany życiorys.

Tak to się zaczęło owego wiosennego dnia i trwało aż do późnej jesieni.

Terkot dzwonków.

Oślepiające światło.

Jednostajny ruch wahadła.

Nazywasz się Max Wyman, pochodzisz z terytorium Syndykatu Buffalo. Nazywasz się Max Wyman, pochodzisz z terytorium Syndykatu Buffalo. Nazywasz się Max Wyman, pochodzisz z terytorium Syndykatu Buffalo...

Mama szykowała na śniadanie smażone parówki; uwielbiałeś zapach pumpernika z piekarni przy Vesey Street.

Pan Jakiś tam, wąsaty nauczyciel angielskiego, chciał posłać cię na uniwersytet...

*Nie, ty nie możesz, Argusa oczy masz,*

*A ci z klasztorów trzymają silną straż,*

*Co rok ich tajni szpiedzy prowadzą wizytacje;*

*Ach, gdyby tylko książkę...*

...mogłeś mieć blisko domu pracę hodowcy bydła, lecz wolałeś zostać technikiem w ekipie remontowej.

Nazywasz się Max Wyman, pochodzisz z terytorium Syndykatu Buffalo. Nazywasz się...

Terkot dzwonków.

Oślepiające światło.

Jednostajny ruch wahadła.

Smażone parówki, wąsaty nauczyciel i twoje ulubione wiersze. Ponadto:

*Strona 24, paragraf 3: Maksymalna szybkość chodnika komunikacyjnego dla ludzi wynosi pięć kilometrów na godzinę; starsze typy pasów napędzane były przez standardowe, osiemnastocalowe ehrenhaftery, przyłączone za pomocą przekładni redukcyjnych. Praktyka wykazała, że znacznie ekonomiczniejsze są bezpośrednie napędy ehrenhafterów o zredukowanej szybkości. Nakłada to dodatkowe obowiązki na technika służb awaryjnych, który musi umieć rozróżniać oba typy napędów, mieć przy sobie schematy instalacyjne dla obu typów, jak również odpowiednią ilość części zamiennych, chociaż zasadą jest ograniczanie jego bagażu do niezbędnego minimum. Podstawową różnicą w instalacji standardowego, osiemnastocalowego ehrenhaftera a niskoobrotowego...*

Teraz jest już znacznie lepiej. Maksie Wymanie, masz wielki dług do spłacenia Jimowi Hoganowi, ojcu Syndykatu Buffalo, który w dawnych czasach walczył o twoją wolność, a także jego potomkom, w trudzie i znoju czuwającym nad twą wolnością i szczęściem.

Teraz twoim szczęściem jest Inge Klohbel, gdyż osiągnąłeś już prawie wiek męski.

Nazywasz się Max Wyman, pochodzisz z terytorium Syndykatu Buffalo. Nazywasz się Max Wyman, pochodzisz z terytorium Syndykatu Buffalo.

A Inge Klohbel jest powodem, dla którego porzuciłeś nierealne marzenia o studiach uniwersyteckich, gdyż jej usta, jej włosy, oczy i nogi znaczą dla ciebie o wiele więcej niż cokolwiek innego, więcej nawet niż:

*Ostatnie zmiany fonologiczne w języku angielskim zawierają także mutacje palatalne; na przykład dyftongi eo, io przed ht i hs na skutek skracania przekształciły się w ie (i, y), jak w słowach: cneoht, chieht, oraz ceox (gdzie x wymawiane jest jak hs), siex, six, syx...*

Nierealne marzenia o studiach, tylko skąd znowu ta myśl, że trzeba się odpłacić Syndykadowi?

Terkot dzwonek.

Oślepiające światło.

Jednostajny ruch wahadła.

Odpłacić się Syndykadowi oraz młodemu Mike'owi Hoganowi i zarazem wszystkim ludziom z sąsiedztwa, a Inge mówi, że on wpadł tylko na chwilę, żeby się przywitać, i zachowywał się bardzo kulturalnie...

Wbijasz więc do głowy wszystkie instrukcje i pewnego dnia wyruszasz na wezwanie w teren, a żaden z doświadczonych pracowników nie ma pojęcia, dlaczego ta pompa stanęła (to był stary, ryczący potwór, a nie nowa, zgrabna pompa; siedział na polu jak wielkie, opancerzone monstrum, podczas gdy było zgromadzone pięć kilometrów dalej wokół karmników i cielecia w zagrodach usychały z pragnienia), znajdujesz uszkodzenie, wyciągasz lampę lutowniczą, parę języków błękitnego płomienia i pompa zaczyna znów pracować, a ty masz w ten sposób wolne popołudnie.

I zastajesz ich razem.

LEE FALCARO (POCHYLA SIĘ NAD MRUCZĄCYM, BŁYSKAJĄCYM ŚWIATEŁKAMI PULPITEM): ADRENALINA, WYRAŹNIEJSZY OBRAZ I GŁOŚNIEJSZY DŹWIEK.

ASYSTENT (WYJMUJE KOREK Z KROPLÓWKI PRZYKLEJONEJ DO RAMIENIA CZŁOWIEKA, REGULUJE KONTRAST OBRAZU Z PROJEKTORA I ROBI GŁOŚNIEJ): ON SŁABNIE.

LEE FALCARO (SZEPTEM): WIEM, ALE TO BARDZO WAŻNA CHWILA.

ASYSTENT (POD NOSEM): TY BEZWZGLĘDNA SUKO.

Nazywasz się Max Wyman, nazywasz się Max Wyman. I nie masz pojęcia, jak przeciwstawić się Syndykadowi, który cię zdradził, dziewczynie, która cię zdradziła z przedstawicielem tegoż Syndykatu, marzeniom o studiach, które legły w gruzach, miłości, która legła w gruzach mimo tak wielu obietnic i przyrzeczeń, ideałom dwudziestu lat życia, które także legły w gruzach mimo licznych deklaracji. Terkot dzwonek.

Oślepiające światło.

Jednostajny ruch wahadła.

Podwójna whisky i duże piwo.

LEE FALCARO: ALKOHOL.

(KROPLE SPADAJĄ ZE STERYLNEJ BUTELKI, SPŁYWAJĄ GUMOWYMI WĘŻYKAMI DO RAMIENIA BEŁKOCZĄCYCH, ZLANYCH POTEM SZCZĄTKÓW CZŁOWIEKA. CZĄSTECZKI ALKOHOLU MIESZAJĄ SIĘ Z MOLEKUŁAMI SERUM I PO CHWILI DOCIERAJĄ DO BŁON KOMÓRKOWYCH PŁATÓW MÓZGOWYCH; GALARETOWATE DROBINY, BOMBARDOWANE CZĄSTECZKAMI ALKOHOLU, ZACZYNAJĄ SIĘ KURCZYĆ I ZMIENIAĆ SWĄ STRUKTURĘ; CYTOPLAZMA ORAZ JĄDRA KOMÓRKOWE, UKRYTE ZA TYMI GALARETOWATYMI ŚCIANKAMI, POCZYNAJĄ Z WOLNA ULEGAĆ REDUKCJI. STRUMIENIE ELEKTRONÓW, KTÓRE WĘDROWAŁY NATURALNYMI POŁĄCZENIAMI PRZEZ ŁAŃCUCZY NEURONÓW,



ZNAJDUJĄ ŁATWIEJSZĄ DROGĘ POPRZEZ ZATRUTE I CIĘSZE BŁONY KOMÓRKOWE. „WSPOMNIENIE”, „MYŚL” CZY TEŻ „ZNACZENIE”, TWORZONE PRZEZ ODPOWIEDNIĄ KONFIGURACJĘ NEURONÓW PRZECINANYCH STRUMIENIAMI ELEKTRONÓW, ZANIKAJĄ W-MIARĘ SŁABNIĘCIA TEGO STRUMIENIA PŁYNĄCEGO INNYMI DROGAMI. POWSTAJĄ NOWE „WSPOMNIENIA”, „MYŚLI”, „PRAGNIENIA” ORAZ „ZNACZENIA”, UFORMOWANE W ODMIENNEJ KONFIGURACJI NEURONÓW POŁĄCZONYCH STRUMIENIEM ELEKTRONÓW).

Miłość i lojalność tracą swoje znaczenie, ale ślad po nich pozostaje, Maksie Wymanie, a ten ślad nie da ci żyć. Pogna cię z Buffalo do Erie, gdzie nie znajdziesz ukojenia nawet w meksykańskich szprycach, nie wróci spokoju ani tequila z Tamy, ani żubrówka z Pittsburga, ani nowojorski dżin.

Będziesz się zwierzał przypadkowym ludziom, którzy wpadną na kieliszek do baru przy skrzyżowaniu, że jesteś najlepszym technikiem remontowym, jaki kiedykolwiek wyjechał z Erie; będziesz im mówił, że kobiety wcale nie są takim cholernym błogosławieństwem i że Syndykat - tutaj ściszysz głos i mętym, pijackim wzrokiem rozejrzysz się ostrożnie dookoła - także nie jest takim cholernym błogosławieństwem; będziesz po pijanemu recytował wiersze, aż wszyscy odsuną się od ciebie, zmieszani i zaniepokojeni.

LEE FALCARO (OCIERA CZOŁO CIĘŻKĄ ZE ZMĘCZENIA RĘKĄ): CÓŻ, TO CHYBA WSZYSTKO. ODŁĄCZ KROPLÓWKI, DAJ MU ODPOCZAĆ PRZEZ DWIE DOBY W ŁÓŻKU, A PÓTEM WYWIEŻ GO NA ULICĘ WYCHODZĄCĄ PROSTO NA RIVEREDGE.

ASYSTENT: CZY MAM WYŁĄCZYĆ I ZAKONSERWOWAĆ APARATURĘ? LEE FALCARO (KRZYWI SIĘ NIEPOSTRZEŻENIE): NIESTETY NIE. ASYSTENT (POD NOSEM, WYCIĄGAJĄC IGŁY KROPLÓWEK Z RAMIENIA NIEPRZYTOMNEGO MĘŻCZYZNY): KTO BĘDZIE NASTĘPNYM PALANTEM?

## ROZDZIAŁ VIII

Łódź wynurzyła się o świcie. Orsino znalazł przydzieloną mu koję i, ku swemu zaskoczeniu, usnął niemal natychmiast. O ósmej rano jakiś marynarz w czapce obudził go, szarpiąc za ramię.

- Teraz twoja zmiana - oznajmił mu lakonicznie.

Zaspany Charles chciał go delikatnie odesłać do diabła, ale tamten pociągnął go za rękę i zrzucił na pokład.

- Masz zamiar się sprzeczać? - warknął.

Reakcje Orsino były świetnie dostosowane do rozgrywek polo; potrafił w ułamku sekundy wykonać właściwy ruch na podstawie toru kuli czy rykoszetów pocisków, umiał przewidzieć taktykę i strategię czwórki przeciwników. Nie wiedział jednak, jak postąpić wobec istoty ludzkiej zachowującej się tak gwałtownie, jakby miała do czynienia z przedmiotem martwym. Leżał na pokładzie i spoglądał na człowieka z niedowierzaniem, tym bardziej, że tamten oparł dłoń na tkwiącym przy pasie nożu.

- No i co, chłoptasiu? - syknął marynarz przez zęby, doszedłszy widocznie do wniosku, że Charles nie ma zamiaru z nim walczyć. - Lepiej nie zaczynać z gwardzistami.

Rzucił się na koję i spod przymrużonych powiek obserwował, jak Orsino przepycha się przez tłum i wychodzi po drabince na zewnątrz.

Nad okrętem wisiało ciemnoszare, silnie zachmurzone niebo. Łódź podwodna zdawała się ślizgać po falach, słonawe bryzgi przelatywały nad błyszczącym od wody kadłubem. Na dziobie obsługa trzynastomilimetrowego działa czyściła armatę; poprzez szum fal ledwie słychać było komendy padające z ust dowodzącego nią podoficera. Orsino oparł się o ścianę sterówki i próbował zebrać do kupy swoje myśli.

Nie było to proste.

Nazywał się Charles Orsino i był członkiem-juniorem Syndykatu; wszystkie wspomnienia pasowały do tego obrazu.

Zarazem był także Maksem Wymanem, posiadał również jego wspomnienia, chociaż nie tak wyraźne. Jednakże teraz, kiedy mógł zdusić w sobie osobowość Maxa Wymana, potrafił też przypomnieć sobie, w jaki sposób owe wspomnienia zostały mu zaszczipione. Pamiętał wszystko, do ostatniego ułknięcia igły strzykawki. Przyszło mu na myśl kilka gorzkich słów pod adresem Lee Falcaro, ale musiał szybko odegnąć je od siebie, kiedy u wyjścia na pokład stanął komandor Grinnel.

- Dzień dobry panu - powitał go Charles. Tamten skierował ku niemu swe lodowate oczka.

- Czołem - rzekł. - Tak się witamy na pokładach łodzi podwodnych. Słyszałem, że miałeś jakieś problemy z przydzieloną ci koją.

Orsino z niechęcią wzruszył ramionami.

- Ktoś powinien był ci o tym powiedzieć. Na łodzi aż roi się od gwardzistów, którzy mają bardzo wysokie mniemanie o sobie, zresztą nie bez przyczyny. Podczas naszej akcji sprawili się znakomicie. Lepiej z nimi nie zadzierać.

- Kim oni są? - zapytał Orsino.

- To elita - Grinnel wzruszył ramionami. - Ludzie Lomana. - Zauważył pytające spojrzenie Charlesa i uśmiechnął się krzywo. - Loman jest prezydentem Ameryki Północnej - dodał.

- Do tej pory słyszeliśmy, że prezydentem jest Ben Miller.

- To już nieaktualne. Millera popierała Marynarka, natomiast Loman był Sekretarzem Obrony. Rozwiązał dowództwo marynarki i podzielił korpus na niewielkie oddziały, pozbawiając ich dostępu do ciężkiej broni. Równocześnie, w tajemnicy, ale przy współdziałaniu Sekretarza Informacji, powołał do życia gwardię. Jakies dwa lata temu zaatakował. Marynarze, którzy nie chcieli przyłączyć się do gwardzistów, zostali wycięci w pień. Miller miał na tyle odwagi, żeby palnąć sobie w łeb. Veep oraz Sekretarz Stanu złożyli rezygnacje, choć nie ocalili w ten sposób głów. Loman automatycznie obwołał się prezydentem, a potem kazał ich rozstrzelać. Byli zresztą strasznie skorumpowani, ciałem i duszą należeli do Bloku Południowego.

Dwóch marynarzy wyniosło na pokład składany leżak, za nimi pojawił się kapitan. Oczy miał przekrwione z niewyspania.

- Tu go rozłóżcie - nakazał, po czym opadł ciężko na leżak. - Dzień dobry, Grinnel - rzekł cicho. - Chyba robię się za stary na łodzie podwodne. Tęsknię za słońcem i świeżym powietrzem. Czy nie mógłbyś wykorzystać swoich wpływów na dworze, żeby przenieśli mnie na krążownik? - Wyszczrzył zęby w szerokim uśmiechu, chcąc pokazać, że był to jedynie żart.

- Gdybym miał jakieś wpływy - odparł Grinnel, uśmiechając się krzywo - to myślisz, że brałbym udział w podobnych awanturach?

Kapitan ułożył się wygodniej i po chwili zasnął; miał tik nerwowy, co kilka sekund dygotał mu mięsień lewego policzka. Komandor pociągnął Charlesa pod osłonę wieży sterówki.

- Dajmy mu spokojnie pospać - rzekł. - Idź i przekaz dowódcy obsługi działa, że komandor Grinnel kazał im zniknąć pod pokładem.

Orsino wypełnił polecenie. Podoficer mamrotał coś pod nosem o szkoleniu drużyny, ale Charles powtórzył rozkaz.

Obsługa wkrótce zabezpieczyła działą i weszła w głąb łodzi.

- Jesteś rzadkim okazem, Wyman - rzekł obojętnym tonem Grinnel. - Wydajesz się niezwykle uzdolniony, ale w nic się nie angażujesz. Chodź ze mną, zejdziemy do sterówki.

Kiedy znaleźli się pod pokładem, przysadzisty komandor oznajmił oficerowi pełniącemu wachtę:

- Ja przejmę sterowanie, a ten tu Wyman zajmie się kontrolą radarową.

Orsino chciał zaprotestować, lecz spojrzenie Grinnela zamknęło mu usta. Tamten musiał chyba zdawać sobie sprawę, że Charles nie ma najmniejszego pojęcia o radarze.

- Tak jest, komandorze - odparł zmieszany oficer. Marynarz, który oderwał głowę od grubej, gumowej osłony, rzucił krótko:

- Przejmuj ten kramik, chłopie.

Wyman ostrożnie zbliżył twarz do wizjera i popatrzył na nic dla niego nie znaczący ekran pełen zielonkawych rozbłysków, szeregów ledwie połyskujących liczb oraz zupełnie niezrozumiałych strzałek. Usłyszał, jak Grinnel zwraca się do sternika:

- Przynies mi kubek kawy, marynarzu. Potrzynam za ciebie koło.

- Zaraz przekażę kuchcikowi, proszę pana,

- Przestań się wygłupiać, marynarzu. Sam przynieś tej kawy. Mam na nią ochotę w tej chwili i nie chcę czekać, aż pomocnik stewarda zdecyduje się ją przynieść.

- Tak jest.

Orsino usłyszał stukot butów o metalową drabinkę. Nagle ktoś chwycił go za ramię; usłyszał tuż przy uchu szept Grinnela:

- Kiedy usłyszysz, że klnę na podłg kawę, krzyknij: samolot 265, DX 3000. Tylko głośno

i wyraźnie. Nie oglądaj się, patrz na ekran. Powtórz.

Charles wbił wzrok w niezrozumiałe, rozdwajające mu się przed oczyma zielone rozbłyski i powtórzył:

- Samolot 265, DX 3000. Głośno i wyraźnie, kiedy pan zacznie złorzeczyć na kawę.

- Dobra. Tylko nie zapomnij.

Niedługo ponownie rozległ się tupot butów na drabince.

- Pańska kawa.

- Dziękuję, marynarzu. - Dały się słyszeć dwa głośne siorbnięcia. - Zawsze twierdziłem, że na łodziach podwodnych podają najgorszą kawę w całej Marynarce.

- Samolot 265, DX 3000! - wrzasnął Orsino.

Dzwonki alarmowe wszczęły ogłuszający jazgot.

- Zanurzenie! - krzyknął Grinnel.

- Zanurzenie! - powtórzył sternik. - Ależ... Panie komandorze, kapitan...

Orsino także przypomniał sobie o śpiącym w leżaku na zewnątrz kapitanie, któremu co kilka sekund drgał mięsień lewego policzka.

- Do cholery! Przecież zbliża się samolot! Wykonać zanurzenie!

Luminescencyjne rozbłyski, liczby i strzałki na ekranie zatańczyły, szum silników uległ zmianie, zadzwoniły domykane luki, woda z bulgotem wdarła się do zbiorników balastowych. Charles zachwiał się i złapał uchwytu, kiedy podłoga uciekła mu spod nóg i pochyliła się pod sporym kątem.

Teraz wiedział już, co Grinnel miał na myśli, mówiąc, że on w nic się nie angażuje. Pojął także, że przestało być to prawdą.

Przez chwilę miał wrażenie, że zwymiotuje wprost na ekran radaru, ale nudności szybko minęły.

Po kilku minutach z głośników rozbrzmiał metalicznie zniekształcony, powtarzany echem na całym okręcie głos Grinnela.

- Do całej załogi. Mówi komandor Grinnel. Podczas alarmowego zanurzenia straciliśmy kapitana, lecz podobnie jak ja wiecie wszyscy, że on w taki właśnie sposób chciałby zginąć. Jako najstarszy rangą oficer liniowy na pokładzie przejmuję dowodzenie aż do końca rejsu. Pozostaniemy w zanurzeniu do zmroku. Oficerowie wachtowi zgłoszą się do sali odpraw. To wszystko.

Klepnął Orsino po ramieniu.

- Wyłącz to - rzekł.

Charles spostrzegł, że zielone rozbłyski - najprawdopodobniej odbicia chmur - zniknęły z ekranu i pojął, iż radar kontroli powietrznej nie działa pod wodą.

Nie brał udziału w odprawie oficerów, powlókł się więc bez celu korytarzami okrętu, który wydał mu się nagle straszliwie zatłoczony; część załogi spała, inni raczyli się kawą i rozmawiali cicho. Kilka razy musiał przystawać i udzielać wykrętnych odpowiedzi na pytania dotyczące samolotu, który rzekomo spostrzegł na ekranie radaru. Udawało mu się jakoś wyjść cało z opresji, miał jednak wrażenie, że następne pytanie doprowadzi go do dzikiej pasji.

Załoga raczej bez sentymentu pogodziła się ze stratą kapitana. Pewnie zastanawiali się jedynie, ile spośród łupów zagrabionych w Cape Cod Grinnel pozwoli im rozdzielić między siebie.

Po jakimś czasie z głośników popłynęła wiadomość, że Wyman ma się stawić

w kapitańskiej kabinie. Zawrócił na pięcie, uradowany, że może przerwać trwającą już piętnaście minut rozmowę z technikiem, specjalistą od radarów.

Grinnel zamknął za nim drzwi maleńkiej kabiny i uśmiechnął się głupio.

- Coś cię dręczy, Wyman? - zapytał.

- Owszem.

- Możesz mieć poważne kłopoty, jeśli tamci przekonają się, że nic nie wiesz o radarach. Ja jestem czysty, zawsze mogę powiedzieć, że podawałeś się za wykwalifikowanego technika radarowego. Może wyjdę w ten sposób na idiotę, lecz ty zostaniesz okrzyknięty mordercą. Dla kogo pracujesz, Wyman? Kto ci kazał pozbyć się kapitana?

- Ma pan rację - odparł Orsino. - Nie byłoby to zbyt przyjemne.

- Cieszę się, że to rozumiesz, Wyman. Jesteś teraz mój, mogę cię wykorzystać. Dopisało nam szczęście, bo kapitan zasnął na pokładzie. Ale ja zawsze odznaczałem się talentem do improwizacji. Nic nie jest bardziej cenne, Wyman, jeśli pragnie się zdobyć władzę. Czy wiesz, że przy tobie mogę się odprężyć? To rzadko spotykane uczucie. Chociaż raz mam pewność, że człowiek, z którym rozmawiam, nie jest kolejnym fagasem Lomana, agentem komórki wywiadowczej Clincha albo jeszcze kimś innym; jest dokładnie tym, za kogo się podaje...

Ale odbiegliśmy od tematu. Muszę ci jeszcze coś powiedzieć. Praca dla mnie może się skończyć dwojako: karą, gdybyś mnie zdradził, lecz to już chyba dobrze rozumiesz, nagrodą zaś, jeśli będziesz mi wierny. Mam wiele planów, Wyman, gigantycznych planów, które łączą w całość niewyraźne marzenia Lomana, Clincha, Baggota i całej reszty. Czy nie chciałbyś stać u mego boku, kiedy rząd Ameryki Północnej powróci do ojczyzny?

Orsino głęboko wciągnął powietrze, co komandor Grinnel skwitował uśmiechem pełnym satysfakcji.

## ROZDZIAŁ IX

Przybili do brzegu w przepięknej zatoce na południu Irlandii. Orsino zapytał Grinnela, czy Irlandczycy nie mają nic przeciwko temu, lecz tamten w odpowiedzi posłał mu pogardliwe spojrzenie. Wszystko wskazywało na to, że wyspę zamieszkuje obecnie kilka setek, a najwyżej kilka tysięcy dzikusów kryjących się w leśnej głuszy. Kretańskie oddziały lądowe zdawały się niezdolne do rozprawienia z nimi. Grinnel nie umiał nic więcej powiedzieć, zresztą nie obchodziło go to specjalnie.

Irlandia była tylko bazą Marynarki. Rząd miał swą siedzibę w Islandii, gdzie wskutek zmian klimatycznych panowała wieczna wiosna. Natomiast najdalej wysunięte posterunki znajdowały się na Wyspach Kanaryjskich i Wyspie Wniebowstąpienia.

Podczas rejsu Orsino miał wystarczająco dużo czasu, żeby poznać prawdziwy charakter rządu. Jak wykazywał wuj Frank, w przeszłości miały już miejsce analogiczne procesy. Największymi piratami Morza Karaibskiego byli ludzie elit. Właściciele okrętów zaopatrywali się w listy kaperskie walczących państw, co doprowadziło do powstania swego rodzaju najemnej armady. Nawet w okresach pokoju ludzie ci nie chcieli rezygnować ze swego spektakularnego rzemiosła i pragnęli odzyskać zainwestowane fundusze. A gdy nie mogli już posługiwać się sztandarem Anglii, Francji czy Hiszpanii, po prostu wciągali na maszt flagę piracką.

Różnymi ścieżkami potoczyły się ich losy. Słynny kapitan Kidd, który uważał się za honorowego żeglarza, zawinął ufnie do Nowego Jorku, zapomniawszy widocznie o trzeciej zasadzie bezpieczeństwa, został przewieziony do więzienia w Londynie i powieszony za piractwo. Z kolei owiany legendą Henry Morgan nigdy nie uważał się za nikogo innego, jak tylko za pirata, a nawet superpirata; mianował się admirałem swej prywatnej floty i przeprowadził głośną operację desantową, łupiąc miasto Panama; został obwołany księciem, później sam mianował się gubernatorem sporych rozmiarów wyspy w brytyjskich Indiach Zachodnich i zmarł otoczony szacunkiem oraz miłością.

Charles stwierdził w duchu, że mimo woli stał się członkiem bandy piratów, noszącej nazwę rządu Ameryki Północnej.

Znacznie trudniej przyszło mu się rozeznać w szczegółach pirackiej polityki, ukrytych za archaiczną, strukturalnie bezsensowną nomenklaturą i wieloletnią tradycją. Komandor Grinnel był Socjokratą, co oznaczało, że znajdował się w jednej szajce z prezydentem Lomanem. Były kapitan łodzi był natomiast Konstytucjonistą i popierał znajdujący się obecnie w opozycji Blok Południowy. Ugrupowanie to wcale nie składało się z południowców, jak można by sądzić na podstawie historii rządu Ameryki Północnej. Jego tron stanowiła klika popierana przez inżynierów oraz średnią warstwę urzędników. To właśnie stało się główną przyczyną pozbycia się kapitana. Konstytucjoniści tradycyjnie dowodzili łodziami podwodnymi i lotnictwem, podczas gdy okręty nawodne i siły lądowe znajdowały się w rękach Socjokratów. Ów podział był wynikiem jakiegoś kompromisu z dawnych lat.

Komandor Grinnel szczegółowo wyjaśnił Charlesowi, że wśród świeżo promowanych oficerów czekających na objęcie dowództwa łodzi podwodnej umieszczono potajemnie Socjokratę. Gdyby Konstytucjoniści domyślili się prawdy i odrzucili tę kandydaturę, Socjokraci nie mieliby innego wyjścia niż zacisnąć zęby i pogodzić się z tym. Wszystko zmierzało bowiem do tego, by Konstytucjoniści nie mogli uzyskać wsparcia armady łodzi

podwodnych, gdyby planowali zamach stanu.

Głosowanie wyszło z użycia. Przed czterdziestu laty, kiedy po siedemnastu latach sprawowania urzędu prezydent Powell zmarł śmiercią naturalną, sprawy utknęły w martwym punkcie. Przedstawiciele obu partii postanowili wówczas zwołać sesję senatu, który dokonał wyboru nowego prezydenta.

Posiadając ów minimalny zasób informacji, Orsino zszedł na ląd i ruszył niespokojnymi uliczkami New Portsmouth.

Zaskoczył go wygląd niechlujnych, prowizorycznych baraków tworzących miasto. Co jakieś sto metrów znajdował się wlot kanału ściekowego, trudno jednak było patrzeć w rynsztoki, którymi płynęły nieczystości. Kręciły się nad nimi roje much wywołujących obrzydzenie Charlesa. Niemal w każdej ruderze w dzielnicy portowej mieścił się bar lub zajazd. W jednym z nich Orsino odważył się spróbować tutejszych potraw, lecz zaskoczyła go zarówno ich jakość, jak i cena. Czując szmer w głowie po wypiciu jednego kieliszka samogonu, natknął się przy wyjściu na kilku odzianych w czarne golfy gwardzistów, którzy wtaczali się do lokalu, śpiewając jakąś ezoteryczną pieśń o swych wspaniałych wyczynach. Popatrzyli na niego takim wzrokiem, jakby zastanawiali się wyłącznie nad tym, jaki dźwięk wyda z siebie, kiedy dostanie solidnego kopniaka w żołądek. Charles minął ich i wybiegł na ulicę.

Pozostałe lokale nabrzeża oceniał już tylko na podstawie pobieżnego przeglądu oferowanych przez nie towarów. Nie wiedział, co o tym myśleć. W niczym nie przypominały one podobnych instytucji na terytorium Syndykatu. Tam chłopcy chodzili pobierać nauki, a mężczyźni korzystali z ich usług wtedy, gdy bali się zaangażować uczuciowo w jakiś związek, kiedy pragnęli odmiany, gdy byli zbyt zajęci, leniwi czy wstydliwi, by na własną rękę uganiać się za spódniczkami. Kobiety natomiast, zwłaszcza te niezbyt wybredne, po kilku latach pracy odchodziły z takich domów z pokaźną sumą pieniędzy i sporym bagażem wspomnień, którymi wcale nie musiały się dzielić ze swym jednym, czy nawet kilkoma małżonkami.

Ale niechlujne dziwki, które nawoływały z okien tutejszych lokali, budziły w nim jedynie zdumienie i obrzydzenie. Idąc ulicą Waszyngtona ze wzrokiem wbitym nieruchomo przed siebie, zastanawiał się, czy panuje tutaj aż taki niedostatek kobiet, czy też wszyscy dorośli mężczyźni na terytorium rządowym nie mają zupełnie gustu.

Kiedy kolejna fala odoru bijącego z rynsztoka wywołała u niego nudności, zanurkował w wejście do następnego lokalu i ciężko oparł się o kontuar.

- Co pan sobie życzy? - zapytała przystojna brunetka.

- Poproszę kieliszek dżinu.

Z rolki banknotów, którą dostał od Grinnela, wysupłał dziesiątkę. Popatrzył na dziewczynę szykującą dla niego kieliszek, oceniając jej urodę. Zupełnie nieświadomie zadał jej pytanie, które całkiem bezpiecznie mógł zadać barmance w swojej ojczyźnie, a ta zapewne spokojnie odpowiedziałaby albo „Tak”, albo „Nie”, albo „Może?” czy „Co będę z tego miała?” Ta natomiast wrzasnęła, że jest parszywym łajdakiem, chwyciła butelkę piwa i miała zamiar roztrzaskać ją na głowie nieznajomego, kiedy ktoś chwycił ją za rękę.

- Spokojnie, Mabel! To facet z mojego okrętu. Przybywa prosto ze Stanów i nie wie jeszcze, jak należy się zachowywać. Ty wiesz, jak tam sprawy stoją.

- Więc lepiej mu wytłumacz, przyjacielu - warknęła Mabel. - Nie może tu łązić i w ten sposób odzywać się do porządnych kobiet.

Postawiła z hukiem kieliszek dżinu i odeszła w drugi koniec baru. Charles wypił duszkiem alkohol i nieco roztrzęsiony obrócił się ku swemu wybawcy, niewysokiemu technikowi od reaktorów, którego raz czy dwa widział na pokładzie łodzi.

- Dzięki - rzekł zmieszany. - Może faktycznie potrzebna mi dobra rada. Powiedziałem tylko: „Kochanie, czy nie...”

- Wystarczy - tamten powstrzymał go uniesioną dłonią. - Nie odzywaj się tu do nikogo w ten sposób, jeśli nie chcesz utracić skalpu.

- Przecież nie zrobiłem nic złego - zaprotestował oszołomiony Orsino. - Mogła zwyczajnie odmówić, nie miałem zamiaru zgwałcić jej tu, na podłodze!

Technik wzruszył ramionami.

- Nazywasz się Wyman, prawda? Słyszałem, jak wy tam żyjecie, w Stanach. Nawet za bardzo w to nie wierzyłem. Naprawdę mógłbym tam podejść do każdej kobiety i zapytać, czy ma na mnie ochotę?

- Owszem, w kulturalny sposób.

- I oni tam tak postępują?

- Jedni tak, inni nie. Podobnie jak i tu.

- Podobnie jak tu? Niech cię cholera! Podczas ostatniej przepustki...

Technik opowiedział mu długą, zdumiewającą historię o swoich przygodach i perypetiach z „porządnymi” kobietami mieszkającymi na terytorium rządu.

Charles wyszedł z baru głęboko przekonany, że tutaj obowiązuje inny system wartości. Zaczynał powoli rozumieć, dlaczego z okien nawołują marynarzy tak niechlujne dziwki i dlaczego mężczyźni decydują się na korzystanie z ich usług; nie mogą bowiem liczyć na nic lepszego. Ogarnęła go jednocześnie fala przemożnej tęsknoty za ojczyzną.

Powoli w jego umyśle zaczynał powstawać straszliwy obraz. Pruderia, przemoc, zubożenie, intrygi w celu zdobycia władzy... A może nawet zabójstwa? Raz tylko Grinnel wspomniawszy przelotnie o czymś, co dotyczyło Syndykatu.

Odnośnie tej zbójczej bandy można było wyciągnąć tylko jeden wniosek: gorąco pragnęli zdobyć wszelkie bogactwa kontynentu.

Orsino wkroczył między sklepy i domy mieszkalne. Wykorzystywano tutaj urządzenia mechaniczne w dziwnym połączeniu z pracą rąk ludzkich. Przez otwarte drzwi jednego z warsztatów ujrzał, jak stalowy pręt zamienia się powoli w lufę pistoletu. Tokarka była napędzana standardowym, osiemnastocalowym ehrenhafterem, tak dobrze znanym Maksowi Wymanowi. Ale na widok stojącej obok prasy Charles aż zamrugał z niedowierzania. Dwóch mężczyzn, stękając z wysiłku i oblewając się potem, obracało wielkim, umieszczonym w pionie kołem, które za pośrednictwem pasa i szeregu zębatek przekazywało napęd tłokowi prasy ściskającemu wielką bryłę brązu. Ludzie ci mieli na sobie podarte łańchmany, a zdumienie Charlesa sięgnęło szczytu, kiedy spostrzegł, skąd bierze się dziwny, brzęczący dźwięk, jaki towarzyszył każdemu ruchowi ich rąk. Mężczyźni byli przykuci łańcuchami do uchwytów koła.

Oszołomiony poszedł dalej. Zaczynało do niego docierać znaczenie niektórych zdań, jakie słyszał na pokładzie łodzi.

- Ani jeden Żabojad nie ma pary w garści. Jak dasz Angolowi raz dziennie porządną befsztyk, to będzie zasuwiał lepiej niż każdy Żabojad.

- To prawda, lecz Angola nie można wychłostać. Z nimi nic się nie wskóra za pomocą bata.

- A tam. Tylko na pewien czas robią się flegmatyczni. Strzeż się natomiast, przyjacielu,



żeby kiedykolwiek podnieść rękę na Spanola. Jak takiemu przyłożysz, zapamięta do końca życia. Choćby po dwudziestu latach cię dostanie i wsadzi nóż pod żebra.

- Nie ma się czym martwić. Spanola zawsze można po prostu ugotować.

Rozmowę zakończył chóralny wybuch śmiechu.

*Ugotować! Czy to możliwe?*

Ujrzał przed sobą na ulicy szesnastu obdartych, zabłoconych niewolników, ciągnących na linach, krok po kroku, wielki wóz załadowany gigantyczną turbiną, w której drobnych skrzydełkach odbijały się promienie słoneczne.

Dlaczego chwymano niewolników? Przecież rząd wykorzystywał reaktory, wykorzystywał pojazdy spalinowe. Stopniowo dotarło do Charlesa, że cały przemysł metalowy i maszynowy oraz cała energia atomowa służyły budowie okrętów wojennych. Nie używano ich w celach pokojowych, na potrzeby obywateli. Rząd przypominał prehistorycznego potwora składającego się niemal wyłącznie z kłów, szponów i mięśni, wykształconych jedynie po to, by zniszczyć wroga; był bezpostaciowym, bezrozumnym ucieleśnieniem okrucieństwa. Jeśli zostawiał trochę miejsca na rozrywkę i przyjemności, to wyłącznie dlatego, że traktował je jak bezwartościowe pozostałości.

Skądś dobiegł płacz dziecka i Orsino ze zdumieniem zauważył, że w jego sercu rodzi się głęboki żal. Podobnie jak pracujący całymi dniami w pozycji siedzącej urzędnik, który, wracając do domu, nie myśli o niczym innym niż o bólach w krzyżu, tak on odkrywał teraz w sobie uczucia, jakich nigdy nie doznawał podczas godzin wypełnionych pracą dla Syndykatu.

Biedny malec, skazany na dorastanie w tym piekle, pomyślał. Nie mam pojęcia, jak wpłynie na niego fakt posiadania niewolników, nie sądzę jednak, żeby ta świadomość pozwoliła mu wyrosnąć na uczciwego człowieka. Nie wiem, co z niego zrobi strach przed miłością. Może oszusta? A może ohydne, ogarnięte rują zwierzę, które ma wybór tylko między wywołaną żądząmi agresją a parszywym związkiem z odrażającym, zupełnie obcym partnerem w jakiejś brudnej norze. Nam pistolety służą jako rekwizyty w grze. Trudno mi jednak osądzić, jakim to dziecko stanie się potworem, jeśli da mu się do ręki pistolet, wychwalając jednocześnie przemoc.

*Reiner miał rację* - stwierdził w duchu z goryczą. *Musimy coś zrobić z tym pasztetem.*

W bocznej uliczce spostrzegł kobietę i mężczyznę walczących ze sobą. Starym zwyczajem omal nie przeszedł spokojnie obok nich, ale ci tutaj nie darli na sobie ubrań, jak to było w zwyczaju podczas kłótni na terytorium Syndykatu. W milczeniu szamotali się z zaciekłością...

Mężczyzna miał na sobie golf gwardzisty. Nie bacząc na to, Charles skręcił w zaułek i odciągnął faceta od kobiety, a mówiąc ściślej, uwiesił się na ramieniu potężnie zbudowanego osiłka, a ten, całkowicie zaskoczony, obrócił się twarzą do niego.

- Zwiewaj! - krzyknął Charles do kobiety, nie oglądając się na nią. Kątem oka dostrzegł jednak, że stanęła jak wmurowana.

Mężczyzna oparł dłoń na rękojęści noża i warknął:

- Już nie żyjesz! Zapomniałeś, że nie należy zadzierać z gwardzistami?

Znajome drżenie kolan dodało Charlesowi otuchy. Pamiętał z licznych partii polo, że oznacza to jedynie gotowość przystąpienia do działania, wewnętrzne spięcie przed błyskawiczną akcją.

- Zostaw ten nóż - syknął. - W przeciwnym razie twoim następnym wspomnieniem będzie

smak błota w gębie.

Olbrzymowi szczeka opadła. Dobył noża i błyskawicznym ruchem zamierzył się w brzuch Orsino. Gdyby ten uskoczył w bok, gwardzista gotów był zamknąć go w kleszczach swych potężnych ramion i zadać mu cios w plecy.

Charles złapał od góry lewą dłońią nadgarstek przeciwnika i odepchnął jego rękę w bok. Poczuł, że ostrze zawadziło i rozerwało mu mankiet koszuli. Ogarnięty szałem gwardzista chciał kopnąć go kolanem w krocze. Nie wypuszczając z palców uzbrojonej ręki tamtego, Charles wykorzystał moment, kiedy stał on na jednej nodze, i popchnął go na zaśmiecony bruk uliczki. Mężczyzna runął na plecy i szarpnął tak gwałtownie, że Charles pomyślał, iż nie zdoła utrzymać wrywanej całą siłą ręki w swym uścisku. Udało mu się to jednak; przycisnął prawą nogą rękę osiłka w zagłębieniu łokcia, chwycił jego uzbrojoną dłoń oburącz i wygiął mu ramię niczym dźwignię, której punkt podparcia unieruchomiony był pod jego butem. Tamten wrzasnął i upuścił nóż. Nie trwało to wszystko dłużej niż pięć sekund.

- Nie chcę ci złamać ręki, skrócić karku ani zrobić nic podobnego - rzekł Orsino, ciężko dysząc. - Chcę tylko, żebyś się stąd wyniósł i zostawił tę kobietę w spokoju. - Przez cały czas miał świadomość jej milczącej obecności za swymi plecami. Pomyślał ze złością: Mogłaby przynajmniej podnieść nóż!

- Tym razem ci się udało - warknął gwardzista. - Ale przysięgam na Boga, że odnajdę cię i wsadzę ci ten nóż między żebra, choćbym miał na to poświęcić resztę mego życia.

Świetnie, pomyślał Charles. Niech mu się zdaje, że zdołał mnie przestraszyć.

Puścił rękę olbrzyma, wyprostował się i cofnął o krok. Napastnik wstał powoli, rozcierając ramię, schylił się, podniósł nóż i wetknął go za pasek, nie oglądając się na Charlesa. Wreszcie splunął pod nogi Orsino.

- Ty pieprzony żółtku! - rzekł. - Gdyby ta zafajdana cizia była tego warta, wyrwałbym ci serce z piersi.

Odwrócił się i poszedł uliczką. Charles spoglądał za nim, dopóki tamten nie zniknął za rogiem budynku.

Dopiero wtedy odwrócił się w stronę stojącej nadal bez ruchu kobiety.

To była Lee Falcaro.

- Lee! - krzyknął, jakby rażony piorunem. - Co ty tutaj robisz?

Nie miał wątpliwości, że to ona. Te same rysy twarzy, ta sama podwójna bruzda na czole między brwiami, którą już widział poprzednio.

Ona jednak sprawiała wrażenie, jakby go nie poznawała.

- Znasz mnie? - spytała zdziwiona. - Czy to dlatego odpędziłeś ode mnie tę małpę?

Powinam ci podziękować, ale nie wiem, kim jesteś; nie poznaję tu wielu ludzi. Byłam bardzo długo chora, rozumiesz?

Charlesa uderzył jej zrzedliwy, beznamiętny ton. Dałby sobie głowę obciąć, że Lee Falcaro nawet nie umiałaby z taką obojętnością i wyższością powiedzieć: „Byłam bardzo długo chora, rozumiesz?”

- Ale co ty tutaj robisz? Do cholery, jak możesz mnie nie pamiętać? Nazywam się Charles Orsino!

W tej samej chwili zrozumiał, że popełnił niewybaczalny błąd.

- Orsino? - powtórzyła kobieta, a zaraz krzyknęła: - Orsino! Z Syndykatu! - W jej oczach pojawiły się złowrogie błyski.

Odwróciła się i pobiegła uliczką. Niemal przez minutę Charles stał jak oniemiały, w końcu

rzucił się za nią i wypadł na główną ulicę. Nigdzie nie zauważył Lee. W New Portsmouth można było w ciągu minuty znaleźć dziesiątki kryjówek.

Wzdłuż ściany budynku włókł się drobny, chudy jak tyka marynarz; nosił na czapce odznakę w kształcie dwóch skrzyżowanych piór. Zachichotał na widok Charlesa.

- Zostaw ją w spokoju, marynarzu - rzekł. - Ona jest własnością Dowództwa Wywiadu Marynarki.

- Ty ją znasz?

Tamten splunął do rynsztoka i uśmiechnął się.

- To Lee Bennet, przerzucona tu kilka miesięcy temu przez DAR. Najsmakowitszy kasek, jaki kiedykolwiek wpadł w ręce Wywiadu Marynarki. Była jakąś figurą w Syndykacie; zna wszystkie rodziny i wie, kto się czym zajmuje, kto jest szefem, a kto drobną płotką. Jest wspaniała, sypie danymi jak z rękawa! Nienawidzi Syndykatu. Te ważniaki ją zgnoiły.

- Dzięki - rzucił Charles i ruszył szybkim krokiem ulicą.

Nic dziwnego, powinien był się tego spodziewać!

*Noblesse oblige.*

Duma rodu Falcaro. Nie wysłałaby nikogo na ryzykowną misję, gdyby sama nie była gotowa wziąć w niej udziału.

Tyle że jakimś sposobem impuls, który miał zmienić neurotyczną, zaprogramowaną Lee Bennet z powrotem w Lee Falcaro, nie zadziałał.

Orsino kręcił się po mieście bez celu, a głowę zaprzętała mu tylko jedna myśl: ile jeszcze czasu mu zostało do uwięzienia i rozstrzelania za szpiegostwo?

# ROZDZIAŁ X

Okazało się, że miał zaledwie kilkanaście minut.

Zmierzał w stronę nabrzeża szybkim krokiem, gdyż bał się ruszyć biegiem, i rozważał, czy lepiej ukraść łódź, czy szukać pomocy komandora Grinnela. Zanim jednak dotarł do ulicy pełnej barów i domów schadzek, natknął się na ośmioosobowy patrol.

- Proszę się zatrzymać! - zawołał sierżant, a kiedy Charles stanął, obrzucił go uważnym spojrzeniem. - Czy to pan nazywa się Orsino?

- Nie - odparł zdecydowanie. - Tamta wariatka zaczęła wrzeszczeć, że jestem Orsino, ale to nieprawda. Nazywam się Wyman. O co tu chodzi, sierżancie?

Żołnierze otoczyli go kołem.

- Idziemy do Dowództwa Wywiadu Marynarki - oznajmił sierżant. - Pójdzie pan sam, czy mamy pana zanieść?

- Tu jest ten sukinsyn! - z głębi ulicy dobiegł głośny okrzyk. Nagle dokoła nich pojawiło się kilkunastu gwardzistów w czarnych golfach. Przewodził im ten sam zbir, którego niedawno Charles pokonał w ucziwej walce. - My się zajmujemy tym chłoptasiem, kamaszu - zwrócił się łagodnym tonem do sierżanta. - Powiedz swoim ludziom, żeby znikali.

Dowódca patrolu zbladł.

- Mam rozkaz doprowadzić go do Wywiadu Marynarki. To szpieg Syndykatu. A jakie wy macie rozkazy?

Odpowiedziały mu pijackie śmiechy.

- Spływaj, marynarzyku, bo zgubisz trzecią belkę! - Gwardzista zachichotał. - Rozkazy! - Przybliżył twarz do oczu sierżanta. - My nie potrzebujemy rozkazów do tego, co mamy zamiar z nim zrobić, kamaszu. Zabieraj swój patrol i zmykaj. Czyżbyście nie wiedzieli jeszcze, że nie należy zadzierać z gwardzistami?

Nie wiadomo skąd pojawił się jakiś świeżo upieczony oficer.

- Hej! Co tu się dzieje? - wrzasnął. - Bacność! - Nikt nie zwrócił na niego uwagi; gwardziści i marynarze mierzyli się nawzajem spojrzeniami. - Powiedziałem: bacność! Do cholery, sierżancie, czemu się nie meldujecie?!

Nie było żadnej reakcji.

- To tylko wam się wydaje, że możecie w ten sposób postępować! - krzyknął oficer. - Ale, na Boga, jesteście w błędzie!

Odwrócił się błyskawicznie i czerwony jak burak z zaciśniętymi pięściami, odszedł szybkim krokiem. Orsino zauważył, że skręca w bramę, nad którą widniał napis: BIOS, GARAŻE. Pojął także, iż tylko sekundy dzielą go od chwili, gdy znajdzie się w samym sercu ulicznej bijatyki.

Dowódca patrolu próbował grać na zwłokę.

- Byłbym bardzo rad, gdybyście pomogli nam odstawić więźnia - rzekł. - Może po drodze...

Gwardzista uniósł nogę i chciał go kopnąć w brzuch. To kretyn, pomyślał Orsino. Lecz sierżant złapał nogę przeciwnika, powalił go na chodnik i obrócił się szybko, blokując cios innego zбира. Niespodziewanie Charles zmuszony został do walki o własne życie, gdyż rzuciło się na niego jednocześnie trzech osiłków w czarnych golfach.

Nagle powietrze rozdarła ogłuszająca kanonada. Jak za dotknięciem czarodziejskiej

różdżki cała gromada zamarła w bezruchu.

Wrócił ten sam oficer, ale tym razem w dżipie z zamontowanym na ramie przeciwlotniczym, sprężonym karabinem maszynowym. Patrzył spomiędzy luf w kierunku skłębionej na chodniku gromady. Z barów, spelunek i sklepów zaczęły wysypywać się tłumy ludzi, podziwiając tę niecodzienną scenę.

Kadet uniósł rękę i zawadiacko zsunął sobie czapkę na jedno oko.

- W szeregu zbiórka! - ryknął, a Orsino zrozumiał, że oto otwiera się przed nim niepowtarzalna szansa. Nie trwało to nawet trzech sekund, kiedy zapanował porządek; marynarze i gwardziści ustawili się w równych szeregach.

Dżip, pracujący na tak wysokich obrotach, że silnik omal nie wyskoczył spod maski; Orsino leżący na ziemi z kolanami drżącymi z napięcia - ta scena przypominała mu dramatyczne chwile z rozgrywek polo. Zareagował odruchowo: rzucił się w stronę auta.

Przez twarz kadeta przemknął dziwny skurcz, wyrażający jednocześnie podniecenie, jak i przerażenie. Orsino pchnął go mocno w piersi; tamten fiknął kozła przez wielki termos na herbatę i wyładował na tylnym siedzeniu. Na oczach zgromadzonych tłumnie po obu stronach ulicy gapiów dżip skoczył z rykiem i pognął ulicą.

Dla Orsino nie było to nic nowego; musiał tylko jedną ręką trzymać podskakującą kierownicę, a drugą zabezpieczać kołyszące się na wszystkie strony lufy sprężonych karabinów maszynowych; uważać na szczekające psy oraz przechodniów kręcących się bez ładu po zaśmieconej ulicy; od czasu do czasu zerkać przez ramię, czy nie zgubił jeszcze kadeta, wyciskając przy tym z dżipa maksymalną szybkość; do tego zwracać uwagę na szczegóły terenu, oceniając zarazem groźbę natychmiastowego pościgu. Dla dwóch rozumiejących się nawzajem graczy polo byłby to tylko jeden z elementów lekkiego treningu.

Kręta wyboista droga wiodła poprzez chaszczę i młodniaki jakieś osiem kilometrów w głąb ładu, aż nagle urwała się na rozległej polanie pełnej obdartych, zakutych w łańcuchy ludzi, którzy transportowali pnie do otoczonego kłębami dymu tartaku. Kiedy Orsino dostrzegł, że polana strzeżona jest przez uzbrojonych ludzi, zawrócił dżipa, cofnął się mniej więcej o kilometr, po czym skręcił w krzaki i pognął na przełaj z szybkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Nie musiał zwracać najmniejszej uwagi na młode drzewka o średnicy pnia mniejszej niż pięć centymetrów.

Jechał tak przez około godzinę, aż wreszcie, o zachodzie słońca, samochód stanął. Charles odwrócił się na siedzeniu i popatrzył na kadeta, który co prawda nie zemdlał, ale siedział zielony na twarzy, zaciskając kurczowo palce na burtach samochodu.

- O Boże! - jęknął - Boże! - Gdy jednak zauważył, że Orsino mu się przygląda, stanął na chwiejnych nogach i rzekł: - Jesteś aresztowany, marynarzu. Niewykonanie rozkazu oficera, porwanie własności rządu, jazda służbowym pojazdem bez przepustki... - Nogi ugięły się pod nim i ciężko opadł na siedzenie.

Charles zastanawiał się, czy ma go związać, puścić w niego serię z karabinu, czy też dać mu po łbie ciężkim kluczem. Zrezygnował jednak ze wszystkich tych pomysłów.

Jak do tej pory spieprzył chyba wszystko, co tylko można było, ale wciąż miał zadanie do wykonania. Zyskał teraz wyjątkową okazję rozmowy z dyplomowanym oficerem rządu, zdany wyłącznie na jego łaskę, przynajmniej do czasu, aż będzie mógł stanąć na nogach.

- Nonsens! - parsknął. - To ty jesteś aresztowany.

Kadet przez chwilę widocznie rozpatrywał wszelkie zarzuty, jakie można było mu przedstawić, po czym zapytał ostrożnie:

- Przez kogo jestem aresztowany?  
- Reprezentuję Syndykat.  
Podziałało to jak bomba.  
- Przecież nie masz prawa... - wymamrotał. - Nie ma takiej możliwości... Jakim sposobem...?  
- To nieważne.  
- Jesteś szalony, inaczej byś się tu nie zatrzymywał. Nie wierzę, że pochodzisz z kontynentu, i nie wierzę, że dżip nie może jechać dalej. - W jego głosie pojawiła się histeria.  
- Nie wolno nam tu zostać! Jesteśmy dobre pięćdziesiąt kilometrów w głąb wyspy!  
- Jakie to ma znaczenie?  
- Tubylcy, głupcze!  
Znowu ci tubylcy!  
- Nie martwię się nimi, tym bardziej, że mam karabin maszynowy.  
- Ty nic nie rozumiesz - rzucił oficer, starając się opanować drżenie głosu. - Jesteśmy w buszu. To ich ziemie. Nie można tu nawet palcem kiwnąć, żeby cię nie namierzili. W ciemnościach napadają na ludzi i podrzynają gardła. Więc lepiej zrób coś z tym dżipem i uciekajmy stąd!  
- Prosto w ręce patrolu? Nie bądź głupi, poruczniku. Chyba nie dasz mi po łbie, kiedy będę się grzebał pod maską?  
Oficer płochliwie rozejrzał się dokoła.  
- Nie, skądże - odparł. - Może jesteś gangsterem, ale... - urwał nagle.  
Orsino spał się; nie lubił, kiedy nazywano go w ten sposób.  
- Posłuchaj, piracie - wycedził przez zęby. - Nie wierzę...  
- Piracie!?! - ryknął kadet z niedowierzaniem, lecz zaraz zamknął usta i ponownie rozejrzał się dokoła.  
Charlesa zaniepokoił fakt, że tamten był naprawdę przerażony.  
- Powiedz mi coś o tych dzikusach.  
- Idź do diabła! - burknął kadet.  
- Ty pierwszy nazwałeś mnie gangsterem. Więc co z tymi tubylcami? Próbujesz mnie robić w konia, prawda?  
- Możesz mnie pocałować w moją królewską, północnoamerykańską dupę, bandyto!  
- Nie bądź dziecinny - rzekł Charles z politowaniem, chcąc okazać swą wyższość (tamten był chyba o kilka lat młodszy od niego).  
Wysiadł z samochodu i podniósł maskę. Uszkodzenie okazało się banalne: wypadł trzpień łączący wał napędowy z osią silnika. Musiał go zgubić podczas taranowania któregoś z grubszych drzewek.  
- Rozwaliłem blok chłodnicy - oznajmił posępnym głosem. - Dżip nie ruszy się już stąd. Możesz iść swoją drogą, poruczniku. Nie będę nawet próbował cię zatrzymywać.  
- Nie zatrzymałbyś mnie, nawet gdybyś chciał, gangsterze - parsknął kadet. - Chyba zgłupiałeś, jeśli sądzisz, że będę sam w ciemnościach próbował wrócić po śladach i dostać się do bazy. Utknęliśmy tu razem. Może we dwójkę uda nam się jakoś przetrwać noc, a rano zobaczymy.  
Cóż, tamten chyba naprawdę wierzył, że w gąszczu kryją się dzicy. Nie oznaczało to jeszcze, że oni czają się tam naprawdę.  
Oficer wstał, zbliżył się powoli i zajrzał pod maskę. Charles nabrał przekonania, że tamten

po pierwsze w ogóle nie zna się na silnikach, a po drugie nie umie sobie absolutnie wyobrazić, by ktoś z własnej woli ryzykował nocleg w buszu, a nie w bazie marynarki.

- Aha - mruknął. - Dokumentnie rozwalony. Zdemontuj karabin maszynowy, a ja rozpalę ogień.

- Tak jest! - rzucił ironicznie Charles, salutując. Kadet odruchowo podniósł dłoń do czapki i ruszył zbierać chrust.

Robiło się ciemno. Orsino zdążył zdemontować lewy karabin, kiedy kadet zbliżył się do niego i szepnął:

- Cicho. Włącz reflektory.

- O co chodzi? - zapytał półgłosem Charles, przekręcając kluczyk.

- Cicho. Zdaje się, że widziałem jelenia. Jeśli mamy sprzyjający wiatr, nie powinien nas wyczuć. Zostaw ten drugi karabin.

Światła samochodu utworzyły rozświetlony tunel pośród niskopiennych krzaków. Nie dalej jak dwadzieścia metrów od nich piękny rogacz uniósł głowę.

- Strzelaj - szepnął kadet.

Charles ostrożnie, po cichu przeszedł na tył samochodu. Otworzył komorę karabinu, przetarł ją palcem, załadował pierwszy nabój z taśmy, opuścił pokrywę i wprowadził nabój do lufy. Przekręcił karabin, poprawił jeszcze celownik, odnalazł cel, chwycił zarys zwierzęcia na linii szczeliny i muszki...

Stało się wtedy coś niesamowitego. Kiedy gotów był już powoli naciskać spust, zauważył, że wylot lufy podryguje i tańczy wokół zarysu głowy oślepiętego jelenia. Co więcej, przyczynę tych drgań stanowiło niewłaściwe ułożenie dłoni i kurczowe zaciśnięcie palców na kolbie. Nie byłoby jeszcze tak źle, gdyby Charles został przedtem ostrzeżony przed czymś takim jak trema myśliwska, ale on nie miał o tym pojęcia.

- No, już! Strzelaj! - szepnął kadet.

Orsino zamknął oczy, zacisnął zęby i pociągnął za spust. Nim uświadomił sobie, że może go już puścić, z lufy wyleciało co najmniej dwadzieścia pocisków.

- Chyba go trafiłeś - rzekł porucznik z powątpiewaniem w głosie. - Weź ten drugi karabin i chodźmy.

Zlany potem Charles odliczył dwadzieścia pustych łusek od końca taśmy, załadował dwudziesty pierwszy nabój do komory drugiego karabinu i zarzucił karabin na ramię. To bez sensu, pomyślał, wlokąc za sobą długą taśmę. Odliczył sześć naboii, wyciągnął siódmy i pozwolił dalszej części taśmy spaść na ziemię. Na chwiejnych nogach poszedł za kadetem wzdłuż strumieni światła z reflektorów. Po chwili stanął obok niego i popatrzył na stertę posiekanego mięsa.

- Ale z ciebie przygłup, człowieku - mruknął oficer. - Najpierw rozwaliłeś dżipa, a teraz pięćdziesięciokilogramowego jelenia naszpikowałeś setką kilogramów ołowiu. To się nawet nie nadaje na hamburgery!

- Więc dlaczego sam nie strzelałeś?

- Powinienem być to zrobić - odparł kadet z goryczą. - Nie obsługiwałem nigdy karabinów przeciwlotniczych i miałem nadzieję, że tobie wyjdzie to lepiej.

Podniósł z ziemi płat mięsa, z którego wystawały tępo zakończone pociski, obejrzał go i z powrotem rzucił w trawę.

- Chodź, wracamy do dżipa.

Kiedy wlekli się w smudze świateł, Orsino zapytał:

- Jak działają ci twoi aborygeni?  
- Czają się w ciemnościach. Mają włócznie i trochę skradzionej broni palnej. Najczęściej brak im do niej amunicji, ale chyba lepiej na to nie liczyć. Poza tym są między nimi... czarownice.

Orsino parsknął lekceważąco; dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo był głodny.

- Nie wiesz, która z tutejszych roślin jest jadalna?

- O świcie chyba znajdziemy trochę korzonków - odpowiedział kadet z pełną powagą.

Charles oparł ciężki karabin o burtę dżipa, wyciągnął z ziemi pierwsze lepsze zielsko, otarł ręką z brudu i wbił zęby w korzeń. Smakował tak, jak można tego było oczekiwać po korzeniu. Orsino westchnął ciężko i odrzucił roślinę.

- Co masz zamiar zrobić z tymi karabinami, kiedy je już zdemontuję?

- Rama samochodu, do której są przytwierdzone, jakimś piekielnym sposobem da się złożyć w dwie trójnożne podpórki. Ciekaw jestem, czy zdołasz tego dokonać. Ja rozpałę ogień.

Udało mu się cokolwiek rozniecić dopiero po dwudziestu minutach, ale ognisko dawało więcej dymu niż płomieni. Orsino wciąż jeszcze biedził się nad ramą, na której były zamocowane karabiny. Zdołał ją rozebrać, ale za nic nie potrafił z niej czegokolwiek złożyć. W końcu porucznik postanowił mu pomóc, ale razem także niewiele umieli zdziałać.

- Posłuchaj - rzekł zniecierpliwiony Charles. - To jest na pewno kolista podstawa, to śruba do regulacji wysokości, a to tylna nóżka. Tak mi się zdaje. Przecież musi istnieć jakiś sposób na przytwierdzenie do tego dwóch przednich nóg.

Po dwóch kolejnych napadach wściekłości i czterech dalszych złamanych paznokciach udało im się stwierdzić, że śruba do regulacji wysokości powinna przytrzymywać dwie przednie nóżki, a wysokość podstawki ustalana była trzecią, składaną nóżką.

- Jesteś cholernie dobrym oficerem - parsknął Orsino.

Zaczął właśnie padać drobny deszczyk, który z sykiem ugasił przeraźliwie dymiącą namiastkę ogniska. Ułożyli się płasko pod samochodem, nie rozmawiając ze sobą; każdy wziął jeden karabin maszynowy i odpowiedzialność za osłanianie połowy widnokręgu.

Charles dość długo pozostawał suchy, jeśli nie liczyć strumyczka lodowato zimnej wody, która zaczęła złościć kanalik wzdłuż jego lewej nogi. Po jakiejś godzinie wyteżania wzroku, chociaż nic nie było widać, i uważnego wsłuchiwania się w monotony szum deszczu, doleciało go ciche chrapanie. Kopnął kadeta z całej siły.

Tamten zaklął pod nosem i rzekł:

- Lepiej zajmijmy się rozmową, żeby nie zasypiać.

- Ja nie mam z tym żadnych problemów, piracie.

- Och, odwal się! Skąd wytrzasnąłeś tę śpiewkę o piratach, gangsterze?

- Przecież wszyscy jesteście przestępcami, no nie?

- Jak diabli! To wy jesteście przestępcami, to wy wznieciliście rebelię przeciwko legalnie wybranemu rządowi Ameryki Północnej, a fakt, że zwyciężyliście, przynajmniej na jakiś czas, nie oznacza, że prawo było po waszej stronie.

- Właśnie że oznacza. Natomiast fakt, że wy - z tak zwanego rządu - zajmujecie się wyłącznie napadami i grabieżą naszych miast, oznacza, że jesteście poza prawem. Na Boga! Tyle już widziałem, od kiedy przyłączyłem się do waszej zbrojeckiej bandy!

- Jeszcze czego! Miłość do ojczyzny, nienaruszalność związku małżeńskiego, moralność w sprawach seksu, prawo i porządek... Czy zetknąłeś się kiedyś z czymś podobnym w swoim



kraju, gangsterze?

Orsino zacisnął zęby.

- Ktoś cię omamił stekiem kłamstw - odparł. - Życie rodzinne, moralność i porządek wyglądają tak samo na terytorium Syndykatu, jak i tutaj. A tam zapewne są one znacznie lepiej widoczne.

- Gówno prawda! Widziałem raporty wywiadu i wiem, jak wy tam żyjecie. Chcesz mi powiedzieć, że nie popieracie swobód seksualnych? Poligamii, poliandrii, hazardu, niekontrolowanego obrotu alkoholem, korupcji i szantażu?

Charles popatrzył wzdłuż lufy karabinu na zasłone deszczu. Było w tym wszystkim tak wiele prawdy, że bez trudu dało się to fałszywie zinterpretować.

- Posłuchaj - rzekł. - Załóżmy, że jestem statystycznym obywatelem terytorium Syndykatu. Znam może z setkę ludzi. Pośród nich są trzy kobiety i dwóch mężczyzn hołdujących temu, co nazywasz całkowitą swobodą seksualną. Znam jednego faceta, który ma dwie żony. A jeśli już o tym mowa, wspomnę o jeszcze jednej rzeczy, którą pominąłeś: o mieszanych czworokątach. Znałem kiedyś taki, ale ci ludzie rozdzielili się później na dwie pary. Nie znam osobiście żadnego związku poliandrycznego, ale słyszałem o istnieniu takich. Natomiast cała reszta to zwykli, porządnie prowadzący się ludzie w średnim wieku.

- Aha! Porządnie prowadzący się ludzie! Chcesz mnie przekonać, że u was młodzi ludzie mogą się porządnie prowadzić, zanim się ustatkują? Przy waszej moralności?

- Naturalnie - odparł zdumiony Charles. - A jak ty się prowadzisz?

Odpowiedziało mu głośnie prychnięcie.

- Co to jest BIOS?

- BI-OS, Biuro Spraw Osobowych Marynarki Wojennej Ameryki Północnej - wyjaśnił kadet.

- Czym się tam zajmujesz?

- A czym się zajmują ludzie w biurach? Prowadzimy rekrutację, szkolenie, klasyfikację i przydzielamy do jednostek nowy personel.

- Wykonujesz więc papierkową robotę, prawda? Nic zatem dziwnego, że nie masz pojęcia, jak obsługiwać karabin czy prowadzić samochód.

- Gdybyś nie był mi potrzebny, żeby osłaniać tyły skierowałbym ten karabin w twój głupi łeb i pokazał ci, jak się go obsługuje. Dla twojej wiadomości, gangsterze, wszyscy oficerowie zajmują się czasowo pracą papierkową, zanim otrzymają przydział do właściwej jednostki. Ja będę służył na łodzi podwodnej.

- Dlaczego?

- To tradycja rodzinna, mój ojciec jest dowódcą łodzi. To kapitan Van Dellen.

*O Boże! Van Dellen!* Ten sam, którego komandor Grinlel - przy współudziale Charlesa - zamordował. Porucznik pewnie jeszcze nie słyszał, że jego ojciec „zaginał” w trakcie alarmowego zanurzenia.

Deszcz ustał; z liści i gałęzi drzew spadały już tylko pojedyncze krople.

- Van Dellen - mruknął Charles. - Jest coś, o czym powinieneś wiedzieć.

- To musi poczekać - szepnął kadet w odpowiedzi. Szczęknął zamek jego karabinu. - Słyszałem jakiś szmer między tamtymi drzewami.

# ROZDZIAŁ XI

Poczuła w sobie narastającą, niewyraźną jeszcze moc bogini. Ciemno... tak ciemno... Była zmęczona. Ileż mogła mieć już lat? Od chwili jej narodzin minęło na pewno więcej niż osiemset pełni księżyca. A przecież nadal stawała na czele swoich włóczników, kiedy tylko słyszeli strzały z broni palnej. Strzały oznaczały kowali zza morza, a tych należało zabijać przy każdej okazji.

W ciemnościach rozległ się jej krótki, ledwie słyszalny chichot; gdzieś trzasnęła gałązka. Jeden z włóczników obrócił się w jej stronę z groźną miną.

- Zajmij się swoją robotą, głupcze! - syknęła. - Albo, na świętą Brygidę...

Mężczyzna głośno wciągnął powietrze. Zachichotała ponownie. Trzeba było im od czasu do czasu przypominać, kto tu jest kucharzem, a kto kartoflem. Zabić tego głupca? Nie teraz; najpierw musieli się zająć kowalami i ich bronią.

Poczuła narastającą w sobie moc bogini, a jednocześnie nienawiść podsycaną przez zuchwalstwo obcych. Jak oni mogli zjawić się w jej lasach ze swym cuchnącym metalem?! Trzeba ich dobrze wypatroszyć!

Dwóch obcych; wykrzywiła bezzębne usta w uśmiechu. Już od trzydziestu księżyców nie udało jej się pojmać dwóch kowali na raz. A przecież, mimo tylu zmarszczek i łupania w stawach stanowiła ciągle tak znakomity nośnik mocy! Jej nic nie warta, leniwa siostrzenica świetnie biegła i skakała, wykazywała nawet odpowiednie cechy do przejęcia mocy, ale nie miała szans zostać tak dobrym nośnikiem.

Z kolei jej siostra... Stara splunęła. Nadeszły straszne czasy. Jej siostra powinna zostać wyklęta już wtedy, kiedy za młodu odmówiła wypełnienia nakazu. Tamta mała, której imię uleciało już z pamięci, byłaby świetnym nośnikiem, gdyby dołączyła do bogiń. Tyle że jej siostra, a może siostrzenica, pozbyły się rywalki, przytrzymując jej głowę pod wodą, przesywając ją włócznią czy też rozbijając jej głowę ciężkim kamieniem.

Nadeszły straszne czasy. Otruła własną matkę, żeby sama stać się nośnikiem mocy. Postąpiła słusznie, gdyby bowiem jej matka była dobrym nośnikiem mocy, wyplułaby truciznę, zanim ta odebrała jej życie.

Włócznicy zaczęli się wiercić niespokojnie. Usłyszała stłumione głosy rozmawiających kowali. A niech sobie gadają! Z pewnością przeklinali teraz wszystkie boginie; bez wątpienia każdy kowal robił to samo, kiedy tylko nie zapychał gęby żarciem.

Pomyślała o człowieku nazwiskiem Kennedy, który wykuwał dla jej ludzi groty do włóczni i strzał. Od czasu, kiedy bogini go dotknęła, demonstrując swą nieskończoną moc, stał się dziwakiem. To fakt, że potrafiła nawet sięgnąć do głowy kowala i poprzestawiać mu w niej - żeby stał się dziwakiem. Ale dosyć tego! Żałowała, że czuje w sobie tak mało mocy; była zmęczona, ledwie widziała na oczy. Lecz ku chwale bogini miała do zdobycia dwie nowe głowy, które o świcie będą mogły zawisnąć nad jej chatą. Ledwie widziała na oczy, nie wierzyła jednak, by moc bogini ją zawiodła...

Zaskrzeczała głosem sowy płomykówki i włócznicy zaczęli powoli wychodzić z krzaków. Nie wolno jej było jeść miodu, żeby jego rozkoszny smak nie zdusił w niej mocy, zresztą słodycz potęgi nie dawała się porównać ze słodyczą miodu.

Ów szelest był niemal tak cichy jak odgłos kropel spadających z drzew, brzmiał jednak trochę inaczej. Towarzyszył przedzieraniu się przez chaszczki istot większych i nie tak

zwinnych jak zwierzęta; poza tym słycać było szmer rozmów.

Nagle zabrzmiał nieprzyjemny, skrzekliwy okrzyk, a po nim tupot wielu bosych stóp. Charles odruchowo pociągnął za spust karabinu maszynowego, a terkot ciężkiej broni omal nie rozsądził mu czaszki. W świetle czerwonych płomyków wylatujących z lufy dostrzegł niewyraźne sylwetki ludzi. Przyszło mu do głowy, że powinien strzelać krótkimi seriami, najwyżej po osiem pocisków; powinien także ustawić odpowiednio śrubę regulującą wysokość podstawki i wodzić lufą wzdłuż linii horyzontu, pewnie zaciskając dłoń na kolbie. Zaciekawilo go, co by powiedział stary Gilby, gdyby zobaczył, że niszczy dobry karabin, używając go jak miotacza ognia. „To wstyd, Charles”, przypomniał sobie zachrypnięty, gardłowy głos tamtego. „Czyżbyś znowu miał zamiar się ośmieszać i marnować mój czas?”

Karabin zamilkł, skończyła się amunicja. Ile wystrzelił? Dwadzieścia? Pięćdziesiąt? Może sto pocisków? Nie umiał ocenić. Po ciemku namacał drugi pas, załadował broń i zaczął nasłuchiwać.

- Żyjesz, gangsterze? - Orsino aż się wzdrygnął, kiedy usłyszał za plecami głos kadeta.

- Owszem - odparł. - Czy oni wrócą?

- Nie mam pojęcia.

- Wy kurewskie łajdaki! - z ciemności doleciał czyjś piskliwy głos. - Złamaliście mi grzbiet, wy kurewskie łajdaki! - Wycie przeszło w głośnie chlipanie.

Przysłuchiwali się temu w milczeniu przez dobrą minutę. Głos dolatywał gdzieś z lewej strony Charlesa. Ten powiedział w końcu do porucznika:

- Jeśli reszta nawiała, chyba możemy coś zrobić dla tego biedaka. Przynajmniej ukrócić jego cierpienia.

- To zbyt ryzykowne - odparł po dłuższej chwili oficer.

Płacz nie ustawał. Gdy z Charlesa opadły emocje, poczuł się śmiertelnie znużony. Dokuczało mu ssanie w żołądku i suchość w gardle. Chcąc zaspokoić pragnienie, zanurzył dłoń w wątlym strumyku deszczówki płynącym obok jego kolana i oblizał po kolei wszystkie palce. Kiedy powtarzał tę czynność po raz trzeci, pomyślał o pragnieniu, jakie musi odczuwać płaczący gdzieś w ciemnościach człowiek - i zamarł w bezruchu.

- Idę po niego - oznajmił szeptem porucznikowi.

- Zostań na miejscu! To rozkaz!

Charles nie odpowiedział, lecz zaczął się gramolić, chcąc wypełznąć spod samochodu. Był cały obolały. Kadet, o kilka lat młodszy i zręczniejszy, pierwszy wyczołgał się ze swojej strony. Orsino westchnął głośno i odprężył się, gdy usłyszał jego ostrożne kroki wzdłuż dżipa.

- Dobijcie mnie! - jęczał ranny mężczyzna. - Na miłość bogini, dobijcie mnie, wy, kurewskie łajdaki! Złamaliście mi grzbiet... Ach! - zakończył okrzykiem dzikiej rozkoszy.

Kadet wydał z siebie jakiś dziwny odgłos, po którym dał się słyszeć głośnie, zatrważający trzask gałęzi. Cholera - pomyślał Charles z goryczą. Ale to był jego pomysł. Wygrzebał się spod wozu i ruszył między zarośla.

Dostrzegł ciemny zarys dwóch złączonych postaci tarzających się po ziemi. Na wierzchu rozpoznał nagie plecy. Skoczył na napastnika, objął jego głowę, a kiedy poczuł pod palcami skołtunioną brodę, chwycił ją oburącz i pociągnął z całej siły do siebie. Tamten wrzasnął jak opętany i bezładnie zamachał rękoma. Oficer wysunął się spod tubylca i stanął na nogach, dysząc ciężko. Charles usłyszał stłumiony odgłos uderzenia oraz cichy jęk i wijący się w jego uścisku człowiek znieruchomiał.

- Wracamy do samochodu - wychrypiął porucznik.

Zachwiał się i Orsino chwycił go pod ramię. Sunąc w kierunku dziąpa, potknęli się o kolejne zwłoki.

Charles z obrzydzeniem pomyślał o tym, że znowu musi się położyć w błotnistym zagłębieniu przy karabinie maszynowym. Uczynił to jednak, choć wstrząsały nim dreszcze. Usłyszał, że porucznik również zajmuje swoje stanowisko.

- Co ty mu zrobiłeś? - spytał. - Zabiłeś go?

- Kopnąłem. - Kadet zachichotał. - Chyba nie żyje. Głowa odskoczyła mu do tyłu i rozległ się ten chrzęst. Nigdy dotąd nie słyszałem, żeby stosowali podobne sztuczki z przetrąconym grzbietem. Myślę, że ten chciał zabrać kogoś z nas ze sobą. Oni mają jakąś swoistą religię.

Dziwne tony w głosie kadeta kazały przypuszczać, że znajduje się on na krawędzi załamania nerwowego. To go dobiło, pomyślał Orsino. Trzeba uważać, żeby nie wyrwał się i nie pobiegł z wrzaskiem w las.

- Jak wy możecie żyć na tej wyspie? - zapytał. - Zostaliście przegnani z Ameryki Północnej, gdyż nie umieliście rządzić jak należy. A teraz wasza władza na tej zafajdanej wysepce nie sięga dalej, jak dziesięć kilometrów w głąb lądu. - Po chwili dodał z rozbawieniem: - To pewnie dlatego, że wśród nich są czarownice.

- Zamknij gębę, gangsterze. Ostrzegam cię. - W głosie tamtego wciąż można było wyczuć histerię. - Przepraszam, nie chciałem cię obrazić - dodał niespodziewanie spokojnym tonem. - Mimo wszystko wylazłeś stąd i pomogłeś mi.

- Zaskoczyłem cię?

- Owszem, dwukrotnie. Pierwszy raz wtedy, gdy sam chciałeś iść tubylcowi na pomoc. Przecież nic nie możesz na to poradzić, że urodziłeś się na kontynencie. Sądzę, że gdybyś nawet teraz przyłączył się do nas, rząd by ci przebaczył i zapomniał o wszystkim. Chociaż nie, może i nie... - zawahał się, jakby zastanawiało go zupełnie coś innego. Widocznie w głębi duszy wciąż był przekonany, że uda im się wrócić do bazy marynarki, a on odbierze swoją porcję pochwał. - Na jakim okręcie przyplynałeś?

- Na atomowej łodzi podwodnej „Taft” - odparł Orsino, za późno stwierdzając, że powinien był wcześniej ugryźć się w język.

- „Taft”? To łódź mojego ojca, kapitana Van Dellena. Jak on się czuje? Szedłem właśnie do portu, kiedy... wybuchła ta awantura.

- Nie żyje - powiedział grobowym głosem Orsino. - Był na zewnątrz, gdy ogłoszono alarmowe zanurzenie.

Porucznik nie odzywał się przez dłuższą chwilę, wreszcie zaśmiał się gardłowo, z niedowierzaniem.

- Kłamiesz - rzekł. - Załoga nigdy by nie dopuściła, żeby stało się coś podobnego. Uwielbiają go. Pewnie prędzej by dopuścili, żeby okręt wyleciał w powietrze, niż zeszliby pod wodę bez swojego kapitana.

- Dowodzenie przejął komandor Grinnel. To on rozkazał zanurzenie i zmusił załogę do posłuszeństwa, kiedy marynarze chcieli ściągnąć kapitana na dół. Przykro mi.

- Grinnel - powtórzył szeptem kadet. - Grinnel. Znam komandora Grinnela, to... dobry oficer. Widocznie musiał wydać taki rozkaz. Proszę, opowiedz mi o tym.

Orsino ledwie mógł zachować spokój.

- Twój ojciec został zamordowany - wyjaśnił chrapliwym głosem. - Wiem o tym, gdyż Grinnel posadził mnie przed ekranem radaru, chociaż nie mam zielonego pojęcia o odczytywaniu sygnałów radiolokacyjnych. Kazał mi wrzasnąć, że nadlatuje samolot.

Zrobiłem to, ponieważ nie wiedziałem, do czego zmierza. A on wykorzystał to, aby wydać rozkaz zanurzenia alarmowego, podczas gdy twój ojciec spał na zewnątrz. Tak był zmęczony, że mu nerwowo dygotał mięsień policzka. To właśnie ten dobry oficer zamordował twego ojca.

Usłyszał, że porucznik zaniósł się szlochem. Po chwili suchym, napiętym głosem zapytał:

- Chodzi o politykę?

- Tak - odparł Charles. - Grinnel miał chyba zamiar uczynić ze mnie swego osobistego agenta, ponieważ wtajemniczył mnie we wszystko. Zabił twego ojca tylko po to, by ukrywający swe przekonania Socjokrata mógł objąć dowództwo łodzi podwodnej. Ten człowiek jest uważany za Konstytucjonistę, ale w rzeczywistości należy do Socjokratów.

- Aha - mruknął kadet. - To pewnie komandor Folkstone, gorący zwolennik „Konstytucji” Kindlera. Mówisz, że jest Socjokratą? I Grinnel zrobił to dla Folkstone’a?

Orsino skoczył w górę, kiedy karabin Van Dellen zaterkotał z hukiem. Nie pociągnął jednak za spust. Jakby czytając w myślach kadeta, pojął, że tym razem nie było żadnych napastników kryjących się w mroku; tamten strzelał do dwóch nieobecnych tutaj zjaw. Nic nie powiedział.

- Musimy się dostać do Islandii - mruknął po jakimś czasie oficer.

- Do Islandii?

- Tak, mieści się tam Komitet Centralny Konstytucjonistów. To efekt kompromisowej umowy z Freibergu. Socjokraci rzucili nam wyzwanie, lecz jeśli nie zapłacą za to, będzie wojna.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz, Van Dellen. Co to znaczy: my?

- Ty i ja. Ty byłeś świadkiem tego zdarzenia, możesz zeznawać pod detektorem kłamstw.

- Człowieku, jeśli mnie podłączą do detektora, to zostanę rozstrzelany bezpośrednio w fotelu!

- Nie wtedy, jeśli Komitet Centralny Konstytucjonistów poręczy za ciebie - stwierdził kadet, jakby poczuł się obrażony. - Do cholery! Czego się boisz? Czy nie jesteś Konstytucjonistą?

- Skąd, na Boga?! Jak mogę się opowiadać po którejkolwiek stronie, jeśli dopiero co pojawiłem się wśród was?

- A czyż nie wierzysz w generalne zasady Konstytucjonizmu?

- Jakież to zasady?

- Poszanowanie jednostki, rządu prawa, a nie ludzi, respektowanie nienaruszalności rodziny, lojalność wobec partii.

Orsino zastanawiał się nad tym przez chwilę. Poszanowanie jednostki? Nie, w coś takiego trudno było uwierzyć. Jednostki żyją swoim życiem i zawsze popełniają jakieś błędy. W jego ojczyźnie żyło się znacznie lepiej bez takich wzniosłych, surowych zasad; lepiej było założyć, że ich wprowadzenie narobi tylko straszliwego bigosu, a wszyscy i tak będą próbowali je omijać.

Rządy prawa, a nie ludzi? Z pewnością nie na terytorium Syndykatu. Tam rządzą ludzie, ci najlepsi. Wuj Frank powtarzał, że tacy ludzie będą tak długo sprawowali dobrze władzę, dopóki zachowają swoje wysokie morale oraz zaufanie obywateli. Dopóki nie działo się nic nadzwyczajnego, szaleństwem byłoby rezygnować z rządów ludzi na rzecz rządów prawa. A gdyby nawet coś się wydarzyło, podobna zmiana również byłaby szaleństwem.

Poszanowanie nienaruszalności rodziny? Pewnie. Dopóki jakaś rodzina była godna

szacunku, nie należało jej burzyć.

Lojalność wobec partii? To całkowicie zależało od charakteru partii. Bez wątpienia Konstytucjoniści byli takimi samymi parszywymi zabójcami jak Socjokraci.

- Przypuszczam - rzekł z ociąganiem - że w głębi serca jestem Konstytucjonistą. W końcu pewne zasady są uniwersalne.

- Miałem nadzieję, że tak powiesz - odparł kadet. - Po tym, jak zostawiłeś karabin i pobiegnęś mi na pomoc... Od początku miałem pewność, że ktoś cię skołował, ale w zasadzie jesteś porządnym człowiekiem.

Kupiłeś go, stwierdził w duchu Orsino. Ale nie bądź głupi i zanadto nie polegaj na tym fakcie. Teraz mówi tak pod wpływem głodu, niewyspania i szoku na wiadomość o śmierci ojca. Pomogłeś mu wyjść cało z opresji, a on stwierdził, że znalazł w tobie sprzymierzeńca. „Tamten osłania moje tyły, jak zatem mógłbym go zawieść, skąd miałbym śmiałość mu nie ufać?” Nie bądź jednak głupcem i nie licz na to, kiedy już się wyśpi. Ale na razie wyciągnij z tego, ile tylko się da.

- Co zamierzasz? - spytał grobowym głosem.

- Musimy się wymknąć z Irlandii albo łodzią podwodną, albo samolotem. Nie możemy wrócić do New Portsmouth i zwyczajnie pójść do Dowództwa Okrętów Wojennych; tam rządzą Socjokraci. Na Boga! Może nawet Dowództwo Łodzi Podwodnych i Dowództwo Lotnictwa są już objęte zarazą, jeśli Folkstone przystąpił do działania! Grinnel musiał rozpuścić wśród Socjokratów wiadomość, że wymknąłeś mu się spod kontroli.

- Co to oznacza?

- Śmierć - odparł porucznik.

## ROZDZIAŁ XII

Komandor Grinnel po złożeniu raportu ze swojej wyprawy udał się prosto do domu schadzek. Mniej więcej o północy, kiedy do lokalu wstąpił zaprzyjaźniony porucznik z Wywiadu Marynarki, dotarły do niego ostatnie wiadomości.

- Co takiego?! - ryknął Grinnel. - Co to za kobieta? Gdzie ona jest? Zaprowadź mnie do niej natychmiast!

- Ależ, komandorze! - zaproponował zdumiony porucznik. - Dopiero co tu przyszedłem.

- Słyszałeś, co powiedziałem? Natychmiast!

Nieszczęśliwy porucznik mamrotał jeszcze coś pod nosem, kiedy Grinnel się ubierał. W czasie drogi do kwatery Dowództwa Wywiadu Marynarki komandor zażądał szczegółów. Porucznik dokładnie opowiedział mu o tym, co się zdarzyło.

- Przywieźli ją z jakiejś awanturniczej wyprawy, komandorze. Podobnej do tej, w której pan brał udział. Komandor Jacobi przebywał na terytorium Syndykatu ze zwykłą misją rekrutacyjną, sabotażową i rekonesansową, kiedy DAR dostarczył mu tę dziewczynę. Jest autentycznym członkiem Syndykatu, dla nas bezcennym. I, jak już mówiłem, zidentyfikowała tego mężczyznę jako Charlesa Orsino, także z Syndykatu. Dlaczego jest pan tym aż tak bardzo poruszony, jeśli wolno mi zapytać?

Grinnel miał ochotę powiedzieć: „Nie wolno!”, ale ugryzł się w język. Nie należało w takiej sytuacji robić sobie niepotrzebnie wrogów. Gdyby ktokolwiek zaczął podejrzewać, że on ma coś do ukrycia, niechybnie poczułby nóż na gardle.

- Ten człowiek to mój agent, poruczniku - odparł. - Albo wasza dziewczyna się pomyliła, albo Van Dellen i jego detektor kłamstw, a także i ja, zostaliśmy wyprowadzeni w pole przy zastosowaniu jakiejś zupełnie nowej techniki. - To całkiem niezłe posunięcie, pogratulował sobie w duchu. Zwalić wszystko na Van Dellena i technika... Nie można było przecież wykluczyć, że technik został przekupiony. Lecz nie, podczas badania Wyman odpowiadał na pytania z całkowitą swobodą i pewnością.

Drewniany, obity deskami budynek Dowództwa Wywiadu Marynarki, mający dwa piętra oraz poddasze, zaczynał powoli gnić w wilgotnym, irlandzkim klimacie.

- Trzymamy ją na drugim piętrze, komandorze - oznajmił porucznik. - Musimy tam wejść po drabinie.

- Dlaczego, w imię Boga?!

Przeszli obok portierni, gdzie oficer dyżurny obrzucił ich niezbyt przytomnym, pełnym niechęci spojrzeniem, i minęli szeregi zamkniętych drzwi na parterze oraz pierwszym piętrze.

- Mówiąc szczerze, mieliśmy trochę kłopotów, żeby ją tu utrzymać.

- Chciała uciekać?

- Nie, nic podobnego. Zarówno Wydział G-2 Marynarki, jak i Akademia Wywiadu Gwardyjskiego próbowały ją nam odebrać, najpierw za pomocą urzędowych pism, a potem siłą. Mamy nadzieję zatrzymać ją do czasu, aż wiadomości dotrą do lodowej Islandii. Potem - oczywiście - i tak zostaniemy na lodzie.

Porucznik zachichotał ze swego wątpliwego dowcipu, lecz Grinnel nadal wspinał się po drabinie z marsową miną.

Kwatera Lee Bennet mieściła się w porządnie wykończonej części poddasza. Pokój miał solidne drzwi z olbrzymią zasuwą. Porucznik zastukał.

- Nie śpisz, Lee? Jest tu pewien oficer, który chciałby z tobą porozmawiać na temat Orsino.

- Proszę, wejdźcie - dobiegł głos z wewnątrz.

Porucznik przebiegł palcami po klawiaturze szyfrowego zamka i po chwili drzwi stanęły otworem. Dziewczyna siedziała przy jedynym okienku pokoju, wpatrując się w ciemności.

- Nazywam się komandor Grinnel, moja droga. - Po ośmiu godzinach spędzonych w domu schadzek autentycznie czuł wzbierające w nim ojcowskie uczucia. - Jeżeli nie jest to dla ciebie odpowiednia pora, mogę wrócić, kiedy tylko zechcesz...

- Może być - odparła apatycznym tonem. - Czego chce się pan dowiedzieć?

- Jestem bardzo zdumiony, że zidentyfikowałaś tego człowieka jako Orsino. Komandor Van Dellen, który zaledwie kilka dni temu zginął śmiercią bohaterską, zaakceptował jego zeznania jako autentyczne, a muszę przyznać, że ja także mu uwierzyłem. Przeszedł pomyślnie badania ze skopolaminą i poligrafem.

- Nic na to nie poradzę - odparła Lee. - On sam podszedł do mnie na ulicy i powiedział, jak się nazywa. Rzecz jasna, ja też go rozpoznałam. Jest graczem polo. Wystarczająco często widywałam tego cholernego snoba podczas rozgrywek na Long Island. Nie jest nikim znaczącym w Syndykacie, ma jednak powiązania z F. W. Taylorem. Orsino jest sierotą; nie wiem, czy Taylor go formalnie zaadoptował. Chyba nie.

- Jesteś pewna, że się nie mylisz?

- Jestem pewna, że się nie mylę. - Zaczęła dygotać. - Na Boga, komandorze Jakiś tam! Sądzi pan, że mogłabym zapomnieć twarz któregoś z tych szyderców? Zapomnieć, co oni mi zrobili? Podłączcie mnie ponownie do detektora kłamstw! Proszę, nalegam na to! Nikt nie będzie mi zarzucał kłamstwa! Słyszysz mnie pan? Podłączcie mnie do detektora!

- Nie, bardzo proszę... - komandor próbował ją uspokoić. - Wierzę ci, moja droga. Nikt nie wątpi w twoją szczerość. Bardzo dziękuję ci za pomoc i życzę dobrej nocy.

Wycofał się szybko z pokoju; porucznik poszedł jego śladem. Kiedy tylko drzwi zamknęły się za nim, warknął:

- No i co?

Porucznik wzruszył ramionami.

- Detektor kłamstwa za każdym razem potwierdzał jej zeznania. Przestaliśmy go już stosować. Jesteśmy przekonani, że ona należy do nas. Uważamy, że zasłużyła na przyznanie jej obywatelstwa.

- Chodźmy - rzucił komandor. - Sami wiecie, co należy robić.

Zaczęli z powrotem schodzić po drabinie; komandor pierwszy, jak nakazywała etykieta marynarska.

Za zamkniętymi drzwiami Lee Bennet rzuciła się na łóżko. Miała ochotę płakać, ale nie mogła zmusić się do łez. Nie umiała płakać od czasu, kiedy ci trzej hałaśliwi pijacy, posługując się immunitetem członków Syndykatu, postanowili udowodnić jej swą męskość... Od tamtej pory nie potrafiła płakać.

Charles Orsino - jeszcze jeden z tego grona. Miała nadzieję, że zostanie schwytany i będzie konał w powolnych mękach. Wiedziała, że tak byłoby sprawiedliwie. Czemu zatem czuła się jak morderca? Dlaczego bezustannie nawiedzała ją myśl o samobójstwie? Dlaczego?

\* \* \*

Niepostrzeżenie nadszedł świt. Najpierw Charles mógł odróżnić linię wierzchołków drzew na tle jaśniejącego nieba, później niektóre szczegóły terenu, aż wreszcie dostrzegł dwie



ciemne sylwetki, które okazały się półnagimi ciałami. Jedno z nich należało do kobiety, dosłownie rozerwanej przez pociski wielkiego kalibru. Drugim był brodaty olbrzym - ten sam, z którym walczyli w ciemnościach.

Orsino wygramolił się spod wozu i podszedł bliżej zwłok. Mężczyzna naprawdę został ranny, otrzymał postrzał w udo. Natomiast koścista, siwowłosa starucha miała przywiązaną na głowie czaszkę jakiegoś zwierzęcia, spod której wysuszone ścięgna zwieszały się jej na ramiona, a całe ciało pokrywały niebieskie tatuaże.

Kadet, który stanął obok niego, odezwał się po chwili:

- To jedna z ich czarownic. Nieodzowny element religii, jeśli można to w ten sposób nazwać.

- Jakiejś zupełnie nowej religii? - spytał niepewnym głosem Charles. - Czegoś, co pojawiło się w ostatnich latach?

- Nie - odparł tamten. - To chyba bardzo stara religia, jeszcze przedchrześcijańska. Zdaje się, że do Czasu Wielkich Zmian wyznawano ją potajemnie, później rozprzestrzeniła się szybko na całą Europę. Ci barbarzyńcy składają co miesiąc ofiary ze zwierząt, a dwa razy w roku ofiary z ludzi. Czego więc można się po nich spodziewać?

Charles przypomniał sobie o marynarskim pomysle gotowania krnąbrnych niewolników.

- Zobaczę, co się da zrobić z dżipem - rzekł.

Kadet usiadł na mokrej trawie.

- I co nam z tego przyjdzie, do diabła? - mruknął ociężale. - Nawet jeśli uda ci się go uruchomić, jeśli zdołamy jakoś wrócić do bazy, tamci powitają cię salwą. Może będą także strzelać do mnie, jeśli już zabili mego ojca. - Uśmiechnął się krzywo. - Nie masz jeszcze jakiegoś asa w rękawie, gangsterze?

- Może i mam - rzekł z ociąganiem Orsino. - Czy wiesz coś o kobiecie nazwiskiem Lee Bennet, która współpracuje z Wywiadem Marynarki?

- Została nam dostarczona przez DAR. To niewyczerpane źródło informacji. Poza tym jest chyba trochę stuknięta. Czyżbyś miał coś na nią?

- Czy stoi za nią jakiś autorytet? Może ma obywatelstwo?

- Nie ma. Wywiad chce po prostu wyciągnąć z niej, ile tylko się da, by złożyć kompleksowy obraz życia Syndykatu. Ona nawet nie mogłaby dostać obywatelstwa, chyba że wstąpiłaby w związek małżeński z obywatelem terytorium rządowego. Na miłość boską, co ty masz z nią wspólnego? Może znałeś ją jeszcze na kontynencie? Dla Syndykatu ona już nie istnieje, nie może nic dla ciebie zrobić.

Charles nie słuchał go już, miał wrażenie, że odkrył prawdę. Kluczem do odzyskania swej osobowości przez Lee Falcaro, tak jak w jego wypadku, było złożenie przysięgi wierności rządowi. Coś takiego nie nastąpiło, ponieważ ta banda piratów nie życzyła sobie, czy wręcz nie potrzebowała kobiet w gronie pełnoprawnych, najlepszych obywateli. Jeden z drobnych, mało znaczących kompleksów kulturowych rządu miał się stać powodem, dla którego Lee Falcaro na zawsze zostanie uwięziona w syntetycznej namiastce osobowości. Testy prawdomówności, skopolamina... To wszystko przeszła pomyślnie, lecz jako kobieta nie mogła liczyć na przysięgę wierności.

W takim stanie, w jakim się znajdowała, Lee Falcaro stanowiła bombę z opóźnionym zapłonem w samym centrum nerwowym północnoamerykańskiej Marynarki Wojennej. Jak można było jej pomóc?

- Wpadłem na nią w New Portsmouth - wyjaśnił porucznikowi. - Pamiętała mnie jeszcze

zza oceanu i wydała mnie... - Klęknął przy kałuży i napił się nieco wody, chcąc nie tylko ugasić pragnienie, ale i oszukać narastający głód. - Zobaczą, co się da zrobić z dżipem.

Podniósł maskę i zerknął przez ramię na kadeta; Van Dellen układał się do snu na mokrej trawie. Charles znalazł podobny trzpień w korbie, wyciągnął go, wsadził w miejsce brakującego w wale napędowym i wpasował go młotkiem. Rozwalony blok chłodnicy, pomyślał w zadumie. Cóż to za oficer, który nie umie ocenić, czy faktycznie chłodnica została rozbita, czy nie? Jeśli tylko uda mi się wyjść z tego cało - myślał - bez trudu zmieciemy ich z powierzchni ziemi; w każdym razie pozbędziemy się skretyniałych Socjokratów i Konstytucjonistów, reszta to zupełnie normalni ludzie. Może z wyjątkiem tych łajdaków z Gwardii. To banda łobuzów, miejmy nadzieję, że zostaną zabici w walce.

Poczuł delikatne ukłucie na karku. Sięgnął ręką, żeby się podrapać i namacał jakiś metalowy przedmiot.

- Odwracaj się powoli, albo zostaniesz poćwiartowany jak Świnia - rzucił ktoś basowym głosem.

Charles odwrócił się z wolna. Ów metal, przytknięty teraz do jego piersi, okazał się wyciętym w kształcie liścia grotem włóczni. Trzymał ją potężnie zbudowany olbrzym o rudych włosach i skołtunionej, rudej brodzie, którego niebieskawozielone oczka były tak zimne jak śmierć.

- Związać go! - padł rozkaz.

Inny półnagi mężczyzna wykręcił mu ręce do tyłu i związał w nadgarstkach kawałkiem powrozu.

- Skrępować mu nogi. - Stanowczy głos należał do kobiety.

Drugim kawałkiem powrozu czy też wysuszonego ścięgna związane mu nogi, zostawiając jakieś pół metra luzu. Mógł iść, ale nie zdołałby biec. Olbrzym opuścił włócznię i odsunął się na bok.

Pierwszą rzeczą, jaką Charles zauważył, było to, że kadet-porucznik Van Dellen z Marynarki Wojennej Ameryki Północnej na zawsze uciekł od swoich kłopotów i wątpliwości. Podczas snu został przyszpilony włócznią do trawy. Prawdopodobnie nie czuł nawet bólu, szerokie ostrze wniknęło głęboko, pozbawiając go w jednej chwili życia.

W drugiej kolejności popatrzył na szczupłą, zgrabną dziewczynę, w przybliżeniu dwudziestoletnią, która - odwiązawszy zwierzęcą czaszkę z głowy zabitej wiedźmy - pieczołowicie umocowała ją na swych rudych, spadających warkoczem na plecy włosach. Nawet dla oglupionego Orsino było jasne, że stał się świadkiem wydarzenia doniosłej wagi. Oto bowiem sześćosobowa grupka w kręgu wydeptanej trawy uległa przeobrażeniu; stojący dotąd w luźnej gromadzie mężczyźni z chwilą nałożenia przez dziewczynę ozdoby z czaszki zmienili postawę - ten wykonał krok, tamten dwa, inny zaledwie się obrócił, ale wszyscy stanęli twarzą w jej kierunku. Nie ulegało wątpliwości, że dziewczyna stała się ich wodzem.

Czarownica, pomyślał Orsino. „Spotykali się potajemnie do Czasu Wielkich Zmian... Barbarzyńskie obrządki... Dwa razy w roku ofiary składane z ludzi.”

Podeszła do niego i - jak przy obrocie kalejdoskopu - cała grupa zmieniła szyk w taki sposób, by wciąż stać twarzą do niej. Charles stwierdził w duchu, że nigdy i u nikogo nie widział tak groteskowej miny wyrażającej przekonanie o swej wszechmocy. Ten dzieciak przewodzący kilku barbarzyńcom zachowywał się tak, jakby był imperatorem wszechświata. Widocznie nastrój ten udzielił się również wielkiej szarej wszy, która wypełzła spośród włosów dziewczyny, przedfilowała przez środek czoła i ponownie zniknęła pod grzywką.

Dziewczyna nosiła brudne okrycie ze skór, jakby były to królewskie purpurowe szaty. Mogło to świadczyć albo o jej niepoczytalności, albo o bezgranicznych pretensjach do pozycji autorytetu religijnego. Ale w jej oczach nie dało się zauważyć błysków szaleństwa.

- Ty - syknęła lodowatym tonem. - Co z dżipem i karabinami? Są na chodzie?

Charles wybuchnął nagle idiotycznym śmiechem; nie mógł się opanować, słysząc podobne słowa z ust bogini pochodzącej jakby z epoki kamiennej. Lecz uniesione ostrze włóczni uspokoiło go natychmiast.

- Tak - odparł. - Jak najbardziej... panienko.

- Pokaż moim ludziom, jak je obsługiwać - nakazała, po czym rozsiadła się po królewsku na trawie.

- Proszę - rzekł. - Ale czy mógłbym najpierw dostać coś do jedzenia?

Dziewczyna bez słowa skinęła głową, a jeden z dzikusów odwrócił się i pognął między chaszczki.

Z rozwiązanymi rękami i jeszcze umorusaną twarzą po tłustej porcji dziczyzny, Charles spędził resztę dnia na objaśnianiu sześciu barbarzyńcom nazewnictwa, konserwacji oraz obsługi dżipa i sprzężonych przeciwlotniczych karabinów maszynowych.

Tamci chłonęli wiedzę bez cienia zainteresowania. Mógłby im wmówić, że w mosiężnych łuskach siedzą zamknięte małe zielone ludziki, które dostają szału w chwili odpalenia spłonki i kopnięciem swej mikroskopijnej nóżki z wielką siłą wyrzucają pociski. Mniej więcej nauczył ich, jak uruchamiać, kierować i zatrzymywać samochód. Mniej więcej opanowali sztukę ładowania, celowania i strzelania z karabinów.

Przez cały ten czas dziewczyna trwała w absolutnym bezruchu - najpierw w cieniu, potem w skwarze południowego słońca, później znowu w cieniu. Nasłuchiwała jednak z uwagą. W końcu powiedziała:

- Nie nauczyłeś ich do tej pory niczego nowego. To już wszystko?

Charles spostrzegł, że ostrze włóczni zostało wymierzone w jego żebra.

- Mogę powiedzieć o wielu szczegółach - rzucił w pośpiechu - ale to zajmie parę miesięcy.

- Potrafią już obsługiwać ten sprzęt. Czego jeszcze mogliby się nauczyć?

- No cóż, przede wszystkim tego, co robić, kiedy coś się zepsuje.

- Kiedy coś się zepsuje, wtedy trzeba zacząć od początku - oznajmiła głosem znamionującym głębokie doświadczenie. - Nie ma innego wyjścia. Kiedy ja przygotowuję śmiertcionośne wino do grotów włóczni, a ono nie chce zabijać, to wiem, że coś zepsułam; pomyliłam jakieś słowo, uczyniłam niewłaściwy gest czy zebrałam którąś roślinę o nieodpowiedniej porze. Nie pozostaje nic innego, jak zacząć przygotowywać wino od początku. Im większe ma się doświadczenie, tym mniej popełnia się błędów. Tak samo będzie z moimi ludźmi obsługującymi dżipa oraz karabiny maszynowe.

Skinęła lekko głową w kierunku jednego z dzikusów i ten zacisnął mocniej palce na drzewcu włóczni.

- Nie! - wrzasnął Charles. - Nic nie rozumiesz! To jest zupełnie coś innego! - Mimo przedwieczornego chłodu pot spływał mu po ciele. - Musisz mieć kogoś, kto będzie umiał naprawić dżipa oraz karabiny maszynowe. Jeśli się coś zepsuje, to będzie zepsute i żadne zaczynanie od początku nic tu nie da!

Dziewczyna skinęła głową i oświadczyła:

- Zabierzemy go ze sobą.

Charles poczuł ulgę, a zarazem nie mógł się nadziwić sposobowi, w jaki ten dzieciak

wydawał rozkazy. Uzmysłował sobie, że jeszcze nigdy, absolutnie nigdy nie widział, aby ktokolwiek w takim stylu umiał przyznać się do popełnionego błędu. Nie dostrzegł najmniejszego wahania, żadnego śladu niechęci w jej głosie czy grymasu niezadowolenia. Bez zastanowienia rzekła po prostu: „Zabierzemy go ze sobą.” To było tak, jakby starła z przeszłości minione chwile, jakby skasowała swe niedawne wątpliwości, przekreśliła je jednym ruchem. Była osobą, która w żadnej mierze nie musiała walczyć ze sobą; dokładnie wiedziała, kim jest i co sobą reprezentuje...

- Uff! - jęknął Charles ze ściśniętym gardłem.

Dwaj włóczęgowie ze ściągniętymi twarzami nałożyli mu na ramiona jarzmo składające się z dwóch byle jak ociosanych drągów, niemal dwumetrowej długości, związanych na końcach rzemieniami; nie mógł do nich dosięgnąć. Sprężyste pniaki miały krótsze gałęzie rozchylone pośrodku na tyle, by przez otwór przeszła jego głowa. Gdy na koniec przywiązano mu ręce do bali tuż przy szyi, oczy niemal wyszły mu z orbit.

Dziewczyna płynnym ruchem podniosła się, co było o tyle dziwne, że przez cały dzień nawet nie drgnęła. Poszła przodem w otoczeniu dwóch wojowników; pozostała czwórka jechała za nią dżipem na pierwszym biegu, natomiast Charles włókł się na końcu. Nikt nie musiał go poganiać - jego godziny byłyby policzone, gdyby w swym przenośnym więzieniu oddalił się od reszty.

Musisz się ich trzymać, nakazywał sobie w duchu, przedzierając się przez chaszczę. Ważne, żebyś utrzymał się przy życiu, a na pewno znajdziesz sposób wykiwania dzikusów. W tejże chwili został osadzony na miejscu, bo drągi zahaczyły o stojące blisko siebie drzewka. Orsino zaklął, cofnął się nieco, obrócił bokiem i pognął dalej, nasłuchując warkotu samochodu.

O świcie dotarli do celu wyprawy - skupiska lepiarek z gliny i patyków oraz zagrody z kilkoma sztukami wynędzniałego, pokrytego parchami bydła, między którymi kręciło się kilka osób dorosłych i kilkoro dzieci. Przywódczyni szła wciąż tak samo lekkim krokiem, a oczy jej błyszczały. Włóczęgowie ziewali ukradkiem i rozprostowywali kości. Charles przypominał chodzącego trupa, był cały poobijany i posiniaczony od ciągłego przewracania się i wpadania na drzewa. Przekrwionymi, zapuchniętymi oczyma patrzył, jak wszyscy dorośli gromadzą się wokół dżipa, składając hołdy dziewczynie - wszyscy, z wyjątkiem jednej osoby.

Stara wiedźma o ostrych rysach podeszła i zuchwale rzekła lodowatym tonem:

- Widzę, że przywłaszczyłaś sobie moc bogini, moja droga. Czyżby coś przydarzyło się mojej siostrze?

- Karabiny zabiły wiadomą ci osobę i ja założyłam czaszkę. Dobrze wiesz, kim jestem, więc nie mów więcej: „przywłaszczyłaś sobie”. Ostrzegam cię.

- Kłamiesz! - wrzasnęła wiedźma. - To ty ją zabiłaś i ukradłaś czaszkę! Niech święty Patryk i święta Brygida skręcą ci kiszki! Niech Abaddon i Lucyfer wykolą ci oczy!

Dzicy rozstąpili się na boki, tworząc krąg.

- Ostrzegam cię po raz drugi - wycodziła przez zęby przywódczyni.

Ale stara wykonała tylko wulgarny gest palcami, nie spuszczać z niej oczu; ludzie jęknęli chórem; niektórzy odwrócili się plecami, a jakaś dziewczynka padła zemdlna na ziemię.

Czarownica z przywiązaną na czubku głowy zwierzęcą czaszką wypowiedziała nagle zaklęcie, pochodzące jakby sprzed tysiąca lat:

- To jest trzecie ostrzeżenie, dalszych już nie będzie. Oto straszliwy robak zaczął się wgryzać w twój kręgosłup. Czerw pożera już twoje oczy. Wnętrznosci zamieniają ci się

w wodę. Serce łomocze jak serduszko ptaka i wkrótce przestanie bić.

Usłyszawszy ten przerażający, jak gdyby dolatujący zewsząd szept, półnadzy ludzie z pobladłymi twarzami, zasłaniając uszy rękami, rzucili się do ucieczki. Tylko wiedźma stała jak wmurowana. Oniemiały Charles nasłuchiwał słów klątwy i nie zdziwił się nawet specjalnie, kiedy stara runęła jak kłoda. Podobna czarownica, choć zmuszona do wzmacniania słów dawkami seconalu, pół roku wcześniej zrobiła to samo z nim.

Ludzie z wolna powracali, mamrocząc obraźliwe epitety pod adresem nędznej buntowniczkii. Jako pierwszy podszedł do trupa mały chłopiec, trącił go nogą i popatrzył hardo w oczy przywódczyni, jakby chciał powiedzieć: „Popatrz, jaki jestem ci wierny!” Reszta poszła w jego ślady. Charles odwrócił się, ogarnięty histerią; dostał torsji. Nie mógł patrzeć, jak ciało powoli zmienia się w krwawą miazgę. Nie miał jednak sposobu, żeby zatkać uszy przed narastającą falą mściwych okrzyków.

Ważne, żebyś utrzymał się przy życiu, a na pewno znajdziesz sposób wykiwania dzikusów, powtórzył w myślach z ironią. Stało się dla niego jasne, że te dzikusy żyły według jakiegoś niejasnego, skomplikowanego kodeksu, którego opanowanie było z pewnością o wiele trudniejsze od zrozumienia zasad Syndykatu czy rządu.

Jeden z włóczników kopniakiem postawił go na nogi i warknął:

- Zaprowadzę cię do Kennedy'ego. Pewnie się znacie.

- Nie.

- Nie? Ty pochodzisz z Portsmouth i on pochodzi z Portsmouth. Jak to możliwe, żebyście się nie znali? - Jego kwaśna mina wyrażała podejrzliwość.

- W porządku - jęknął Orsino. - Niewykluczone, że go znam. Czy mógłbyś zdjąć to ze mnie?

- Później.

Zaciągnął Charlesa przed maleńką, prymitywną chałupę z pni; z komina wydobywał się dym, a z wnętrza dobiegał nieregularny, metaliczny łoskot. Zdjął mu jarzmo z karku, odwalił kilka głązów zasłaniających otwór wejściowy i gestem nakazał mu wpełznąć do środka.

Wnętrze chaty miało wymiary dwa na trzy metry i było ograniczone palisadą z bali o szerokości dwudziestu centymetrów. Panował tu mrok i straszliwy zaduch, przez kilka małych otworów wpadało niewiele powietrza. W kącie znajdował się dół kloaczny. Przed otwartym, kamiennym piecem stał nagi, brązowoskóry mężczyzna o skołtunionych włosach i gęstej brodzie.

- Czy to ty nazywasz się Kennedy? - zapytał niepewnie Charles, rozcierając sobie kark. Tamten uniósł wzrok, przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, wreszcie wychrypiął:

- A ty jesteś z rządu?

- Tak - odparł Orsino, odzyskując stopniowo nadzieję. - Dzięki Bogu, że umieścili nas razem. Przywiedli mnie tu razem z dżipem, który ma jeszcze prawie pełny zbiornik paliwa, a w dodatku zamontowany sprzężony karabin przeciwlotniczy. Jeśli dobrze wszystko rozegramy, może uda nam się razem stąd uciec...

Urwał zmieszany. Kennedy odwrócił się w stronę pieca, wyciągnął z żaru kawałek rozpalonego do czerwoności żelaza i zaczął walić w nie młotem. Wszędzie dokoła walały się grotty włóczni oraz strzał w różnym stadium obróbki, a także pilniki i kamienie szlifierskie.

- O co chodzi? Nie interesuje cię to?

- Oczywiście, że interesuje - burknął Kennedy. - Ale musimy zacząć od samego początku. Mówisz zbyt ogólnikowo - wyjaśnił łagodnym, lecz karcącym tonem.

- Masz rację. Sądzę, że nie raz już próbowałeś ucieczki. Ale teraz jest nas dwóch. Co zatem proponujesz? Umiesz prowadzić dżipa? A obsługiwać karabin maszynowy?

Mężczyzna wetknął obrabiany kawał żelaza z powrotem do pieca, sięgnął po czarny grot włóczni i zaczął go ostrzyć pilnikiem.

- Przejdźmy do spraw zasadniczych - oznajmił niczym mentor. - Czymże jest ucieczka? Przeniesieniem się z niepożądanego miejsca przy jednoczesnym pokonywaniu okoliczności oraz osób sprzeciwiających się takiej zmianie. Pomiąłem tu wszelkie szczegóły, prawda? Załóżmy więc, że określimy ucieczkę jako przeniesienie nasz relatywnie niepożądanego miejsca do innego, relatywnie bardziej pożądanego, przy jednoczesnym przeciwstawianiu się i pokonywaniu tubylców.

Odłożył pilnik, sięgnął po kamień szlifierski i zaczął nim wykańczać błyszczące, metalowe ostrze. Po chwili uniósł głowę i uśmiechnął się.

- Jak to pasuje do naszego planu? - zapytał.

- Znakomicie - mruknął Charles, a oblicze Kennedyego aż pojaśniało z dumy. - Wspaniale - dodał, po czym usiadł ciężko na udeptanej ziemi, niemal dosłownie przygnieciony ciężarem rozczarowania. Jego niedoszły sprzymierzeniec był po prostu szalony.

## ROZDZIAŁ XIII

Jak się okazało, Kennedy był mechanikiem-zbrojmistrzem Marynarki Wojennej Ameryki Północnej, schwytanym dwa lata wcześniej podczas polowania na jelenie, kiedy nieuważnie oddalił się od drogi łączącej New Portsmouth z tartakiem. Karmiony ochłapami, odizolowany od kontaktu z innymi oraz bity, jeśli nie wykonał dziennego planu wykuwanych grotów do strzał i włóczy, stopniowo zamknął się w kuszącym, nieskończonym labiryncie abstrakcji myślowych. Od czasu do czasu Orsino wylawiał z jego wypowiedzi kilka sensownych słów, lecz różowe chmurki obłędu szybko przyćmiewały ponownie jego umysł. Kiedy zaś bladły wszelkie uroki konwersacji z lunatykiem, Charles zajmował się obserwacją życia tubylców przez otwory w palisadzie. W wiosce mieszkało około pięćdziesięciu osób. Byłoby ich znacznie więcej, gdyby nie uprawiali dzieciobójstwa, którego przyczyn Orsino nie potrafił dociec. Na pewno nie dokuczał im brak żywności. Polowania przynosiły bogate żniwo, na poletkach rosły ziemniaki, a w zagrodzie hodowano bydło.

Charles siedział w chacie przez tydzień, aż pewnego ranka odwalono głązy sprzed wejścia i wywołano go na zewnątrz. Nim jednak zanurkował w wąski otwór, rzekł do Kennedy'ego:

- Spokojnie przyjacielu. Wrócę tutaj. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Tamten spojrział na niego i uśmiechnął się krzywo.

- To bardzo ogólne stwierdzenie, Charles. Sugerujesz mi mniej ni więcej...

Orsino bezsilnie wzruszył ramionami i wypełznął z chaty.

Stał przed przywódczynią, otoczoną, jak zawsze, przez kilku włóczyków.

- Wsłuchiwałam się w ciebie. Dlaczego okłamujesz swoich braci?

Charles gapił się na nią jak urzeczoną, a w jego myślach kołatało się tylko jedno: „To bardzo ogólne stwierdzenie...” Nie powiedział tego jednak.

- Odpowiadaj! - warknął jeden z wojowników.

- Ja... Nie wiem, o co chodzi. Nie mam żadnych braci.

- Mówię o twoich braciach w Portsmouth i na morzu. Jakkolwiek byś ich nazywał, są twoimi braćmi, wszyscy jesteście dziećmi jednej matki noszącej miano rządu. Dlaczego jesteś wobec nich nieszczerzy?

Stopniowo zaczynał pojmować.

- To nie są moi bracia, gdyż ja nie jestem dzieckiem rządu. Pochodzę z daleka, moja matka znajduje się po drugiej stronie oceanu i nosi miano Syndykatu.

Przez chwilę dziewczyna wyglądała na zdumioną, co choć trochę upodabniało ją do człowieka. Lecz szybko jej twarz znów skryła się pod maską obojętności.

- To prawda - oznajmiła. - Mamy teraz zadanie dla ciebie. Musisz zapoznać jeszcze jedną osobę z obsługą dżipa i karabinów. Masz ją dobrze uczyć, tak, żeby ubrudziła się o metal i usmarowała sobie ręce olejem. Pilnie uważaj, aby dokładnie nauczyła się, jak obsługiwać dżipa i karabiny. - Odwróciła się do wojowników i poleciła: - Przyprowadźcie Martę.

Włóczyk po chwili przyciągnął Martę, która z trudem powstrzymywała się od płaczu. Była to półnaga, dziesięcioletnia dziewczynka.

Wiedźma odwróciła się na pięcie i odeszła. Strażnicy zaprowadzili Martę i oszołomionego Orsino na skraj wioski, gdzie pod drewnianą ramą oplecioną winoroślą, wyglądającą tu jak eksponat muzealny, stał dżip z zamontowanymi na stelażu karabinami. W pędy wina powtykane były pióra i kości, a tubylcy traktowali je jak linię wysokiego napięcia.

- Ułam gałązkę - rzekł jeden z nich do Charlesa, a kiedy ten wykonał polecenie, dzieci odetchnęli z ulgą. Marta przestała chlipać i patrzyła okrągłymi ze zdumienia oczami to na Orsino, to znów na leżącą w piasku gałązkę winorośli.

- On jest wciąż niezależny - mruknęła do jednego z wojowników.

- To dlatego, że pochodzi spoza wioski - wyjaśnił tamten. - Czyżbyś o tym nie wiedziała, dziewczyno? Nie możesz użyć swojej mocy bogini wobec kogoś przybywającego spoza wioski. Tylko to zdaje egzamin. - Opuścił włócznię i lekko dźgnął Charlesa grotem w lewy policzek. Wszyscy wybuchnęli gromkim śmiechem, nawet Marta, lecz szybko przypomniała sobie o osobistej urazie i ponownie zrobiła nadąsaną minę, jakby zaraz miała wybuchnąć płaczem.

- Bierz się do roboty i pokaż jej wszystko - nakazał wojownik Orsino. - Z karabinów wyciągnęliśmy iglice, a gdybyś próbował uruchomić dżipa, zostaniesz przeszyty włócznią. Bierz się do roboty.

Strażnicy rozsiedli się na trawie wokół samochodu. Dziewczynę przeszył dreszcz, kiedy Charles wziął ją za rękę; wyrwała się i próbowała uciec, ale jeden z mężczyzn złapał ją bez większego wysiłku i przyciągnął z powrotem. Oparł ją o burtę dżipa, a mała z pobladłą twarzą zamarła w bezruchu.

- Nie masz się czego bać, Marto - powiedział Charles łagodnym tonem. - Nie będziemy strzelać z karabinów ani jeździć samochodem. Pokażę ci tylko, jak się nimi posługiwać, abyś mogła zabić wszystkich, których nie lubisz, a dżipem poruszać się szybciej niż łania...

Spostrzegł, że równie dobrze mógłby przemawiać do słupa. Dziewczyna gapiła się na swoją rękę, którą dotknęła samochodu, i mamrotała pod nosem:

- To chyba przez to, tędy odpływa moc. Czy bogini mogła ją zniszczyć? Nie. Przecież nie czuję jej już w sobie, musiała tędy odpłynąć.

Podniosła niespodziewanie wzrok na Charlesa i powiedziała:

- Mów dalej. Pokaż mi wszystko, o niczym nie zapomnij.

- O czym ty mówisz, Marto?

- Moja siostra boi się mnie, pragnie więc pozbawić mnie mocy. Czyżbyś nie wiedział? Nie, chyba nie. Bogini lęka się żelaza i maszyn. Ja dysponowałam mocą bogini, ale teraz nie ma jej już we mnie. Czułam, jak odpłynęła. Teraz nikt nie będzie musiał się mnie bać. - Skrzywiła się. - Pokaż mi, jak obsługiwać karabiny.

Przez cały czas trwania tej lekcji włócznicy przyglądali się im, szczerzyli zęby w uśmiechu, od czasu do czasu rzucali głupi żart o obalonym tyranie, co, rzecz jasna, musiało się odnosić do Marty. Dziewczyna udawała, że nie zwraca na nich uwagi, smutnym głosem powtarzając używane przez Charlesa nazwy i naśladując wszelkie czynności. Orsino stwierdził w duchu, że jest bardzo pojętna. Przy pierwszej nadarzającej się sposobności szepnął jej do ucha:

- Przykro mi, Marto. To nie był mój pomysł.

- Wiem - odparła szeptem. - Polubiłam cię. Bardzo żałowałam, kiedy tamten drugi ciemniak zabrał twój obiad. - Znów zanosła się szlochem. - Nigdy już niczego nie przejrzę! Nikt już nigdy nie będzie się mnie bał! - Zapłakała, wtuliwszy twarz w ramię Charlesa.

Ten odruchowo pogłaskał jej skołtunione włosy, popatrzył na rozweselonych strażników i rzekł:

- Słuchajcie, czy sprawy nie zaszły trochę za daleko? Nie dość już wam tych drwin? Dowódca włóczników wstał, splunął na ziemię i wdrapał się na dżipa.



- Chyba tak - mruknął. - Chodź, dziewczyno.

Ściągnął Martę z siedzenia i kopniakami pogał ją w stronę lepianek.

Orsino zeskoczył z samochodu tuż przed ciosem drzewca włócznie wymierzonym w jego zadek. Pozwolił zaprowadzić się z powrotem do prymitywnej kuźni i wlaźł przez dziurę do środka.

- Myślałem o tym, co powiedziałaś wczoraj - rzekł głośno Kennedy, ostrząc pilnikiem grot strzały. - Kiedy stwierdziłem, że aby zmienić jedną cząstkę przeszłości, należałoby zmienić wszystkie cząstki przeszłości, ty odpowiedziałaś: „Może i tak”. Pojąłem, że chodziło ci o to, iż...

- Kennedy, chociaż ten jeden raz zamknij jadaczkę. Muszę pomyśleć.

- Jak mam to rozumieć, Charles? Chcesz powiedzieć, że jesteś tylko rozumnym zwierzęciem i z tego właśnie powodu twój byt bardziej niż duch...

- Zamknij się, albo rozwalę ci łeb pierwszym lepszym kamieniem! - ryknął Orsino, niemal gotów już przejść do czynów.

Kennedy przykucnął przed swoim piecem; sprawiał wrażenie przestraszonego i zbitego z pantałyku. Charles usiadł na ziemi i oparł głowę na dłoniach.

*Wsluchiwałam się w ciebie.*

Rząd co jakiś czas organizował wyprawy przeciwko tubylcom, które zawsze kończyły się fiaskiem.

*Nigdy już niczego nie przejrzę!*

Sposób, w jaki wiedźma uśmierciła swoją rywalkę... Posługiwała się sugestią, ale...

*Wsluchiwałam się w ciebie. Dlaczego okłamujesz swoich braci?*

Nikommu nie wyznał prawdy, ani jej, ani nawet biednemu Kennedy'emu.

W jego pamięci odżyło mgliste wspomnienie o psi-energii. Był to jakiś stary termin, zaliczany do kategorii id-ego-superego sklerotycznych psychologów. Całkowita bzdura, tak jak wektory umysłowe. A jednak...

*Wsluchiwałam się w ciebie. Dlaczego okłamujesz swoich braci?*

Z bezsilnej wściekłości Charles wałnął pięścią w ubity piach. Tracił zmysły, podobnie jak Kennedy. Czyżby rządząca tu wiedźma, a także Marta, dysponowały dziedzicznymi zdolnościami psionicznymi? To bardzo ogólne pytanie! - stwierdził ironicznie w duchu.

Neurotyczne dziewczątka rodem z oświetlanych naftowymi kagankami lepianek, pomyślał. Do tego rzeczy, które nie mogły mieć miejsca, nie mieściły się w głowie, rzeczy pochodzące z najczarniejszych mroków nocy! Nic podobnego nie działo się w oświetlanych elektrycznie miastach, wśród dobrze zbudowanych kobiet i mężczyzn w średnim wieku. A gdyby wybrać dziewczinę z nadczynnością tarczycy, odizolować ją od kontaktu z wszelkimi maszynami i polami elektrycznymi, stworzyć warunki takiej presji, by poczuła się samotna, i nasilać ją aż do krawędzi załamania... To chyba naturalne, że wtedy mogłoby się coś zdarzyć. Nocnik wypełznąłby spod łóżka i zgruchotał czaszkę ojczyzna-tyrana. Albo przesiąknięty nienawistnymi spojrzeniami portret gromowładnego dziadka spadłby z hukiem ze ściany - pewnie na skutek zmian w strukturze krystalicznej haka, na którym wisiał. Tylko kto mógł spowodować te zmiany?

Neurotyczne dziewczątka znające wiele języków, potrafiące rozpoznać zakrytą kartę lub

czytające zamknięte książki, zanoszące się krzykiem w chwili śmierci matki lub siostry ginącej w wypadku drogowym sto kilometrów dalej, umierającej na raka w miejscu odległym o tysiąc kilometrów, albo konającej pod bombami po drugiej stronie oceanu.

Czasem takie kobiety wynoszono na ołtarze, jak choćby Teresę z Lisieux. Inne, a było ich nieporównanie więcej, palono na stosach. Niekiedy najpierw je palono, a potem robiono z nich święte, jak na przykład Joannę, która słyszała głosy i którą nawiedzały wizje.

Przez jeden z otworów w ścianie wpadł kawał zakrwawionego mięsa i klapnął na ziemię.  
*Bardzo żałowałam, kiedy tamten drugi ciemniak zabrał twój obiad.*

To było trzy dni temu. Orsino zdrzemnął się, kiedy Kennedy piekł mięso w palenisku, a gdy się obudził, tamten pożerał ostatnie kęsy i mruczał z zadowolenia. Charles nie zareagował wtedy, nie odezwał się nawet słowem; Kennedy był nieodpowiedzialny. A jednak, jakimś sposobem, dziewczynka wiedziała o tym zdarzeniu.

Jego dni i tak były policzone. Kiedyś musiała się skończyć benzyna w dziupie lub wyczerpać amunicja do karabinów, o ile wcześniej nie wystąpi taka usterka, której nie będzie potrafił usunąć. Wówczas, zgodnie z surową logiką sprawującej rządu wiedźmy, stanie się niepotrzebny.

Trzeba było jakoś temu zaradzić.

Podniósł się i zdzielił po łapie Kennedy'ego, który sięgał po mięso.

- Niegrzeczny - rzekł, dzieląc kawał dziczyzny na dwie równe części.

- Niegrzeczny - powtórzył zasepiony Kennedy. - Klasa zerowa, klasa nic nie znacząca. Ja jestem klasą zerową. Ja i uniwersum stanowimy jedność, klasę uniwersalną. Gdybyś umiał transponować... Nie, ty nie umiesz transponować.

W milczeniu zaczęli opiekować swoje porcje nad ogniem.

Noc była bezksiężycowa, a na usianym gwiazdami niebie rej wodziła jasno błyszcząca planeta, prawdopodobnie Jowisz. Kennedy spał w rogu chaty, pochrapując cicho. Piec był wygaszony - włócznicy nie pozwalali im zostawiać żaru, by uniknąć niebezpieczeństwa spalenia całej wioski. Wszyscy tubylcy od dawna pogrążeni byli we śnie; paleniska nie dymiły, otwory wejściowe lepianek pozastłaniano skórami. Panowała cisza, tylko jakaś cierpiąca na ból pęcina krowa ryknęła w zagrodzie.

Wtedy właśnie Charles zabrał się do najtrudniejszej pracy w swoim życiu. Próbował w skupieniu zebrać myśli o Marcie, tej małej dziewczynce. Ale wciąż coś mu przeszkadzało.

Zapach smażonej cebuli; ci tutaj nie używali cebuli.

Sól.

Ciekawe, jak toczą się sprawy w rejonie sto pierwszego komisariatu nowojorskiej policji. Tamten facet, który za sto dolarów koniecznie chciał znaleźć sobie żonę.

Lee Falcaro - niech ją cholera weźmie!

Zajmujesz się głupotami; nic z tego nie wyjdzie.

Biedny, stary Kennedy.

Chyba prędzej umrę z głodu, niż znów wezmę do ust choćby kawałek tej tłustej sarniny.

Van Dellen; ciekawe, czy istniał sposób uratowania mu życia.

Reiner miał rację; trzeba pozbyć się rządu, a później spróbować ucywilizować tych ludzi.

Chyba coś się stało z moją głową, za nic nie mogę się skupić.

Ta cholerna, trzyrundowa rozgrywka w finałach; moje podobizny w całym mieście.

Czy wuj Frank wyśmiewałby się z tego?

To bez sensu. Charles usiadł, wbijając oczy w ciemność; próbował wyobrazić sobie dziewczynę i przywołać ją w myślach, ale nic z tego nie wychodziło. Odgrzebywał w pamięci wyrwykowe, zamazane obrazy Marty, ale żaden z nich nie był prawdziwy. To całkowita bzdura...

Rozluźnił się, położył i wyprostował na piasku, z goryczą powtarzając w duchu: po co miałbym próbować? Za kilka dni, może kilka tygodni będę martwy; trzeba się pożegnać ze światem. Ludzie, którzy wiedli dostatnie, beztroskie życie na terytorium Syndykatu, nie zdawali sobie nawet sprawy, jak mają dobrze. Żałował, że nie może im przekazać, by za wszelką cenę bronili tego, co mają. Zresztą wuj Frank by powiedział, że to bezcelowe, że wszystko wynika jedynie z równowagi napięć i odprężenia, a każda próba utrwalenia stylu życia i zaskorupienia się w nim doprowadziłyby w końcu do jego odmiany.

Mała Marta pewnie by nawet tego nie zrozumiała. Magia, rytuały, moc bogini, strach przed metalem, przed zaczarowanym bez wątpienia dżipem w cieniu ramy z winoroślą - jakie procesy mogły zachodzić w jej umyśle? Czy umiała poruszać przedmiotami na odległość? Nie, takie rzeczy chyba nie zdarzały się naprawdę. Może miało to coś wspólnego z polami elektrycznymi i metalem? A może oni wszyscy byli szarlatanami? Wydawało się znacznie bardziej prawdopodobne, że taki ciemny podlotek jedynie sprytnie wykorzystuje zjawiska naturalne, a nie tworzy fenomeny. Chociaż mała Marta wcale nie udawała załamania... A ta wiedźma, jej siostra, czyż nie mogła udawać, że z zimnym wyrachowaniem operuje jakąś tam mocą? Może Martę należało po prostu chronić przed podobnymi bzdurami...?

- Charles... - dobiegł go głośny szept.

- Mój Boże! Ona mnie usłyszała! - mruknął głupkowato.

Podbiegł do palisady. Przez szczelinę między balami dostrzegł zarys ciemnej sylwetki na tle rozgwieżdżonego nieba.

- Myślałam, że już nigdy nie będę mogła niczego przejrzeć ani wsłuchać się w nikogo, lecz obudziłam się, słysząc twe nawoływanie. Przekazałeś, że chciałbyś mi pomóc, gdybym ja pomogła tobie, więc przybiegłam tu najszybciej jak umiałam, nie budząc nikogo. Ty faktycznie mnie wzywałeś, prawda?

- Tak, wzywałem. Czy chciałabyś stąd uciec, Marto? Uciec gdzieś daleko razem ze mną?

- Pewnie, że bym chciała. Ona pragnie pozbawić mnie mocy bogini i wydać mnie za Dinny'ego, który cuchnie jak cap i zezuje na jedno oko; później zabijałaby wszystkie nasze dzieci. Powiedz mi tylko, co mam robić, a pomogę ci. - W jej głosie wyczuwało się napiętą uwagę i zdecydowanie.

- Czy dasz radę odsunąć kamienie zasłaniające wejście do tej chaty? - Jednocześnie Charles pomyślał o teleportacji, gdyż każdy z tych głazów stanowiłby problem dla dwóch mężczyzn.

Marta zaprzeczyła.

- Więc po co w ogóle tu przyszłaś? - warknął.

- Nie odzywaj się do mnie w ten sposób - odparła stanowczo, przypominając mu, z kim ma do czynienia.

- Przepraszam - mruknął.

- Przyszłam tu z myślą o eksplozji - wyjaśniła lodowatym tonem. - Czy umiałbyś wywołać eksplozję, tak jak opowiadałeś? Tam, w dżipie.

O czym ona mówiła, na miłość boską!

- Kiedy tam byliśmy - kontynuowała z niezmaconą cierpliwością - myślałeś o tym, by

zebrać razem wszystkie naboje i wysadzić w powietrze cały ten cholerny interes. Pamiętasz?

Coś sobie przypominał - jeden z setek pomysłów, jakie zaprzętały mu głowę, który widocznie przykuł uwagę dziewczyny.

- Bardzo bym chciała zobaczyć taką eksplozję - powiedziała. - Jeśli ona będzie dalej układała wszystko na swój sposób, to pewne jest, że ja sama wkrótce eksploduję.

- Gdybym wysadził te belki w powietrze, to mógłbym stąd wyjść - rzekł powoli. - Sądzę, że bardzo byś mi się do tego przydała. Czy zdołałabyś przynieść mi ze sto nabołów od karabinu?

- Oni by zauważyli ich brak.

- To wykradaj tylko po kilka na raz. Ja będę je opróżniał, składał z powrotem, a ty odniesiesz je na miejsce.

Marta była wyraźnie zmieszana.

- Ona wykorzysta moc bogini, żeby ich pilnować.

- Posłuchaj mnie, Marto. Słuchaj uważnie. Zrobisz to dla mnie, gdyż powiedziano ci, że moc bogini nie działa na obcych. Czy nie mam racji?

Przez dłuższą chwilę panowała cisza. Wreszcie dziewczyna westchnęła.

- Szkoda, że nie mogę spojrzeć ci w oczy, Charles. Spróbuję, chociaż nie zgodziłabym się na to, gdyby Dinny tak strasznie nie cuchnął.

Odeszła szybkim krokiem. Charles starał się w myślach towarzyszyć jej przez drogę w ciemności, aż do zwariowanej altanki z winoroślą, w której tkwiły pióra i kości, nie zdołał jednak tego uczynić. Był nazbyt spięty.

Kennedy poruszył się i mruknął coś we śnie; przez szczeliny w palisadzie wpadł delikatny podmuch zimnego wiatru.

Po jakimś czasie na tle gwiazdzistego nieba ponownie dostrzegł Martę - pochylona nisko ku ziemi zbliżała się do kuźni będącej więzieniem. Dźwigała cały kawał pasa z nabojami, który przewiesiła przez szyję niczym etolę. W przybliżeniu było tam piętnaście nabołów. Charles pospiesznie zgarnął niewielki kopczyk czystego piasku.

- Były jakieś kłopoty? - spytał szeptem.

Nie mógł dostrzec jej uśmiechu, ale wyczuwał go.

- To było proste - odparła z dumą. - Miałam chwilę zawahania, ale wtedy połączyłam się z tobą i wszystko poszło jak z płatka.

- Dobry dzieciak. Czy dasz radę przepchać cały pas między belkami? Chyba nie. W takim razie wyciągaj z niego naboje, tak jak ci pokazywałem, i wrzucaj je pojedynczo.

Marta zrobiła to. Naboje z trudem przechodziły przez szczelinę; Orsino miał nadzieję, że z tamtej strony nie zostaną rysy mogące przyciągnąć czyjąś uwagę w ciągu dnia.

Niepewnie sięgnął po pierwszy nabój. Pocisk sprawiał wrażenie bardzo solidnie zakleszczonego w łusce. Ścisnął go w zębach i próbował podważyć. Czubek ani drgnął, za to jego ząb tak. Charles splunął, chcąc się pozbyć smaku oleju na języku, i podszedł do pieca. Przymierzył nabój do otworu w grocie włóczni, lecz ten był za duży. Pocisk klinował się w otworze grotu strzały, ale niewielki element żelazny nie dawał wystarczającego punktu podparcia. Do cholery! - zaklął w duchu Orsino. Nie miał innego wyjścia. Wepchnął mocniej nabój i zaczął naciskać palcami. Dłonie mu zdrętwiały, z porozcinanej skóry spływały krople krwi, kiedy wreszcie czubek powoli rozepchnął mosiężny kołnierz łuski. Charles wysypał proch do zagłębienia w piasku i osadził pocisk z powrotem.

Jeszcze bardziej namordował się z drugim nabojem. Przy trzecim pomyślał, że może oprzeć

grot strzały o kamień paleniska. Teraz poszło mu szybciej, a mniej więcej po godzinie przepychał ostatni spreparowany nabój z powrotem przez szczelinę między belkami.

- Zdążysz przynieść jeszcze drugą porcję? - zapytał.

- Nie. Przyjdę jutro w nocy.

- Dobrze.

Marta zachichotała.

- To będzie całkiem niezły wybuch, prawda, Charles?

## ROZDZIAŁ XIV

- Zostaw ogień w spokoju - nakazał Charles Kennedy'emu, kiedy ten zamierzał wygasić palenisko na noc.

Na przytomnym chwilowo obliczu szaleńca pojawił się wyraz przerażenia.

- Będą cię bić - powiedział. - Jeśli zauważą ogień po zmroku, będą cię bić. Ogień i ciemność są sobie równe i przeciwstawne. - Uśmiechnął się. - Ogień jest przeciwieństwem mroku. Wystarczy zmienić znak, a w efekcie dokonać obrotu o sto osiemdziesiąt stopni. Ale żeby wykonać obrót o sto osiemdziesiąt stopni, najpierw należałoby dokonać obrotu o jeden stopień, a żeby zrobić obrót o jeden stopień, w pierw trzeba wykonać obrót o pół stopnia. - Zaczynał majaczyć, zapomniawszy już, że chodziło o ogień.

Charles z największą ostrożnością zakrył żar, układając w palenisku kilka płaskich kamieni, które miały osłonić parę gorejących węgielków.

Wyciągnął się na ziemi, kładąc rękę na niewielkim wzniesieniu piasku ukrywającym niemal dwa kilogramy bezdymnego prochu. Uszczęśliwiony Kennedy kontynuował swój monolog, całkowicie zapomniawszy, co chciał na początku objaśnić. Zawsze wyglądało to tak samo.

W dogasającym blasku dnia po drugiej stronie palisady zamajaczył czyjś cień.

- Zamknij się, głupcze - rzekł stanowczo strażnik, ale Kennedy go nie słyszał.

W szczelinie między balami ukazał się grot włóczni i dźgnął niezbyt mocno napięty mięsień uda szaleńca. Ten zawył; odpowiedział mu śmiech wojownika.

- Zamknij się! Ogień wygaszony? To idźcie spać, jutro czeka was praca.

Kennedy, drżąc na całym ciele, odsunął się od ściany. Włócznik wymierzył jeszcze jedno pchnięcie, ale go nie dosięgnął. Zaśmiał się ponownie i odszedł.

Charles nie zwracał na to większej uwagi. Jego myśli koncentrowały się wokół drobnej iskierki ognia ukrytej w zaimprovizowanym kominku. Już od siedmiu dni zostawiał w palenisku gorejące węgle, lecz tylko dwukrotnie zdołał przetrzymać żar dłużej niż przez godzinę. Dzisiaj musiało się to udać. Był to bowiem ostatni dzień menstruacji wiedźmy, a podczas krwawienia traciła ona - bądź też wydawało jej się, że traciła, co na jedno wychodziło - moc bogini.

- Prymitywni tubylcy - mruknął pogardliwie sam do siebie. Ludzkiego życia by nie starczyło, aby poznać wszystkie zawiłości ich kultury, jak chociażby powtarzające się co jakiś czas egzekucje członków wspólnoty za naruszenie jakiegoś magicznego prawa, którego sedna nie znał nikt. Jego pierwotne zamierzenie wysadzenia w powietrze palisady, a potem ucieczki byle dalej od wioski zastąpił szczegółowy plan, opracowany w detalach przy współudziale Marty.

Dziewczyna zapewniała go, że wiedźma potrafi wykorzystać moc bogini do śledzenia drogi uciekiniera w ciemnościach, z wyjątkiem czterech dni w miesiącu. Charles uwierzył jej. Marta była jeszcze wolna od tego typu ograniczeń, przysięgała zresztą, że jako dziewczyna ma znacznie bardziej wyostrzony dar jasnowidzenia niż jej siostra. Dziewczyna miała go poprowadzić w mroku nocy, co przy osłabionej mocy przywódczyni dawało im możliwość zyskania całego dnia przewagi nad pogonią. Orsino położył dłoń na węzélku zawierającym skrawki suszonego mięsa.

- Czy jesteś pewna, Marto, że... nie przeceniasz swych możliwości? Jesteś pewna?

Wyczuł, że siedząca po drugiej stronie palisady dziewczynka uśmiechnęła się.

- Pewnie wolałbyś, żeby był tu wuj Frank. Mógłbyś go wówczas zapytać o wiele rzeczy, prawda, Charles? Bardzo dużo o nim myślisz.

To jasne, że myślał, i faktycznie chciałby się go poradzić. Otarł powilgotniałe od potu czoło.

Kennedy'ego musieli tu zostawić, z dwóch powodów. Po pierwsze był nieodpowiedzialny. Po drugie zaś mógł stanowić znakomite alibi dla Charlesa. Mieli w przybliżeniu tę samą budowę ciała i kolor skóry; Orsino także nosił teraz brodę skrywającą rysy twarzy, zresztą dwuletnia nieobecność powinna nieco zatrzeć w ludzkiej pamięci wizerunek Kennedy'ego. W trakcie przesłuchania Charles mógłby zachowywać się wzorem pomyłonego marynarza. Pozostawał tylko problem Marty. W najgorszym wypadku wyzna prawdę o nim, a jemu zostanie tylko ta drobna satysfakcja, że nie poddał się bez walki.

- Jedna rzecz, której nie rozumiem, Charles, to ta dama, Lee. Ktoś rzucił na nią klątwę? Nie chcesz mieć z nią do czynienia?

- Wręcz przeciwnie, Marto, musimy się z nią spotkać. W rzeczy samej nie chodzi tu o klątwę. W każdym razie wiem, jak ją od tego uwolnić, a wtedy ona będzie po naszej stronie. Musimy zatem udać się do New Portsmouth. Jest tam o wiele więcej wody do przepłynięcia, niż kiedykolwiek widziałas czy słyszałas, a jedynie ludzie z New Portsmouth mają łodzie zdolne ją pokonać.

- Czy ja mogłabym wywołać eksplozję? Jeśli pozwolisz mi to zrobić, przestanę ci już zrzędzić.

- Zobaczymy - odparł.

Dziewczyna zachichotała w ciemnościach.

- W porządku. Jak nie, to nie.

Przyszło mu na myśl, że mógłby mieć za żonę kobietę zdolną rozpoznać najdrobniejsze nawet kłamstwo - i przeszył go dreszcz.

Kennedy zaczął chrapać; wieczorny półmrok zastąpiły ciemności nocy. Na niebie świecił róg księżycy częściowo przesłonięty chmurami. Z zewnątrz doleciał jakiś szmer; Charles przesunął się po piasku i wyrzał przez szparę. Dostrzegł chomika biegnącego od jednego magazynu swoich zapasów do drugiego. W pewnym momencie dał się słyszeć delikatny szum skrzydeł; wielka ciemna sowa zanurkowała tuż przy ziemi i wbiła szpony w rudawe futerko gryzonia. Chomik zdążył tylko wydać z siebie ledwie słyszalny pisk, kiedy został uniesiony w górę. Sowa usiadła na jednej nodze na gałęzi pobliskiego drzewa i, chwiejąc się jak pijana, potoczyła dokoła spojrzeniem żółtych ślepi.

Nasza akcja musi być równie błyskawiczna jak ta, pomyślał Charles, którego nagle naszły złe przeczucia. Niezbyt rozzębiony dzieciak i on mieli zamiar przechytryć tych dzikusów niczym potomkowie Tarzana. Gdyby jeszcze ta gówniara pozwoliła mu zabrać dżipa! Ale to nie wchodziło w grę. Wytłumaczyła sobie, że jest zdolna operować mocą mimo tego, że stykała się z żelazem, gdyż działa dla dobra Charlesa; znalazła nawet jakiś precedens w historii utrwalony w zwrotce wiersza przekazywanego ustnie z pokolenia na pokolenie, służącego jako kwintesencja magii. Tak więc użycie dżipa nie wchodziło w grę!

Teraz Marta powinna była rozkładać pędy jakichś magicznych pnączy przed niektórymi chatami i na wyznaczonych ścieżkach.

- Kiedy zapalą pochodnie i zobaczą te pnącza, przerażą się śmiertelnie. Oczywiście, sama dobrze nie wiem, jak należy z nich korzystać, ale oni także tego nie wiedzą. Z pewnością opóźnimy pościg. Jeśli ona wyjdzie ze swej chaty, chociaż nie jestem pewna, czy to robi,

zauważy, że gałęzie nie mają żadnej mocy, i wysłę ludzi naszym śladem. My powinniśmy być już wtedy daleko. Czy jesteś pewien, Charles, że nie mogę spowodować eksplozji? Nie, widzę, że nie. A może pozwolisz mi na to, kiedy już znajdziemy się w New Portsmouth?

- O ile będę mógł zaaranżować coś podobnego.

Dziewczyna westchnęła.

- Przypuszczam, że będziesz musiał.

Cisza go przytłaczała, nie mógł tego znieść. Pośpiesznie odkopał zgromadzone zapasy prochu i mięsa. Pod warstwą piasku znajdowała się gliniasta, tłusta gleba. Wygrzebał jej kilka garści, zmieszał z jedynym dostępnym mu płynem i zarobił na gęstą pastę. Podczołgał się do wybranych wcześniej bali i wykopał pod nimi sporą jamę w ziemi. Pięć razy chodził tam i z powrotem, aż wypełnił zagłębienie prochem, przykrył je gliną i ułożył na wierzchu kilka płaskich kamieni z paleniska. Węgielki w piecu żarzyły się jeszcze; podłożył parę suchych patyków.

Niespodziewanie zjawiła się Marta.

- Charles?

- Jestem tutaj. Wszystko gotowe?

- Tak. Możesz robić tę eksplozję.

Orsino nabrał w garści pozostałego prochu i szybko usypał ścieżkę od prowizorycznej miny przez całą długość chaty. Skulił się jak mógł i cisnął płonąca gałązkę w czarną zmijkę wijącą się po jasnym piasku.

Zdawało mu się, że huk obudził cały świat. Kennedy z krzykiem zerwał się na nogi; w gałęziach drzew setki ptaków podniosły wrzask. Lecz jemu bardziej dawał się we znaki gryzący dym niż hałas. Chwycił zapasy suszonego mięsa i skoczył w poszarpaną wyrwę, jaka utworzyła się w ścianie. Czuł, jakby całą skórę posypano mu pieprzem; musiały sypnąć na niego iskry bądź rozżarzony piach. Nagle czyjaś dłoń chwyciła go za ramię - dziecięca dłoń.

- Jesteś odurzony! - Zdawało mu się, że głos Marty dobiega z bardzo daleka. - Chodźmy, szybko! Człowieku, to była wspaniała eksplozja!

Dziewczyna powiodła go biegiem poprzez zagajniki i chaszczce. Dopóki trzymał ją za rękę, nie potykał się i ani razu nie wpadł na drzewo. Gdy zaś, irracjonalnie, poczuł się zażenowany tym, że prowadzi go dziecko, i puścił jej dłoń - na krótko, na bardzo krótko - błyskawicznie został zmuszony do zmiany decyzji. Myślał też o włócznikach, którzy próbowali posuwać się ich śladem w ciemnościach, i wtedy chciało mu się śmiać.

Uciekali w stronę wybrzeża w niewiarygodnym tempie. Przez pierwszą dobę zatrzymywali się jedynie po to, by zjeść nieco suszonej sarniny lub wypić kilka łyków wody ze strumienia. Charles trzymał się jeszcze na nogach tylko dlatego, iż nie mógłby ścierpieć świadomości, że dziesięcioletnia dziewczynka jest bardziej wytrzymała od niego. Oboje jednak płacili straszliwą cenę za utrzymanie tego tempa. Marta wyglądała tak, jakby jej czaszkę obciągnięto sztuczną, elastyczną skórą; miała zaczerwienione oczy i spierzchnięte, popękane wargi.

Kiedy wdrapywali się na strome zbocze wzgórza porośnięte gąszczem jeżyn, Charles, z trudem łapiąc oddech, zapytał:

- Jak ty możesz to znieść? Czy to się nigdy nie skończy?

- Już blisko - wychrypiała. - Czy wiesz, że trzy razy zaledwie o włos umknęliśmy pogoni?

Bez słowa pokręcił głową. Marta popatrzyła na niego błyszczącymi, przekrwionymi oczyma.

- Przecież to nie jest takie trudne - powiedziała. - Gdybyś musiał to robić z brzuchem



pełnym trucizny, wtedy mógłbyś narzekać.

- A ty to robiłaś?

Dziewczyna uśmiechnęła się chytrze i wyrecytowała zwrotkę wiersza, nie do końca dla niego zrozumiałą:

*Gdy skończy dziewięć razy trzynaście księżyców*

*Ty napój zatruty jej podaj*

*I każ trzykrotnie poprzez stromizny gór stoków*

*Trzy mile pogoni uciekać...*

Po chwili dodała bardziej rzeczowo:

- To było w tamtym roku. Musiałam udowodnić, że posiadam moc bogini. Uciekałam, wspinałam się na szczyty i myślałam, że mi bebechy wywali. A w tym roku głodowałam przez tydzień i powaliłam gołymi rękoma jelenia siedmiolatka.

Charles pomyślał, że za tę niby moc bogini trzeba było zapłacić strasznie wysoką cenę.

Stracił już rachubę dni i nocy, gdy wreszcie stanęli na szczycie kolejnego wzgórza i ujrzeli przed sobą morze.

- Teraz już nic nam nie grozi - jęknęła dziewczyna. - Ona nie puści ich aż tutaj. To suka, ale nie jest głupia.

Padła bez czucia na ziemię. Charles, zbyt zmęczony, by odczuwać przerażenie, spokojnie zbadał jej puls i stwierdził, że po prostu usnęła w jednej chwili. Sam położył się obok i także zapadł w sen.

Obudził go jakiś nęcący zapach, który drażnił jego nozdrza. Wstał i poszedł za nim, aż na przeciwległym zboczu wzgórza odkrył przedziwną formację skalną: dwa olbrzymie bloki kamienne sterczały pionowo do góry, a na nich leżał płasko wielki głaz, tworząc próg w kształcie greckiej litery pi. Wszystko było pokryte grubą warstwą naniesionej tu przez wieki ziemi i gęstą roślinnością. Wydobył z zakamarków pamięci informację, że jest to zapewne stary dolmen, w którym kiedyś chowano ludzi, ale ponętny zapach nie pozwolił mu się nad tym dłużej zastanawiać.

Marta kuciała przy ognisku, w którym grzały się duże kamienie. Obok stał kociołek wykonany z kory drzewa oblepionej gliną. Posługując się dwoma zielonymi patykami, dziewczyna wyciągnęła rozpalony kamień i wtoczyła go do naczynia, którego zawartość zaczęła się gotować i wrzała przez zdumiewająco długi czas. Zapach dolatywał właśnie z tego kociołka.

- Śniadanie? - spytał Charles z niedowierzaniem.

- Duszony zajac - odparła Marta. - Tu jest mnóstwo ścieżek, pńczy i mocnej kory. Zastawiłam sidła. Już od godziny gotuję dwa stare, łykowate szaraki.

W milczeniu zjedli wszystko, zostawiając ogryzione do czysta kości.

- Nie możemy tu zostać - odezwała się w końcu Marta. - Jesteśmy zbyt blisko wybrzeża, a w głębi lądu natkniemy się na nią albo na innych. Myślałam o tym. - Wypluła kawałek przeżutego, twardego mięsa. - Niedaleko jest Anglia. Możemy się jakoś przedostać wzdłuż wybrzeża, zrobić tratwę albo ukraść łódź i przepłynąć wodę. Tam moglibyśmy zostać. Nie wolno ci mnie posiąść jeszcze przez trzy razy po trzynaście księżyców, inaczej utracę moc. Chyba dasz radę zaczekać. Słyszałam coś niecoś o Anglii i Anglikach. Oni w ogóle nie mają

serca, będziemy mogli zdobyć tytuł niewolników, ilu zapagniemy. Robią wiele krzyku, ale się nie bronią, a żadna z ich kobiet nie dysponuje mocą. - Popatrzyła na niego z zazdrością w oczach. - Nie będziesz chciał którejs z ich kobiet, prawda? Będziesz mógł mieć kogoś z mocą bogini, tylko trzeba poczekać.

Charles popatrzył w głąb wąwozu i nie odzywał się przez chwilę.

- Wiesz, że nie o to mi chodziło, Marto. Daleko stąd mam swój dom i bliskich mi ludzi. Chcę tam wrócić. Myślę... że tobie także się tam spodoba. - Dziewczyna skrzywiła się; Orsino nie wiedział, jak jej to powiedzieć, nie znajdował odpowiednich słów. - Wejrzyj do mojego umysłu, Marto. Sama się przekonasz, jak wiele to dla mnie znaczy.

Dziewczyna bardzo długo przyglądała mu się z uwagą. Wreszcie wstała z napiętą twarzą i splunęła w ogień.

- Myślisz, że po to cię uratowałam? - zapytała. - Dla niej, a nie dla siebie? Od tej pory radź sobie sam, panku. Moim celem jest Anglia, wyruszam na południe wzdłuż wybrzeża. Nie chcę więcej o tobie słyszeć. Skręciłabym ci bebechy jednym zaklęciem, gdyby ono było skuteczne wobec obcych.

Pobiegła w dół zbocza, podrapana i wychudzona, lecz jej ruchy odzyskały już dawną miękkość. Zdumiony Charles spoglądał za nią, dopóki nie zniknęła w chaszczach. *Myślisz, że po to cię uratowałam? Dla niej?* Widocznie Marta liczyła na coś zupełnie innego. Podniósł się, obolały, i ruszył jej śladem, lecz nie mając orientacji w lesie, szybko zgubił trop. Ociężale wspiał się z powrotem ku dolmenowi i usiadł w jego cieniu. Z dna prymitywnego kociołka odpadł kawałek gliny, woda wyciekła i na wewnętrznych ściankach został jedynie tłusty kożuch. Ogień wygasł, uświadamiając mu boleśnie, że nie ma najmniejszego pojęcia, jakim sposobem dziewczyna go rozpałała. Sporządziła sidła na szaraki. Jak? Gdzie je zastawiła? Jak rozpoznać ścieżki używane przez zające? Musiał się tego wszystkiego nauczyć, jak najszybciej.

Spędził cały ranek, próbując sklecić jakieś wnyki ze skrawków kory i cienkich, sprężystych witek, lecz niewiele zdołał. Gałązki to się łamały, to znów nie chciały się odpowiednio wyginać; kora albo pękała, albo nie trzymała konstrukcji. Nie mając nawet kawałka metalu, nie mógł sporządzić choćby prymitywnego łuku, który byłby zarazem skuteczny i wytrzymały.

W południe napił się wody ze strumienia i z zaszępioną miną zaczął szukać nadających się do spożycia roślin. Chciał znaleźć coś bulwiastego, podobnego do cebuli, czy chociażby mającego jadalny korzeń. Po kilku godzinach przystąpił do rozstawiania w przypadkowo wybranych miejscach prymitywnych pułapek z cienkich patyków i kamieni. Dał sobie w końcu spokój, stwierdziwszy w duchu, że każdy zając, który by się w coś takiego złapał, musiałby być, nawet jak na zająca, wyjątkowo głupi.

Przez cały czas świadomie starał się nie myśleć o położeniu, w jakim się znalazł, uwięziony między tarzanami rządzącymi wnętrzem wyspy a rządem sprawującym władzę na wybrzeżu, z czego jedni i drudzy łaknęli jego krwi.

Najpierw poczuł ból skręcający mu wnętrzności, potem skurcz żołądka. W gwałtownych torsjach zwrócił korzeń, którego ostatnio próbował. Skręcany konwulsjami padł na ziemię i dopiero wtedy, gdy minął pierwszy atak, zdołał wczołgać się w głąb dolmenu. Ten stanowił bardziej psychiczną niż fizyczną osłonę, ale Charlesowi i taka była teraz potrzebna. Pod wiekowymi, omszałymi kamieniami przeleżał, wijąc się w malignie, aż do zmroku. W chwilach przytomności zdawało mu się, że czyjaś opiekuńcza dłoń okłada mu czoło

wilgotnymi liśćmi, kiedy indziej zaś miał wrażenie, że owe liście płoną.

Majaczył w gorączce, że wrócił na terytorium Syndykatu, że znów jest promiennie uśmiechniętym Charlesem Orsino, któremu właśnie udało się strzelić dwa gole. Innym razem znajdował się w cuchnącej chacie razem z Kennedym, zadręczającym go bez końca nudnymi tyradami zrodzonymi w meandrach pokrętej logiki; to znów widział wewnątrz laboratorium psychologii wypełnione ruchem wahadła, rozbłyskami jaskrawego światła i terkotem dzwonka, kiedy zalewały go fale nieprawdziwych doznań; kiedy indziej zaś uciekał w panice ulicami New Portsmouth przed spoconym gwardzistą, w którego ostrzu noża odbijał się blask płomieni.

W końcu ponownie ujrzał nad sobą kamienie dolmenu; Marta zwilżała mu wodą czoło i niskim, beznamiętnym głosem klęła go od siedem razy siedmiokrotnych głupców. Kiedy dostrzegła, że spogląda na nią przytomnym wzrokiem, rzekła cierpko:

- Tak, wróciłam tu, po raz piąty. Powinnam być teraz w drodze do Anglii i myśleć tylko o sobie, ale sama nie wiem, dlaczego wróciłam. Słyszałam, jak jęczysz z bólu, i myślałam, że dobrze ci zrobi nauczka płynąca stąd, iż nie potrafiłeś rozpoznać trującego korzenia, a jednak zawróciłam i przyszłam do ciebie.

- Nie odchodź - poprosił chrapliwym głosem.

Przytknęła mu do warg brzeg glinianego naczynia i wlała do ust trochę naparu na wymioty.

- Nie martw się - powiedziała z goryczą. - Nie odejdę. Zrobię wszystko, czego zechcesz, a to oznacza, że jestem takim samym głupcem jak ty, a nawet większym, gdyż powinnam wiedzieć lepiej. Pomogę ci ją odnaleźć i zdjąć z niej to zaklęcie. Ja mogę liczyć tylko na pomoc bogini, ponieważ nawet sama ze sobą nie umiem sobie poradzić.

Następnego dnia wydobrał i nie wiedząc kiedy, wziął na siebie wszelkie obowiązki „domowe”: patroszył zające, gotował i sprzątał. Ważniejsze było to, co robiła Marta. Kładła się, odprężona, na posłaniu z mchu w głębi dolmenu i leżała bez ruchu godzinami, oddychając płytko, tylko od czasu do czasu szepcząc coś tak cicho, że ledwie mógł rozróżnić słowa. Padały niespójne, urywane frazy, do Charlesa zaś należało wyłowienie z nich sensu, połączenie w całość, skojarzenie którejś myśli z właściwą twarzą, jakiegoś okrętu z osobą jego kapitana.

- ...rzeczy podobne do ząbkowanych pni drzew, łuski, które nazywasz... naznaczone zielonymi krzyżykami wymalowanymi na czubkach, całe ich stopy... on na nie spogląda i myśli, że niedługo się zepsują, że trzeba je jak najszybciej wykorzystać... są pod drewnianym dachem... chudy mężczyzna ze śmiercią wypisaną na twarzy i nienawiścią w sercu... ubrany na niebiesko i złoto... on podtyka to złoto, taki szeroki pasek na przedramieniu, na brzegu ubrania, który nazywasz mankietem, on podtyka ten mankiet pod nos człowieka i wrzeszczy na niego z nienawiścią, a ten jest gotów udusić się własną krwią... chodzi o łódź, która utonęła... nie, o łódź, która pływa... ten człowiek to niski, gruby mężczyzna, który zabija i zabija, mógłby zabić tamtego, gdyby tylko...

Dwa razy dziennie u wybrzeża pojawiała się łódź patrolowa, o świcie przepływała na północ i wracała przed zachodem słońca. Musieli na nią uważać, żołnierze bowiem lustrowali brzeg przez lornetki.

- ...to znów ten człowiek z bolącym brzuchem, ale teraz śpi... przeklina kapitana... powinien przeczyścić szkła, lecz nie... z pewnością na brzegu nie ma nic, co mogłoby zagrażać... ośmiu uczciwych ludzi na pokładzie i ten łajdak, kapitan...

Czasami przeskakiwała nagle do innego obrazu, jak promień światła rozproszony na

kosmyku włosów.

- ...tablica nad drzwiami, na niej namalowane koło, a w środku zygzak, taka linia wijąca się w górę i w dół... nazywają to biurem wywiadu marynarki... obozowisko drwali... maszyny pracują, trach, trach... miejsce, gdzie tną metal tak jak drewno na maszynach, które wirują... śmierdzący potwornie człowieczek, obładowany i skuty łańcuchami... pada na twarz, nie może się podnieść, ręce ma jak z waty, nogi zeszywniałe, boi się... Przeklinają go, biją, ciągną do maszyny, która wiruje... oni... *oni, oni...*

Z krzykiem usiadła na posłaniu. Szklistymi oczyma nadal patrzyła w dal. Charles uniósł rękę i uderzył ją w policzek; odgłos ten rozbrzmiał echem między kamieniami niczym wystrzał z pistoletu. Marcie głowa odskoczyła do tyłu, lecz tym razem spojrzała na niego przytomnym wzrokiem.

Nigdy nie powiedziała Charlesowi, co zrobiono ze schorowanym niewolnikiem w warsztacie, nigdy jej zresztą o to nie pytał. Zjadła szybko posiłek i ponownie zapadła w trans, do końca dnia nie czuła się jednak pewnie, popełniała błędy, powątpiewała w prawdziwość swoich wizji i skrywała je za niezrozumiałą symboliką. Charles nie wiedział, jak ma rozumieć opis wścieklej walki między dwoma szczekającymi psami na podwórzu BIOS-u, wreszcie domyślił się, że chodzi o zażartą kłótnię między dwoma młodszymi oficerami. Mógł sobie pozwolić na chwilę odpoczynku.

Nie mając przyborów do pisania i nie mogąc robić notatek, Charles poważnie wątpił, czy zdoła w jakikolwiek sposób wykorzystać choć odrobinę spośród dostarczanych przez Martę informacji. Jednocześnie, w niewytłumaczalny dla siebie sposób, umiał gromadzić to wszystko w pamięci.

W jego umyśle z każdym dniem wyraźniej rysowały się linie zależności pomiędzy osobami z New Portsmouth. Wiecznie zmęczony ordynans, którego jedynym celem życiowym było wkładanie jak najmniejszego wysiłku w pracę; mający obsesję na punkcie seksu niski facet z Dowództwa Wywiadu, który wszystkie pieniądze tracił w burdelach, wybierając tylko starsze kobiety, przypominające mu jego matkę; pewien szczwany lis z Dowództwa Marynarki, tyranizujący podwładnych z biura tylko dlatego, że był impotentem; bliski śmierci admirał, darzący wszystkich kadetów nienawiścią odwrotnie proporcjonalną do ich młodości i tężyzny fizycznej.

Wreszcie...

- ...ta twoja kobieta... ona nie czuje się jak w domu... to nie jest jej dom... jej tu nie ma... nigdzie... grubas, ten, który ciągle zabija, on przemawia do niej, lecz ona ... tak, to ona... nie, ona... odpowiada mu, mówi o sprawach za morzem...

- Lee Falcaro - szepnął Charles. - Lee Bennet.

Ani jeden mięsień nie drgnął na twarzy zastygłej w transie dziewczyny; szeptała dalej, nie zwracając na niego uwagi:

- ...mówi o sobie Lee Bennet, ale w głębi duszy jest Lee Falcaro... w jej umyśle tkwi również obraz Charlesa Orsino...

Wzdrygnął się mimo woli.

Siódmego dnia oboje dostali dreszczy, wysokiej gorączki i silnej biegunki - spowodowała to dieta, infekcja lub jakiś czynnik odzwierzęcy, którego ich organizmy nie potrafiły zwalczyć. Najpierw Marta wróciła do przytomności, ale nie wstała z posłania, leżała rozpalona z silnie błyszczącymi oczami. Zaczęła szybko słabnąć, podczas gdy gorączka i dreszcze przybierały na sile. Wyrzucała z siebie słowa jak karabin maszynowy i teraz łączyły się one w logiczną,

spójną całość. Ale większości Charles nie słyszał, a jeśli słyszał, to nie mógł zapamiętać. Jemu także dawały się we znaki te same dolegliwości. Zaś tę drobną część informacji, która dotarła do jego świadomości, chciał jak najszybciej zapomnieć - były to rzeczy zbyt przerażające, zbyt potworne, by można je było zostawić w pamięci.

Głodowanie i wypoczynek pomogły najpierw jemu, potem jej. Kiedy Marta jeszcze nie wstawała, a Charles karmił ją cienkim rosołem, próbował w myślach ułożyć i posortować to wszystko, co od niej usłyszał. Gdy patrzył, jak szczupłym rękoma dziewczynki powoli wraca siła, układał dziesiątki planów, które następnie odrzucał. Wreszcie w jego głowie zrodził się taki plan, w którym nie znalazł już słabych punktów.

>

## ROZDZIAŁ XV

Komandor Grinnel pełnił służbę oficera dyżurnego i był ponury niczym chmura gradowa. Uważał, że wywiad marynarki nie powinien się zajmować takimi rzeczami; jeśli oni ryzykowali życie w awanturnicznych misjach, to ta pańszczyzna winna leżeć wyłącznie w gestii lądowych gryziórków. Niemniej musiał siedzieć w dyżurce z pistoletem kaliber 9 mm u boku, mając w perspektywie nie kończącą się noc i obowiązek nadzorowania dziesięciu ludzi straży głównej, pełniących wartę poza budynkiem. Zgodnie z regulaminem miał obowiązek obejść całe New Portsmouth i sprawdzić posterunki, wiedział jednak, że wartownicy będą siedzieli w barach i domach schadzek aż do świtu, kiedy to znów pojawią się na stanowiskach i ziewając zaczną oczekiwać na zmianę. Jakiś młodszy, nadgorliwy oficer mógłby ich powyławiać z lokali, pobudzić i wrzaskami zapędzić z powrotem na posterunki. Zdarzało się to nawet dość często. Ale on, jako oficer dyżurny, musiałby wówczas przynajmniej postawić do raportu wszystkich, którzy zostali złapani na gorącym uczynku. Oznaczałoby to dla niego mnóstwo kłopotów i papierkowej roboty, a po tym wszystkim dopiero odpowiednia notatka znalazłaby się w jego teczce. Ach, te dokumenty! Zanim się cokolwiek zrobiło, trzeba było pomyśleć o ewentualnych papierkach, które mogą wylądować w teczce człowieka. Tylko w ten sposób można było do czegoś dojść - dbając o czystą kartotekę i właściwe koneksje.

Swój kiepski stosunek do obowiązków służbowych podbudowywał stwierdzeniem, że nie ma tu czego chronić, a patrolowanie całego wybrzeża jest tylko zakorzenioną tradycją. Załoga każdego okrętu i każdej łodzi wystawia własne warty. W najgorszym wypadku jakiś Tarzan z leśnej głuszy mógłby wyprawić się nocą do miasta po amunicję. Gdyby go złapano, sprawa byłaby oczywista, gdyby zaś nie, to i tak nikt by niczego się nie domyślił w tym ogólnym bałaganie. Tutaj wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż w Islandii.

Zganił siebie za to, że marnotrawi cenny czas. W końcu miał wyjątkową okazję, by przemyśleć dogłębnie kilka rzeczy. Nigdy zbyt wiele myślenia o własnej karierze. Trzeba było dokładnie poznać ludzi, odkryć ich słabe miejsca, czułe punkty, a później zdecydować, do czego można ich wykorzystać.

Na przykład ludzie pełniący razem z nim służbę nie znali go za dobrze. Oczywiście, wszyscy wiedzieli, że nie przejdzie żaden numer w obecności Grinnela, lecz niewiele poza tym. Szczegółowe rozpoznanie kadry oficerskiej doprowadziło go do wniosku, że wszyscy, którymi się interesował, byli tu bardzo szanowani - albo za życzliwość i łagodność charakteru, albo wręcz przeciwnie, za powściągliwość i obowiązkowość. Na nieszczęście Grinnel nie mógł zaliczyć siebie ani do jednej, ani do drugiej grupy, i musiał jak najszybciej to zmienić. Czy w New Portsmouth w ogóle mógł uchodzić za najlepszego kumpla albo za najgorszego sukinsyna pod słońcem? Doszedł do wniosku, że lepiej jednak odgrywać rolę dobrego wujaszka. Tutaj wszyscy gwardziści chodzili uzbrojeni w noże i byli niemal zupełnie bezkarni. Należało tylko znaleźć nadarzącą się okazję.

Grinnel spojrzął na zegar, odchylił się na oparcie i uśmiechnął szeroko. No i proszę, pomyślał. Grunt to odpowiednie cechy charakteru. Fakt, że pełni się służbę podoficerską, nie oznacza jeszcze straconego czasu. Można wiele rzeczy przemyśleć.

Przemykali wśród ciemności po przedmieściach New Portsmouth. Tak jak poprzednio Marta prowadziła go za rękę. Przy jasno oświetlonym nabrzeżu prawdopodobnie rozładowywano jakiś statek. Z któregoś warsztatu dolatywały krzyki chłostanego niewolnika.

- To jest dom rozpusty - szepnęła dziewczyna.

Specjalnie zjawili się w czasie między dniami wypłat, kiedy było tu ciemno, tylko w holu paliło się światło. Skręcili w uliczkę, która okrążała dom schadzek i wychodziła na tyły kwater samotnych oficerów. Zgodnie z planem minęli je, gdy wartownik - o ile w ogóle był na posterunku - powinien znajdować się przy drugim końcu budynku.

Lee Falcaro zajmowała niewielki, dobrze zamknięty pokój w Dowództwie Wywiadu Marynarki. Wiedzieli, że wydział G-2 Marynarki oraz Gwardyjska Akademia Wywiadu próbowały wyrwać ją z rąk dotychczasowych opiekunów, najpierw drogą urzędową, a następnie siłą. Posiadanie takiego informatora było sprawą prestiżową, a Dowództwo Wywiadu Marynarki broniło swego prestiżu za pomocą skomplikowanego zamka w drzwiach jej kwatery. Dostyc często, z odległości stu kilometrów, Marta była świadkiem otwierania i zamykania tych drzwi.

Ukryli się pod przegniłym portykiem budynku na dwie minuty wcześniej, zanim hałaśliwa grupa spóźnionych pijusów minęła ich, podążając ulicą; wyszli z cienia i bezpiecznie pobiegli dalej. Wiedzieli też o obecności drzemiącego w słabo oświetlonej dyżurce Dowództwa Wywiadu niewysokiego marynarza.

- Czy jest tam ktoś jeszcze? - zapytał szeptem Charles.

- Nie. Tylko ona. Śpi teraz, śni jej się... Nieważne. Chodźmy, Charles, wartownik drzemie...

Marynarz nawet nie drgnął, kiedy przekradli się obok niego i poszli schodami na górę. Pokój Lee Falcaro znajdował się na drugim piętrze, w specjalnie dla niej wykończonej części poddasza; można ją tam było dostać tylko po drabinie prowadzącej z maleńkiego gabinetu na pierwszym piętrze.

W drzwiach zamontowano ośmioryglowy, szyfrowy zamek typu piccolo - wielką rzadkość w New Portsmouth, prawdopodobnie łup z jakiegoś rabunku na kontynencie. Charles błyskawicznie wystukał na klawiaturze: 1-7-5-4, 2-2-7-3, 8-2-6-6 - i zasuwa otworzyła się bezszelestnie.

Drzwi jednak głośno skrzypnęły.

- Ona się budzi! - syknęła Marta. - Będzie krzyczała!

Charles w dwóch susach znalazł się przy łóżku i zasłonił ręką usta Lee Falcaro-Bennet. Dobiegł tylko stłumiony jęk i kobieta szarpnęła się w jego uścisku.

- Zamknij się, paniusiu! - szepnęła Marta. - Nie chcemy zrobić ci krzywdy.

Lee tym razem jęknęła pytająco i przestała się szamotać.

- Rób swoje - dziewczyna zwróciła się do Charlesa. - Nie będzie krzyczeć.

Pełen niepewności cofnął rękę.

- Przyszliśmy, żeby przyjąć od pani przysięgę wierności - rzekł.

- Wybraliście na to bardzo dziwną porę - zauważyła skrzekliwym, jakby nie swoim głosem. - Kim jesteście? Dlaczego mówicie szeptem?

- Nazywam się komandor Lister - oznajmił pośpiesznie Orsino. - Właśnie przybyłem z Islandii na pokładzie atomowej łodzi podwodnej „Taff”. Nic pani nie powiedziano na wypadek, gdyby ten plan spalił na panewce, ale zostałem przysłany specjalnie po to, by nadać pani obywatelstwo. Chyba wie pani, że nie jest to przyjęte w stosunku do kobiet?

- Co tu robi ta dziewczyna? I dlaczego budzi mnie pan w środku nocy?

Charles bazował wyłącznie na informacjach, które Marcie udało się przekazać w transie.

- Nadanie obywatelstwa spowoduje, że wywiad gwardyjski w znacznym stopniu straci ochotę na porwanie pani. Rzecz jasna, tutejsze władze starałyby się temu zapobiec, jeśli nie dochowałibyśmy tajemnicy. Czy jest pani gotowa?

- Jakże to dramatyczne! - parsknęła Lee. - Tak, chyba jestem gotowa. Proszę zaczynać.

- Czy pani, Lee Bennet, szczerze wypiera się wszelkiej dotychczasowej lojalności i przyrzeka posłuszeństwo rządowi Ameryki Północnej?

- Przyrzekam - odparła.

Marta syknęła głośno z niedowierzania.

- Na ognie piekielne! Zupełnie jakbyś złamał jej nogę!

- O czym ty mówisz, dziewczynko? - spytała zdumiona Lee.

- Wszystko w porządku - mruknął ociężale Charles. - Czy nie poznajesz mnie po głosie? Jestem Orsino. Wydałaś mnie w ręce gwardzistów, ponieważ oni nie przyjmują przysięgi wierności od kobiet, a tym samym twoja prawdziwa osobowość nie mogła z powrotem przejąć kontroli nad twą psychiką. Musiałem uciekać do lasu, gdzie zostałem schwytany przez bandę tubylców. Przy pomocy obecnej tu Marty udało mi się zwać. Oprócz innych niezwykłych zdolności ta dziewczyną potrafi czytać w myślach. Pamiętam, że powrót mojej świadomości był dla mnie dość ciężkim szokiem. A jak ty się czujesz?

Lee nie odpowiadała. Zrobiła to za nią. Marta głosem pełnym zmieszania i wzgardy.

- Czuje się świetnie, tylko płacze.

- Wcale nie - chlipnęła Lee Falcaro.

Zakłopotany Charles odwrócił się do niej tyłem.

Starając się zapanować nad swym głosem, zapytał Martę:

- Co z łodzią?

- Jeszcze tu jest.

- O ja... jakiej ło... łodzi mówicie? - wyjąkała Lee.

- Marta namierzyła atomową łódź patrolową w porcie. Na pokładzie jest tylko jeden wartownik. Podglądała, jak należy nią sterować, zresztą mam trochę wprawy w żeglowaniu. Sądzę, że możemy ją porwać. Jeśli pogonimy pełną mocą, nie dogonią nas, w porcie nie ma drugiej tak szybkiej jednostki. A jeśli pogoda ulegnie zmianie, nie dadzą także rady wysledzić nas z powietrza.

Lee Falcaro podniosła się, ocierając łzy z twarzy.

- W takim razie chodźmy - powiedziała.

- Co z tym żołnierzem w dyżurce, Marto?

- Wciąż śpi. Mamy tak samo wolną drogę, jak poprzednio.

Zamknęli za sobą drzwi, a Charles przekręcił zasuwę. Marynarz w dyżurce, którą minęli na palcach, wyglądał na tak głęboko uspiętego, że mogłoby go obudzić chyba tylko trzęsienie ziemi. Lecz gdy minęli już drzwi budynku, pod stopą Marty zaskrzypiał butwiejący stopień schodków.

- Niech święty Patryk i święta Brygida porażą moje nogi! - syknęła. - Tamten się obudził!

- Pod ganek! - rozkazał Orsino.

Wsunęli się w wąską przestrzeń między deskami werandy i ubitą ziemią. Dziewczyna bez przerwy ledwie słyszalnym głosem miotała najgorsze przekleństwa pod swoim adresem. Gdy urwała nagle, Charles zrozumiał, że sprawy przybierają zły obrót.



Marta uniesioną dłonią nakazała im ciszę; Orsino miał wrażenie, że mimo ciemności dostrzega wyraz skupienia na jej twarzy. Po chwili szepnęła:

- On skorzystał z... Jak ty to nazywasz? Z tego, co się mówi, a ktoś bardzo daleko może cię słyszeć. Powiedział o dzikusie z lasów. Ten kurewski łajdak musiał widzieć twoje twarzowe ubranko z ubłoconej skóry, Charles. Och, już po nas! Żeby moja nieuważna stopa urosła do wielkości głazu! Żeby wypłynęły mi moje przeklęte oczy!

Charles namacał w ciemności rękę Lee Falcaro i uściśnął ją mocno; była lodowata i lekko dygotała. Wkrótce poczuł, że jego druga dłoń została zamknięta w stanowczym uścisku zazdrosnej Marty.

- Widzę tego niskiego grubasa, Charles. Tego, który wciąż zabija.

Skinął głową. Był prawie pewien, że dziewczynie chodzi o Grinnela.

- Oprócz niego budzi się dziesięciu mężczyzn. Niech Patryk i Brygida ukarzą ich zgnilizną! Niech Abaddon ich ukamieniuje! Och, gdyby tylko zaklęcia działały na tych obcych, w okamgnieniu bylibyśmy bezpieczni! Charles, czy pamiętasz drogę do portu?

- Oczywiście, ale nie mamy zamiaru się rozdzielić. Uciekniemy stąd wszyscy troje.

- To bezwzględni szaleńcy - odparła dziewczyna - żądni krwi. A ten mały jest z nich najgorszy.

- Czy mają na sobie czarne golfy? - Charles przypomniał sobie nagle o gwardzistach. - Takie ubrania z wysokim kołnierzem, który zakrywa szyję.

- Tak, mają.

W tej samej chwili usłyszeli odgłos kroków i cichy szmer głosów, nad który wzbił się dźwięczny tenor komandora Grinnela:

- Zachowajcie ciszę, chłopcy. On nadal może być gdzieś w tej okolicy.

Nad ich głowami rozległ się łomot szybkich kroków.

- Ten, który spał, mówi im, że był tylko jeden - poinformowała ledwie słyszalnym szeptem Marta. - Nie widział go dobrze, dostrzegł jedynie nagą skórę i długie włosy. Grubas mówi, że znajdą go i... i... że na pewno go znajdą. - Zaciśnęła kurczowo palce na ramieniu Charlesa, lecz szybko cofnęła rękę, kiedy ponownie usłyszeli kroki na schodkach.

- Połowa pójdzie w górę ulicy, a połowa w dół - rozbrzmiał głos Grinnela. - Sprawdzajcie wszystkie zaułki, a nawet otwarte okna. Do cholery, chyba nie muszę wam tego mówić. Jeśli nie znajdziemy tego gnoja za pierwszym razem, będziemy musieli postawić na nogi batalion gwardyjski i objąć patrolem całe miasto, a to znaczy, że nie zmrużycie oka przez resztę nocy. Ruszajcie.

- Nie zapomnij drogi do portu, Charles - szepnęła Marta. - Żegnaj, paniusiu. Opiekuj się nim. Dobrze się nim opiekuj.

Ścisnęła jeszcze raz dłoń Charlesa i wysunęła się spod werandy.

Lee mruknęła coś niezrozumiałego. Orsino instynktownie chciał wyskoczyć za dziewczyną, lecz zagrzebał się nogami w piasku i tylko bezsilnie opadł brzuchem na ziemię. Nagle rozległy się okrzyki.

- Hej, ty! To on, na Boga! Łapać go! Łapać!

- Widziałem, tam pobiegł! Zastąpić mu drogę!

- Wszyscy tutaj! - wrzasnął Grinnel. - Zastąpić mu drogę! Łapać... Tak, dobra robota!

- Na miłość boską! To dziewczyna!

- Niech szlag trafi tego cholernego gryzipiórka i bezdomnych nędzarzy! - To był znowu głos Grinnela. - Skąd jesteś, dziewczynko?

- To nie jest dzieciak z miasta, komandorze. Proszę się jej przyjrzeć.

- Właśnie to robię, sierżancie. Całkiem niezła, jak na moje oko. Co myślicie? -

W ojcowskim tonie Grinnela pojawiły się nuty rozbawienia. - Dobra, chłopcy. Zabawcie się trochę, tylko nie za głośno.

- Nie bój się, dziecino...

Marta zawyła przeraźliwym głosem. Lee Falcaro zadrżała histerycznie, a Charles z całej siły zacisnął pięści, wbijając sobie paznokcie w skórę.

- Dlaczego, komandorze? Czasami fajnie jest trochę pohłasować...

- Auu! - wrzasnął któryś z gwardzistów, po czym dał się słyszeć szybki tupot nóg i stłumione śmiechy.

- Trzymaj ją, ty głupcze!

- Ugryzła mnie w rękę...

- Tam jest!

Odgłos strzału rozbrzmiał echem w pustej ulicy.

Zapadła martwa cisza, którą po chwili przerwał Grinnel.

- To wszystko, chłopcy.

- Czy musiał pan strzelać, komandorze? - zapytał smutnym głosem któryś z gwardzistów.

- Nie do mnie miej pretensje, chłopcze, ale do niego.

- Niech to szlag! Ona mnie ugryzła!

- Chyba powinniśmy ją stąd zabrać? - zauważył ktoś jakby od niechcenia.

- Do diabła z tym! Niech ją sprzątną rano.

- Jak będą ją chcieli.

Odpowiedział gromki wybuch śmiechu.

- Wracamy na wartownię, chłopcy. Nie hałasujcie za bardzo - rzekł spokojnie Grinnel.

Kroki oddaliły się i przez dobre kilka minut panowała cisza.

- Idziemy do portu - odezwał się w końcu Orsino.

Wypełzli spod werandy, przemknęli w cień sąsiedniego budynku i przelotnie popatrzyli na ciemny zarys ciała leżącego na środku ulicy.

- Grinnel - mruknęła Lee.

- Cicho bądź - zganił ją Charles.

Poprowadził mrocznymi zaułkami i wąskimi uliczkami w kierunku portu; zgodnie z planem.

Przy nabrzeżu osiemnastym odnaleźli kuter patrolowy: siedmiometrowej długości motorówkę, kołyszącą się na falach w bezpiecznym oddaleniu od innych jednostek. Na widok umundurowanego marynarza, który siedział w sterówce i wyraźnie gapił się prosto na nich, Lee Falcaro cicho jęknęła.

- Wszystko będzie w porządku - uspokoił ją Orsino. - To pijak. O tej porze zwykle jest już nieźle wstawiony.

Charles bez trudu odnalazł w skrzynce linę, nożem wartownika odciął odpowiedni kawałek, po czym związał i zakneblował marynarza. Tamten tylko raz otworzył oczy, potoczył dokoła nieprzytomnym wzrokiem i zaraz z powrotem zapadł w pijacki sen.

- Pomóż mi go wynieść na brzeg - powiedział.

Lee Falcaro chwyciła pijaka za nogi i razem wytaszczyli nieprzytomnego na nabrzeże.

- Przed tobą otwarte morze, nie będziesz miała kłopotów z pilotażem - rzekł, kiedy wrócili do sterówki. - Tu masz kompas, tam mapy. Gdybyś zechciała odpocząć, w ten sposób blokuje się wszystkie przyrządy sterownicze. Radziłbym ci dać jedną czwartą szybkości, a po wyjściu

z zatoki skierować łódź na zachód, włączyć pełną moc i położyć się spać. Jak mają cię złapać, to i tak złapią.

- Mówisz tak, jakbyś miał zamiar tu zostać - zauważyła nerwowym głosem Lee.

- Bo zostaję - odparł Charles, rozbijając kłódkę schowka na broń.

Rygiel z trzaskiem odskoczył w bok i Orsino wyjął z uchwytów pistolet kaliber 9 mm. Rozejrzał się po kabinie, przypominając sobie, gdzie jest amunicja, po czym rozbił zamek drugiej skrzynki i wyjął pudełko krótkich, grubych i ciężkich naboje. Zaczął je pakować do magazynka pistoletu.

- Co ty masz zamiar zrobić? - wybuchnęła Lee Falcaro.

- Nawiązać bliższą znajomość z komandorem Grinnem - odpowiedział. Wsunął ciężki magazynek w rękojeść broni i szcęknął zamkiem, wprowadzając pierwszy nabój do lufy. - Pozwolisz, że cię opuszczę? - zapytał.

- Przestań się wygłupiać! Nie wrócisz jej życia. Poza tym jesteś coś winien Syndykatowi.

- Zostawiam to tobie - rzekł, ładując naboje do drugiego magazynku.

- Uważasz, że ona jest ważniejsza od Syndykatu?

Charles dźwignął pistolet i wsunął go za pasek swych znoszonych spodni od munduru.

- Owszem, jest - odparł. - Pewien człowiek o nazwisku T. G. Pendelton powiedział mi kiedyś, że lojalnym można być tylko wobec ludzi. Syndykat również tworzą ludzie, ale ci mają bardzo wielu przyjaciół. Nie udało nam się zdobyć tego, po co nas wysłano, ale poznaliśmy za to wiele interesujących faktów. Jeśli tobie się nie uda, naszym śladem zostaną wysłani inni. Natomiast ten dzieciak nie miał nikogo oprócz mnie, a jej siostra... Zbyt długo musiałbym ci to wyjaśniać, zresztą zabrzmiałoby to głupio. Czy ma to dla ciebie jakieś znaczenie, że już nigdy nie wezmę udziału w żadnej rozgrywce polo? Za to dla mnie jest cholernie ważne, aby nie dopuścić, by Grinnel spokojnie żył sobie dalej po tym, co zrobił. Mógł przecież powstrzymać te małpy, ale nie przyszło mu to do głowy. Może teraz mnie uda się powstrzymać Grinnela. Jeśli nie spróbuję, będę takim samym zerem jak on.

Lee spokojnie ładowała naboje do magazynku drugiego identycznego pistoletu, który wyjęła z uchwytów szafki.

- Nie uruchamiaj silnika jeszcze przez kilka minut - mówił dalej Charles. - Te łodzie są dość głośne, zaraz zbierze się tu tłum. Marynarze są tak źle zorganizowani, że przez dłuższy czas nie wyruszą w pogoń, wolę jednak nie ryzykować. Żegnaj. - Odwrócił się w stronę wyjścia ze sterówki.

- Zaczekaj. Czy ta broń jest gotowa do użycia?

Wziął pistolet z jej ręki, odbezpieczył go i przesunął zamek, wprowadzając nabój do lufy. Od strony ulicy dobiegł głośny, piskliwy śmiech jakiejś pijanej kobiety. Gdzieś daleko rytmicznie huczał młot, kształtując widocznie oporny kawałek metalu. Charles wyciągnął broń w stronę Lee Falcaro.

- Wystarczy tylko wycelować i pociągnąć za spust - rzekł.

Lee powoli wymierzyła w niego broń i opuściła nieco lufę.

- Popłyniesz ze mną - oznajmiła. - Jeśli nie będziesz mnie słuchał, wpakuję ci kulkę w nogę.

Orsino zamarł w osłupieniu, Lee, nie wypuszczając z ręki pistoletu, wdusiła rozrusznik i popchnęła dźwignię gazu do oporu.

- Chryste! Zatopisz kuter! - krzyknął Charles, rzucając się do pulpitu. Ale potrzeba było kilku sekund na to, żeby silniczki uruchomiły przekładnie ślimakowe, pręty kadmowe

wysunęły się do końca z gniazd, reaktor zadziałał pełną mocą, wyrzucając pod ciśnieniem ciekły metal, który napędzał turbinę...

Orsino szarpnął dźwignię, automatycznie zwalniając cumy na dziobie i rufie kutra, i zakręcił kołem sterowym, trzymając się z całej siły uchwytu. Łódź wyrwała skosem; Lee Falcaro poleciała do tyłu na przechylony mocno pokład, pistolet wysunął się jej z dłoni i zniknął pod rzuconymi na kupę plastikowymi kapokami. Ryk turbiny zabrzmiał w całym porcie niczym syrena alarmowa. Zostawiając za sobą smugę spienionej wody, łódź pomknęła ku oznaczonemu bojami przejściu w sieci zamykającej zatokę.

Lee podniosła się na nogi.

- Wcale nie jestem dumna z tego, co zrobiłam - powiedziała.- To ta dziewczyna przykazała mi, żebym się tobą dobrze opiekowała.

- A mogliśmy przyjść prosto do portu - rzekł posępnym głosem - i nie zbaczać z drogi, żeby ciebie stamtąd wyciągnąć. Przejmuj ster.

- Charles, ja...

- Przejmuj ster!

Wyszedł z kajuty i stanął na rufie, próbując przebić wzrokiem ciemności. Światła portu przypominały już dalekie gwiazdki. Oczy zaszyły mu łzami i po chwili niczego już nie mógł dostrzec. Nie obchodziło go, czy kilkanaście łodzi pościgowych odbija w tej chwili od nabrzeża, ruszając w pościg za nimi. Spartaczył jedyną naprawdę ważną rzecz, jaką miał kiedykolwiek w życiu do zrobienia. A co gorsza, zdawał sobie sprawę, że w głębi ducha pragnął ją spartaczyć.

## ROZDZIAŁ XVI

Nadszedł mglisty, deszczowy ranek. Jeszcze w nocy cienka czerwona kreska licznika nawigacyjnego przesunęła się poza trzydziesty południk. Zaledwie połowa drogi, pomyślał Charles Orsino, przecierając piekące oczy. Licznik nie przesunął się jednak ani trochę w ciągu ostatnich czterech godzin. Ta cholerna baba musiała usnąć na wachcie! Zerknął na nią z ukosa i otworzył rączę żywnościową.

- Dzień dobry - mruknęła Lee, zaszczycając go przelotnym spojrzeniem.

Charles ugryzł duży kawałek czekolady, zaczął ją przeżuwać i nagle się zakrztusił. Sięgnął szybko po kubek, ale przezroczysta kolumna wymiennika jonowego okazała się pusta.

- Do cholery! - warknął. - Dlaczego nie wlałaś tu wody, jeśli opróżniłaś zbiornik? I po co prowadziłaś łódź zygakiem przez całą noc? Jesteś zupełnie nieodpowiedzialna!

Wyrzucił za burtę wiadro na linie, zaczerpnął wody i napełnił kolumnę wymiennika.

- Trzeba będzie poczekać jeszcze ze dwadzieścia minut, zanim zbierze się szklanka wody - mruknął pod nosem.

- Chwileczkę - wycodziła Lee przez zęby. - Wyjaśnijmy sobie kilka spraw. To ja nie miałam ani kropli wody przez całą wachtę, nie miałam też sposobności, żeby napełnić kolumnę. Musiałeś wypić resztę wody do kolacji. A co się tyczy pływania zygakiem, to sam powiedziałeś, że powinniśmy trochę pokłuczyć, aby zmylić pogoń. Stwierdziłam, że noc stwarza ku temu dogodną okazję. - Wyczekująco wbiła w niego wzrok.

Charles, chcąc zyskać na czasie, wypił kilka kropli, które zdążyły spłynąć do pojemnika. Chyba miała rację, rzeczywiście zapomniał napełnić kolumnę po wczorajszej kolacji. Przypomniał sobie również, że mówił jej o tym, iż trzeba będzie poświęcić którejś nocy kilka godzin na kluczenie...

- Masz rację, w obu wypadkach - odparł napiętym głosem. - Przepraszam.

Wbił zęby w coś, co przypominało herbatniki przełożone masłem orzechowym i sprasowane pod niewiarygodnym ciśnieniem.

- To jeszcze nie wszystko - dodała. - Nie wystarczy mi, że powiesz „przepraszam”, a potem będziesz się wałęsał wściekły, z kwaśną miną po całym pokładzie. Jeśli chodzi o ścisłość, w ogóle mi się nie podoba twoje zachowanie.

- Nie podoba ci się, co? - parsknął. Był rozgoryczony: na nią, na siebie i na cały świat za tę głupią sytuację, w jakiej się znalazł. Nie odpowiedział jednak, tylko splunął na pokład.

- Nie, nie podoba mi się. Jestem poważnie zaniepokojona. Mam obawy, że twoje uwarunkowanie nie cofnęło się do końca w chwili złożenia przysięgi wierności. Jesteś niekonsekwentny i zachowujesz się irracjonalnie.

- A ty? - zapytał. - Przecież także byłaś uwarunkowana.

- Zgadza się i jest to kolejny powód, dla którego martwi mnie twoje zachowanie. Sama dostrzegam u siebie pewne symptomy, które nie powinny występować. Wydaje mi się tylko, że potrafię lepiej zapanować nad sobą niż ty. Na przykład kłócimy się z byle powodu już od chwili, kiedy razem z Martą wyciągnęliście mnie stamtąd. Jest to nienormalne, ponieważ łączą nas wspólne cele.

Zablokowała koło sterowe, powoli cofnęła się o dwa kroki i dodała profesjonalnym tonem:

- Nigdy nie miałam kłopotów w nawiązywaniu kontaktów z ludźmi. Oczywiście, wiele

zależało od sytuacji i czasami pozwalałam sobie na uzewnętrznianie swych uczuć, zwłaszcza, gdy chodziło o obronę moich praw. Stwierdzam jednak, że ty doprowadzasz mnie do szału, że z takich czy innych powodów twoje zdanie w jakiejś sprawie ma dla mnie wielkie znaczenie. Jeśli zaś mamy różne poglądy, to powinniśmy znaleźć kompromis.

Charles odłożył rację żywnościową i rzekł w zamyśleniu:

- A wiesz, że ja dokładnie w ten sam sposób odbieram ciebie? Sądzisz, że jest to wynikiem psychicznego uwarunkowania? - Z ociąganiem zrobił kilka kroków w stronę Lee.

- Tak - odparła lekko drżącym głosem. - Prawdopodobnie jest to wynik uwarunkowania.

Na przykład jesteś bardzo powściągliwy, nie wystąpiłeś dotąd z żadną nieprzyzwoitą propozycją, nawet wyrażoną w kurtuazyjnej formie. Rzecz jasna, nie zależy mi na tym, ale... - Cofnęła się jeszcze bardziej, zahaczyła nogą o wiadro i z krzykiem padła na pokład.

- Poczekaj, zaraz ci pomogę.

Objął ją w pół, postawił na nogi, ale nie puścił.

- Dziękuję - odparła cicho. - Technikę warunkowania psychicznego trudno nazwać błędną, lecz ma ona wiele ograniczeń... - umilkła stopniowo i Charles ją pocałował. Lee odwzajemniła pocałunek, a po chwili dodała jeszcze cichszym głosem: - A może to przez te narkotyki, które stosowaliśmy... Och, Charles, dlaczego kazałeś mi tak długo czekać?

- Sam nie wiem - odparł w zamyśleniu. - Pochodzisz z zupełnie innej warstwy, rozumiesz? Ja jestem tylko poborcą podatkowym współpracującym z nowojorską policją. Nawet do tego bym nie doszedł, gdyby nie pozycja wuja Franka. A ty pochodzisz z rodu Falcaro. Nie umiałem sobie wyobrazić, że mógłbym się do ciebie zalecać.

Chyba to powodowało, że zachowywałem się w ten sposób i nie potrafiłem nawet przyznać się przed samym sobą, że tak bardzo mi na tobie zależy. Do cholery, gdybym zawrócił tam, w porcie, i wyruszył na poszukiwanie Grinnela, zrobiłbym z siebie ostatniego głupca. Ale jakiś głos wewnętrzny dobrze mi podpowiadał. Tamten dzieciak już nie żył.

- Widzę, że zaczynasz wykazywać zainteresowanie psychologią.

- Psychologią? Chyba żartujesz?

- Nie, skądże. Polubisz psychologię, kochanie. Sam wiesz, że nie możesz wiecznie grać w polo.

*Kochanie!* Do czego ona zmierza? Stary Gilby potrafił strzelić cztery gole, mając sześćdziesiąt lat! Dobry Boże, czyżby myślała o małżeństwie z nim? Miał zaledwie dwadzieścia trzy lata. A może ona już była mężatką? Może miał być kolejnym jej mężem? Czy to znaczyło, że Lee hołdowała swobodzie seksualnej? I ma zamiar czynić to dalej? Trudno osądzić; nigdy nie należało pytać o takie rzeczy; można się było jedynie pocieszyć tym, że jej również nie przyszłoby do głowy o to zapytać. O co więc jej chodzi? Trzeba się od niej uwolnić! - To wszystko przemknęło przez umysł Charlesa lotem błyskawicy.

- Do diabła z tym - mruknął jednak i pocałował ją po raz drugi.

- Do diabła, z czym, kochanie?

- Ze wszystkim. Opowiedz mi o psychologii. Przecież nie będę wiecznie grał w polo. Ale dopiero w godzinę później Lee miała okazję powiedzieć mu coś o psychologii.

- Ta dyscyplina spotyka się z niewytłumaczalnym, wręcz karygodnym lekceważeniem.

Przez prawie sto lat uważano psychologię za martwy sofizmat. Dlaczego?

- Właśnie, dlaczego? - mruknął od niechcienia, bawiąc się kosmykiem jej włosów.

- Wszystko przez Liebermana - odparła - z uczelni Johnsa Hopkinsa. Był profesorem, zwolennikiem starej szkoły psychologii topologicznej... Nie przejmuj się tym żargonem,

Charles, to nazwa pewnego kierunku. Przypuścił swego czasu piekielny atak na psychologiczną szkołę *mengenlehre*, systematyzującą emocje, dzielącą reakcje na klasy, i tak dalej. Rozbił ją dosłownie w pył, udowadniając, że tego typu klasyfikacje nie odpowiadają emocjom i reakcjom przypadkowo wybranej populacji. A potem doznał zaskoczenia: zastosował te same testy do zbadania systematyki swej własnej szkoły psychologii i odkrył, że te również nie odpowiadają rzeczywistości. Nie przejął się tym, był prawdziwym naukowcem. Opublikował swoje rezultaty i wtedy stało się: wszyscy, od znanych profesorów po nieopierzonych studentów, zaczęli rozkładać na łopatki kolejne szkoły psychologii i w ciągu dwudziestu lat nauka umarła śmiercią naturalną, jak chiromancja. Jakimś cudem nie zdarzyło się to już wcześniej! Luki były przecież tak wyraźne! Stare podręczniki opisywały szczegółowo syndromy, psychozy i neurozy, które po prostu nie występowały w rzeczywistości! To wszystko doprowadziło psychologię do całkowitego krachu.

- I co teraz mamy? - wtrącił Charles. - Jest to w końcu nauka, czy nie?

- Oczywiście, że jest. Lieberman i jego naśladowcy posunęli się za daleko. Wybuchło coś w rodzaju hysterii, eksperymetatorzy stali się zanadto gorliwi. Błędnie odczytywali wyniki, źle interpretowali dane statystyczne, nie rozumieli aksjomatów badanych kierunków, w związku, z czym obalali nie faktyczne twierdzenia tego nurtu, lecz fałszywe, które sami opacznie ustanawiali.

- A co z psychologią? - zapytał Charles, porażony nagle myślą, że przecież obiektem badań naukowych był ludzki mózg; nawet nie sam fakt go zirytował, lecz świadomość, że w powszechnym mniemaniu psychologia była jedną wielką bzdurą.

Lee wzruszyła ramionami.

- Nic na to nie poradzę. Badaliśmy fizjologię układów sensorycznych, próbując na nowo opisać mechanizm ogniskowania oka ludzkiego, w związku, z czym musiałam sięgnąć do starych, przedliebermanowskich tekstów na ten temat. Część ze znalezionych przeze mnie danych potwierdziła, iż nieświadomie w pełni przeprowadziłam jeden ze statystycznych testów Liebermana. I wyszło na to, że staruszek się mylił. Klasyfikacja *mengenlehre* dość dobrze odpowiada rzeczywistym sposobom funkcjonowania ludzkiego mózgu. Zaczęłam sprawdzać dalej i okazało się, że kierunki, obalone sto lat wcześniej, jako całkowicie błędne, mniej czy bardziej także odzwierciedlają rzeczywistość. A niektóre z nich mogą być wykorzystane do przepowiadania dalszych dróg rozwoju. Zastosowałam algorytmy psychologii *mengenlehre* do programowania naszego uwarunkowania, włączając w to również klucz do odzyskania tożsamości. I wszystko się udało. Widzisz, Charles? Stoimy na progu czegoś niesamowitego!

- Kiedy działał ten Lieberman?

- Nie pamiętam dokładnie dat, ale upadek kolejnych kierunków przypadał mniej więcej na okres życia Johna G. Falcaro.

To by się właściwie zgadzało, pomyślał Orsino. John G. nastał po Rafaelu, synu Amadeo Falcaro, pierwszego przywódcy Syndykatu z czasów rewolty. Za rządów Johna G. dalej poszerzano zakres swobód obywatelskich, radośnie opróżniano z towarów zapchane magazyny, wszystkie zasady działania związków zawodowych wyrzucono za okno, a mimo to robotnicy pracowali, wartość dolara osiągnęła niespotykany dotąd poziom, ponadto w obiegu znajdowała się największa od lat ilość pieniędzy. Były to wspaniałe czasy, które do dziś wspominano z rozrzewnieniem; najodpowiedniejsze czasy na entuzjastyczne rebelie przeciwko zatęchłej scholastyce i radosne rozprawianie się ze starymi sposobami myślenia,

bez zbytniego zwracania uwagi na czystość sumienia. To wszystko zdało egzamin.

Charles podniósł się na nogi. Niewygody dawały mu się coraz bardziej we znaki; łodzią tak silnie huśtało po raz pierwszy od czasu ich ucieczki.

- Nadchodzi zmiana pogody - rzekł. - Do tej pory mieliśmy cholernie dużo szczęścia.

Ponadto stwierdził w duchu, gdyż nie miał odwagi powiedzieć tego na głos, że coraz bardziej niepokoi go fakt całkowitego braku pogoni. Widocznie nie warto było marnotrawić szczupłych zapasów Marynarki Wojennej Ameryki Północnej na pościg za jedną, małą jednostką, tym bardziej, że można było liczyć, iż uciekinierów wykończy pogoda.

- Sądziłam, że ta łódź jest niezatapialna.

- Mniej więcej. Możesz ją porównać do zakorkowanej butelki, która zawsze będzie się unosiła na falach. Ale kuter składa się z tysięcy drobnych części połączonych ze sobą. Jeśli przez kilka godzin wystawimy ją na działanie silnych fal, niektóre z tych części mogą odpaść. Łódź nie zatonie, lecz - na przykład - stanie turbina czy utracimy ster. Szkoda, że Syndykat nie ma swojej floty na Atlantyku.

- Też żałuję. Jedyna flota, o jakiej mi wiadomo, to barki i rudowce Zgromadzenia kursujące po Wielkich Jeziorach, lecz oni niezbyt chętnie by nam pomogli.

Czujnik radaru zaczął rytmicznie popiskiwać; rzucili się do ekranu.

- Jest coś na kursie dwieście siedemdziesiąt trzy, jakieś osiem mil od nas - oznajmił Charles. - To nie może być pościg. Nie widzę powodu, dla którego mieliby nas okrążyć i zachodzić od przodu.

Popatrzył przez szybę na zachód i wydało mu się, że dostrzega czarny punkcik na tle szarej linii horyzontu. Lee Falcaro skierowała w tamtą stronę lornetkę.

- Przez to draństwo nic nie widać - rzekła po chwili.

- Nie uda ci się niczego zauważyć z odległości ośmiu mil przy tak wysokiej fali. Słyszałem o stabilizowanych żyroskopowo lornetach dalekiego zasięgu, nie sądzę jednak, żebyśmy mieli coś podobnego na tym kutrze.

Zakręcił kołem sterowym; łódź pochyliła się tak mocno, że z całych sił musieli zacisnąć palce na uchwytach. W końcu automaty ustawiły kuter na nowym kursie: zawrócili o 180 stopni. Spiętrzone fale ze zdwojoną energią natarły na podwyższoną burtę dziobową, huśtało coraz mocniej. Nie przejmowali się tym za bardzo, wbijali oczy w ekran radaru. Po chwili niepewności stało się oczywiste, że tajemniczy statek zmienił kurs na 135. Charles odczytał ich prędkość i w podręcznym notatniku szybko obliczył przybliżoną szybkość tamtej jednostki.

Nie odezwał się słowem. Zmienił kurs na 225 i ponownie zapatrzył się w ekran radaru. Tamci płynęli teraz kursem 145. Orsino znów wykonał kilka pośpiesznych obliczeń i rzekł grobowym głosem:

- Utrzymują kurs kolizyjny, pewnie obliczony automatycznie na podstawie wskazań radaru. Jesteśmy w pułapce.

- Niemożliwe - wtrąciła zdumiona Lee. - Dysponujemy większą szybkością.

- To bez znaczenia.

Raz jeszcze zawrócił o 180 stopni i spojrzał na błyszczącą jasno kropkę na zielonym ekranie.

- Przy takim kursie będą mieli najdłuższą drogę do nas, ale my możemy się jedynie modlić o cud. Tylko w jeden sposób zdołalibyśmy wykorzystać przewagę szybkości i uciec im: gdybyśmy zawrócili w kierunku terytorium rządowego. Nie możemy tego uczynić. Módlmy się zatem, Lee. Może załamanie pogody pomoże nam ich zgubić. Chociaż nie, będą nas mieli cały



czas na radarze.

Usiedli razem na brzegu koi i przez godzinę nie odzywali się nawet do siebie. Kuter dygotał pod naporem sztormowych fal, które przelewały się już nad pokładem. Po jakimś czasie, kiedy mgła nieco zrzędła, w odległości trzech mil dostrzegli przez chwilę swego prześladowcę - niski, czarny, brzydki statek.

Zapadł już zmierzch, gdy usłyszeli bliski ryk turbiny wielkiej mocy, a mgłę przeciął strumień silnego światła z reflektora, zalewając ich kuter widmową, białoniebieską poświatą. Obok nich zamajaczyła czarna ściana wysokiej burty i z góry dał się słyszeć wzmocniony przez megafony głos:

- Zatrzymajcie silniki i stańcie dziobem pod wiatr.

Lee Falcaro zdołała odczytać czerwono-biały napis na kadłubie:

- *Hrabia James J. Regan*, z Chicago. - Odwróciła się do Charlesa i dodała w zamyśleniu:

- To tankowiec Zgromadzenia, z floty Wielkich Jezior.

## ROZDZIAŁ XVII

- Tutaj? - spytał zdumiony Charles. - Skąd się tutaj wzięli?

- Na pewno się nie mylę. Miałam okazję wiele podróżować z wujem. Widziałam ich w Duluth, a także w Quebec i w Buffalo.

Po raz drugi rozległ się ryk z megafonu zniekształcony przez gęstą mgłę.

- Stańcie dziobem do wiatru i zatrzymajcie silniki, bo pošlemy w was torpedę!

Charles zakręcił kołem sterowym i ściągnął dźwignię gazu, kuter bezsilnie zakołysał się na falach niczym łupina orzecha. Usłyszeli dwie stłumione eksplozje i w plastikową burtę ich łodzi wbiły się dwa harpuny, jeden na dziobie, drugi na rufie. Kuter zaczął się kołysać w rytm przechyleń wielkiego tankowca. Po chwili, w strumieniu oślepiającego światła z reflektora, na ich pokład przeskoczył jakiś człowiek, potem drugi, za nim następny.

- Witaj, Jim - odezwała się cicho Lee Falcaro. - Sporo czasu upłynęło od naszego spotkania w Las Vegas, prawda?

Pierwszy z mężczyzn obrzucił ją chłodnym spojrzeniem. Miał budowę zawodowego futbolisty albo innego, podobnego wykolejeńca... Całkowicie zignorował Charlesa.

- Lee Falcaro, tak jak zapowiadano - mruknął. - Czy nadal uważasz, że każdy czarny musi się starać, żeby być tyle samo wart, co dwudziestu czerwonych? Zawsze byłeś głupia, Lee, a teraz na dodatek wpadłeś w poważne kłopoty.

- O co chodzi, proszę pana? - wtrącił Charles. - Jesteśmy z Syndykatu, a wy, jak się domyślam, ze Zgromadzenia. Czyżbyście nie uznawali traktatu?

Tamten odwrócił się szybko w jego stronę.

- Drobne zamieszanie - rzekł. - Max Wyman? Charles Orsino? A może zwyczajny dzikus z leśnej głuszy?

- Orsino - powiedział spięty Charles. - Drugi kuzyn Edwarda Falcaro, będący pod opieką Francisa W. Taylora.

Napastnik skłonił się kurtuazyjnie.

- James Regan Czwarty - przedstawił się. - Nie muszę wyliczać moich koneksji, trwałoby to za długo. Poza tym nie widzę potrzeby udowadniania mojej pozycji jakimś drobnemu kombinatorowi. Uważajcie na niego, panowie!

Dwaj towarzysze Regana wykręcili Charlesowi ręce do tyłu, a do brzucha przytknięto mu lufę pistoletu.

Regan krzyknął w stronę swojego statku i z góry spłynęła drabinka sznurowa. Kiedy z lufami przystawionymi do pleców zaczęli się wspinać na górę, Charles szepnął do Lee:

- Co to za szaleniec?

Nie mógł uwierzyć, że tamten naprawdę jest tym, za kogo się podaje: synem odpowiednika Edwarda Falcaro, sprawującego rządu na terytorium Zgromadzenia.

- To Regan. Sama już nie wiem, Charles, kto tu jest szalony, on czy ja. Tak bardzo mi przykro, że cię w to wciągnęłam.

- Zgłosiłem się na ochotnika. - Uśmiechnął się krzywo.

- Dość tych rozmów - rzucił Regan, wchodząc tuż za nimi na pokład.

Zebrani marynarze obrzucili parę przybyszów obojętnymi spojrzeniami. Lecz obok nich Charles dostrzegł tak dobrze znane sobie sylwetki osiłków o pogardliwych minach. Mógłby przysiąc, że byli to gwardziści. Na pokładzie statku Zgromadzenia przebywali gwardziści

Marynarki Wojennej rządu Ameryki Północnej, których postawa świadczyła wyraźnie, że są tutaj gośćmi lub najemnikami.

- Mam pewien dylemat - powiedział Regan. - Nie dysponujemy, bowiem odpowiednimi dla was pomieszczeniami.

- Nie zasłużyliście na to, by umieszczać was w ładowni, a kajuty pasażerskie są zdecydowanie za dobre. Obawiam się, że będę musiał was wsadzić do którejś ładowni. Mogę tylko dodać na pocieszenie, że mamy przed sobą niezbyt daleką drogę do Chicago.

Do Chicago, stolicy terytorium Zgromadzenia. Widocznie tankowiec znajdował się w rejsie powrotnym, kiedy został w jakiś sposób zaalarmowany przez Marynarkę, by przejąć uciekinierów. Tylko dlaczego?

- Tędy. - Jeden ze strażników wskazał im drogę lufą pistoletu.

Przy świetle latarki trzymanej przez Regana zeszli po drabince w głąb mrocznej, cuchnącej ropą ładowni.

- Proszę się rozgościć - rzekł kapitan. - I nie przejmujcie się, jeśli zacznie wam dokuczać ból głowy. W tamtą stronę płynęliśmy z transportem benzyny lotniczej.

Latarka zgasła, a po chwili klapa wjazdu opadła z hukiem.

- Nie mogę w to uwierzyć - stwierdził Charles. - To jeden z przywódców Zgromadzenia? Na pewno się nie pomyliłaś? - Poszukał w ciemnościach, aż odnalazł jej rękę. Faktycznie ładownia strasznie cuchnęła benzyną.

- Przytul mnie, Charles... - jęknęła Lee, przywierając do niego całym ciałem. - To na pewno Jimmy Regan, a zatem jedna z czołowych postaci Zgromadzenia. Był czarujący w hotelu w Las Vegas, poza tym okazał się smakoszem, kiedy zaprosił mnie do sali balowej i chyba dla efektu zamówił kebab na ognistym mieczu. Ja poprosiłam o jajecznicę w płomienistym sosie na szabli, ale nie zrozumiał tego dowcipu. On także gra w polo, lecz zawsze zostaje w cieniu trzech kolegów z drużyny, gdyż nie jest dość dobry. Ilekroć się z nim spotykałam, wmawiałam sobie, że to jedynie przypadek, ale widocznie realizował zadania Zgromadzenia. Jego ojciec zachowuje się... dziwnie. W ogóle z całą rodziną jest coś nie w porządku, tak jak i z całym Zgromadzeniem. Rozwijają ci pod stopami puszyste dywany, ale zebrani dokoła ludzie wyraźnie się ich boją. Słyszałam wiele plotek, lecz nie dawałam im wiary, a teraz jestem gotowa w nie uwierzyć. Czy wiesz, co by się stało, gdyby mój wuj wyciągnął pistolet, zaczął krzyczeć i zastrzelił kelnera? Mówiono mi, że ojciec Jimmy'ego właśnie tak zrobił. I nic się nie stało, poza tym, że zwłoki wywleczono z sali i wszyscy obecni stwierdzili, że na szczęście Regan dostrzegł, jak tamten wyciąga broń - i strzelił pierwszy. Tylko że kelner nie miał żadnego pistoletu. Po raz ostatni widziałam Jimmy'ego trzy lata temu, od tamtej pory nie byłam na terytorium Zgromadzenia. Nie podobało mi się tam, a teraz już rozumiem, z jakiego powodu. W niedługim czasie terytorium Zgromadzenia ma szansę upodobnić się do New Portsmouth. Coś złego się z nimi dzieje. Od czasu podpisania traktatu w Las Vegas minęło sto lat pokoju, lecz obecnie rzadko kto przekracza granicę, pomijając ludzi z samej góry, takich jak ja, zmuszonych do składania oficjalnych wizyt. Etykieta. Trzeba wykonywać swoje obowiązki, nie zwracając zbytnio uwagi na to, jacy oni są. Teraz sam widzisz, jacy są. Tacy, jak ta ciemna, wilgotna, cuchnąca ładownia. I mój wuj, i wszyscy z rodu Falcaro, i ty, i ja, jesteśmy w porównaniu z nimi jak zalane słońcem łąki. Czyż nie tak? Nie mam racji? - Coraz mocniej zaciskała palce na jego ramionach.

- Uspokój się - rzekł cicho. - Już dobrze. Nic nam nie zrobią. Wszystko będzie w porządku. Myślę, że wiem, co jest grane. To musiał być jakiś prywatny interes Jimmy'ego. Załadowali

statek benzyną oraz amunicją i wyruszyli za ocean. Gdyby ktokolwiek z terytorium Syndykatu ich namierzył, wówczas by sądził, że płyną z ładunkiem rudy przez Atlantyk i Zatokę Meksykańską do Nowego Orleanu. Lecz Jimmy dostarczył swój ładunek do Irlandii albo dowództwu w Islandii. Widocznie zarabia na boku. Nie odważy się wyrzucić nam krzywdy. Obowiązują go przepisy traktatu, a ty jesteś Falcaro.

- Traktat! - parsknęła. - Powtarzam ci, że oni mają go gdzieś. Po tym, jak widziałam wojska rządowe w akcji, zaczynam rozumieć, co się dzieje na terytorium Zgromadzenia. Oni wszyscy są przeciwko nam, i tyle. Już od dawna knują. Weź chociażby sposób, w jaki cię potraktował, ponieważ nie uważa cię za równego sobie! Mój wuj też czasami bezradnie rozkłada ręce, czasami wyrzuca kogoś za drzwi, lecz kiedy indziej mówi wprost, że nie pozwoli sobie tłumaczyć, jak ma wykonywać swoją robotę. To zupełnie co innego. Syndykat traktuje ludzi jak ojciec swoje dzieci, natomiast Zgromadzenie jak pan swoich niewolników. Tam pozycja nie zależy od wieku i zdolności, lecz od przypadkowego rodowodu. Sam mówi: „ty jesteś Falcaro”, i ma to dużą wagę. Dlaczego? Nie dlatego, że przyszedłam na świat w rodzie Falcaro, ale ponieważ pozwolono mi zostać Falcaro. Gdybym nie była wystarczająco bystra i inteligentna, przekazano by mnie do adopcji przed ukończeniem dziesiątego roku życia. Coś takiego jest nie do pomyślenia na terytorium Zgromadzenia. Cokolwiek by los zesłał, Regan to Regan, na wieki wieków. Nawet jeśli jest to paranoik z kompleksami na punkcie konstytucjonizmu, jak ojciec Jimmy’ego, albo głupkawy zboczeniec, jak Jimmy. Na Boga, Charles! Jestem przerażona!

W każdym razie znam tych ludzi i wiem, czego się boję. Musiałbyś zobaczyć Chicago, żeby to zrozumieć. Frontonem do jeziora stoją pałace, wspanialsze niż jakakolwiek budowla u nas. Plac Scratch Street nie może się nawet równać z Regan Memoriał Plaża; olbrzymie, połączane posągi z marmuru na ponad stumetrowym heroicznym fryzie! Lecz domy mieszkalne można zobaczyć jedynie przez przypadek; szare, betonowe kamienice pochodzące z okresu Trzeciego Pożaru! Wychudzone dzieci, mężczyźni o nalanych, świńskich pyskach, kobiety z figurami przypominającymi antałki do piwa, a wszyscy gapią się na ciebie takim wzrokiem, jakby za chwilę mieli ci z wielką radością poderżnąć gardło. Do tej pory nie rozumiałam tych nienawistnych spojrzeń, sam zresztą nie pojmiesz, o czym mówię, dopóki ich nie zobaczysz na własne oczy...

Charles nie mógł się z tym wszystkim pogodzić, jakoś nie pasowało mu to do przyjętej wizji standardu życia w Ameryce Północnej; Lee Falcaro musiała się mylić albo wpadała w histerię.

- Spokojnie - mruknął głaszcząc ją po włosach. - Nic nam nie robią. Wszystko będzie w porządku.

Lee odsunęła się od niego i wrzasnęła:

- Właśnie, że się nie uspokoje! Mówię ci, że oni są szaleni! Dick Reiner miał rację, musimy się rozprawić z rządem. Ale rację miał także Frank Taylor, powinniśmy uderzyć na Zgromadzenie, zanim oni nas zaatakują. Mam wrażenie, że oni wszyscy umarli i rozkładają się w coś tak potwornego, czego nie zniesiemy. Jeśli pozwolimy im dalej rządzić o krok od nas na kontynencie, ten smród nas zaleje i otruje. Musimy coś zrobić! Musimy podjąć jakies działania!

- Jakie?

To pytanie otrzeźwiło ją nieco, lecz po chwili zaczęła chichotać.

- Szczęśliwy, radosny Syndykat - parsknęła - który siedzi sobie spokojnie, podczas gdy

wilki zza morza i maniacy z drugiego brzegu Missisipi szykują się do napaści. Właśnie, co możemy zrobić?

Ani rzeczowość, ani abstrakcyjne myślenie nie należały do mocnych stron Charlesa Orsino. Zdawał sobie z tego sprawę. Wiedział, że znalazł się pod opieką F. W. Taylora dzięki swej energii i swobody w nawiązywaniu kontaktów z ludźmi. Mimo wszystko pewne elementy w sposobie rozumowania Lee wydawały mu się straszliwie naciągane.

- Tą drogą do niczego nie dojdziemy. Lee - rzekł w zamyśleniu. - Niewiele posiadałem z mądrości wuja Franka, zapamiętałem jednak, że bardzo szybko wpada się w kłopoty, jeśli człowiek buduje na swój użytek fałszywy obraz świata i zaczyna działać tak, jakby ten obraz był prawdziwy. Nie możesz traktować Syndykatu jak siedzącej spokojnie gromadki. Ludzie z rządu to nie wilki, a w Zgromadzeniu nie zasiadają sami maniacy. Oni nie czyhają na okazję, by na nas napaść. Na Syndykat nie można tak po prostu napaść. To grupa ludzi mających wysokie morale i cieszących się zaufaniem społeczeństwa.

- Wiara to wspaniała rzecz - odparła Lee z goryczą. - Gdzie się tego nauczyłeś?

- Od moich znajomych, ludzi, z którymi pracowałem; od barmanów, bookmacherów i gliniarzy. Od porządnych obywateli.

- A czego się nauczyłeś od tych przerażonych nieszczęśników z Riveredge? Co powiesz o tej starej babie z organizacji DAR, która przerzuciła mnie za granicę na pokładzie łodzi patrolującej wybrzeże? A o neurozach i psychozach, które odkryłam na nowo przeglądając prace Liebermana? To nie sam rząd Ameryki Północnej przeraża mnie tak bardzo, Charles, ale świadomość, że on współpracuje ściśle z organizacjami na kontynencie. Przeraża mnie to, że stosunek sił wynosi trzy do jednego; przeciwko Syndykatowi jest i Zgromadzenie, i rząd, a także grupy naszych własnych, nie zrównoważonych obywateli.

Wuj Frank nigdy nie używał słowa „obywatele” bez odnośnego komentarza. „My nie jesteśmy rządem!” - wykrzykiwał. „Nie jesteśmy rządem! Nie wolno nam myśleć tak jak ci z rządu! Nie możemy operować pojęciami obowiązków, powinności i długów. Musimy się opierać tylko na lojalności, która wiąże razem ludzi tworzących Syndykat!” Wuj Frank rzadko opuszczał swój gabinet, ale kiedyś w centrum medycznym posunął się do tego, że za pomocą swojej laski rozwalił świeżo założoną przez pewnego młodego lekarza kartotekę, wrzeszcząc: „Następny dureń, który odważy się układać fiszki w szufladkach, zapłaci za to głową! Po co nam, do cholery, kartoteki? Czy mamy wystarczająco dużo lekarzy i miejsc w szpitalu, czy też nie? Jeśli tak, to zajmujmy się każdym potrzebującym pomocy. Jeśli nie, to wsadźmy go do karetki i zawieźmy do innego szpitala. A gdy jeszcze raz usłyszę z waszych ust choć słowo na temat „wydajności...” Obrzucił wtedy zebranych piorunującym spojrzeniem i wspierając się na ramieniu Charlesa, wyszedł z pokoju. „Wydajność!” - parsknął w korytarzu. „Co jakiś czas przychodzą do mnie mądrale, szepcząc do ucha, że temu czy tamtemu coś uszło bezkarnie; że dochody są o dziesięć procent niższe niż zakładano; że Fundacja Falcaro ciągnie resztkami sił, ponieważ piętnaście procent zasiłków otrzymują ludzie, którzy wcale nie potrzebują pomocy; że osiem procent ludzi, którzy dostają emerytury, wcale nie przekroczyło jeszcze sześćdziesiątki. A wszyscy powtarzają, że musimy zwiększyć wydajność. Podwoić dochody przez wprowadzenie trzeciego stopnia kontroli, szukać oszczędności na drodze zmiany statusu Fundacji i poprzez założenie wspaniałego systemu statystycznego, dzięki któremu będzie można kontrolować pobierających zasiłki. Tak! Zatrudnić ludzi, którzy będą sprawdzali zamiast zbierać podatki, i narobić sobie wrogów, jeśli kogoś złapiemy na drobnym oszustwie. Przerobić opiekuńczą, hojną dłoń Fundacji na łapę skąpego Scroodge’a i zastąpić wiarę ludzi

w czekającą ich spokojną starość troską szukania sposobów na ominięcie przepisów. Założyć szczegółowe kartoteki, w których będą zbierane wszelkie fakty z życia ludzi, od ich narodzin aż do śmierci, zawierające numery statystyczne, odciski palców i dane meldunkowe. A może mamy też zbudować komory gazowe dla tych, co zapomnieli powiadomić o zmianie adresu? Wiesz, co dolega tym mądralom, Charles? Obstrukcja! Oni chcieliby, żeby cały świat miał taką samą obstrukcję!” Orsino przypomniał sobie, że kiedy tylko wuj skończył ozdabiać wypracowaną naprędce teorię wyszukanyimi, skatologicznymi elementami, szybko odzyskał dobry humor i zaśmiał się w głos.

- Syndykat to przetrzyma - oznajmił Lee Falcaro, myśląc cały czas o swym wuju, który dobrze wiedział, co robi; o Edwardzie Falcaro podejmującym właściwe decyzje bez zagłębiania się w motywy swego działania; o swych przyjaciółach ze sto pierwszego komisariatu policji; o tym rozwrzeszczanym, uradowanym tłumie na placu Scratch Street; o ludziach dobrego serca z dwudziestej szóstej Stacji Remontowej w Riveredge, których obojętność i brak tolerancji wynikały jedynie z jego zachowania i stanu, w jakim się znajdował. - Nie wiem, do czego dąży Zgromadzenie, i sporo wycierpiałem ze strony rządu. Nie przeczę również, że wśród naszych obywateli są jednostki, którym chyba nie można w żaden sposób pomóc. Ale mam wrażenie, że zbyt ostro oceniasz zarówno Zgromadzenie, jak i rząd czy naszych odszczepieńców. Możliwe, że twoja wiedza na temat zwyczajnych ludzi jest nieco powierzchowna. W każdym razie nie pozostaje nam nic innego, jak czekać.

- Masz rację - odparła. - Nie pozostaje nam nic innego, jak czekać. Do czasu zawinięcia do Chicago możemy jeszcze liczyć na siebie nawzajem.

## ROZDZIAŁ XVIII

Byli tak otumanieni od oparów benzyny, że szybko stracili rachubę mijających dni. Od czasu do czasu przynoszono im żywność, lecz ta również smakowała jak benzyna. Bez przerwy dokuczał im ból głowy, a pulsowanie w skroniach było nie do zniesienia. Kiedy wreszcie Lee dostała nie kończących się torsji, Charles zaczął walić pięściami w pokrywę luku i wrzeszczeć, lecz odpowiedzią było tylko głośnie echo w ogromnej ładowni.

Dopiero po godzinie zjawił się Regan. Kłapa została podniesiona, a oczy Charlesa poraziło jaskrawe światło.

- Jakież kłopoty? - zapytał uśmiechnięty Regan.

- Panna Falcaro jest bardzo chora - odparł Orsino tak chrapliwym głosem, jakby ktoś pociągnął szewską skrobaczką po blasze. - Chyba nie muszę ci mówić, że twoje życie nie będzie warte złamanego szeląga, jeśli ona umrze, a wieść o tym dotrze do Syndykatu. Trzeba ją stąd zabrać i otoczyć opieką lekarską.

- Makaroniarz grozi mi śmiercią? - zapytał rozbawiony Regan. - Przecież sam mówiłeś, że Syndykat to tylko morale, ludzie i zaufanie społeczne, a nie prężna organizacja. Zgadza się, jest tu założony podsłuch; żebyście nie czuli się tak swobodnie. Zapewne dowiesz się z przyjemnością, że dogłębnie zastanawiałem się nad sprawami poruszonymi w waszej rozmowie. Z drugiej jednak strony nie mielibyśmy żadnego pożytku z martwej Falcaro, a ponieważ znajdujemy się już w pobliżu jeziora Michigan, chyba nic się nie stanie, jeśli wyjdziecie z ładowni. Ty ją poniesiesz, dobrze? Ja wskażę drogę. Chciałbym jeszcze przypomnieć, że być może nie jestem tylko drugorzędnym graczem polo, jak ona mnie określiła, lecz także ekspertem w posługiwaniu się bronią krótką. Ruszaj.

Charles miał wrażenie, że nie zdoła utrzymać się na własnych nogach, lecz za nic w świecie nie chciał przed Reganem pokazać po sobie słabości. Musiał dać z siebie wszystko. Zarzucił półprzytomną Lee na ramię i chwiejnym krokiem ruszył w stronę luku. Regan kurtuazyjnie odsunął się z przejścia.

- Prosto przed siebie i w górę po drabince. Odstąpię wam własną kajutę. Już niedługo zawiniemy do portu, jakoś dam sobie radę.

W małej, lecz bogato, wręcz z przepychem urządzonej kajucie Orsino złożył Lee na łóżku. Regan wydał kilka rozkazów przez tubę i wkrótce zjawił się jakiś oficer z walizką lekarską.

- Proszę zrobić dla niej co tylko w pańskiej mocy - polecił Regan, po czym zwrócił się do stojącego na warcie marynarza. - Miej na nich oko. Nie wolno im tu niczego tknąć. Gdyby przysporzyli ci kłopotów, masz wolną rękę, żeby nauczyć ich potulności. - Wyszedł, pogwizdując jakąś skoczną melodię.

Oficer skrzywił się, zajrzał do walizeczki i z ociąganiem przemył twarz Lee Falcaro. Strażnik przyglądał się temu z obojętną miną. Miał prawie dwa metry wzrostu i z pewnością nie spędził kilku ostatnich dni na wdychaniu oparów benzyny. Czując, że łomot w skroniach przybiera jeszcze na sile w zetknięciu ze świeżym powietrzem, Charles opadł ciężko na krzesło, zamknął oczy i jęknął.

- Zanim znajdzie pan przyczynę nękających ją wymiotów, czy mógłby mi pan dać trochę aspiryny?

- Słucham? Nie otrzymałem żadnych poleceń odnośnie pana. Byliście razem w trzeciej

ładowni? Chyba nic wam nie będzie. Proszę. - Wysypał na dłoń Charlesa kilka tabletek. - Daj mu szklankę wody - polecił marynarzowi.

Ten przyniósł wodę z sąsiedniej umywalni. Orsino łyknął aspirynę i popił ze szklanki. Oficer ze zmarszczonym czołem zagłębił się w jakiś podręcznik.

- Zna się pan na medycynie? - zapytał.

Charles, który czując, że uporczywy ból rozlewa się równomiernie po całej głowie i staje się tym samym mniej dokuczliwy, powoli zapadał w sen, zmusił się do odpowiedzi.

- Mam trochę doświadczenia z treningów atletycznych. Sam nie wiem. Może jej dać morfinę? A może kurarę?

Oficer przerzucił energicznie kilka kartek.

- Tu nic nie ma o wymiotach - rzekł. - Radzą jednak podać kurarę przy skurczach mięśniowych, a chyba z tym mamy również do czynienia. Potrzebna jest zawiesina lipidowa, żeby środek powoli rozchodził się we krwi i był wchłaniany stopniowo. W każdym razie nie umrze, jeśli dostanie małą dawkę...

Spod przymrużonych powiek Charles dostrzegł, że za plecami oficera Lee sięga do walizeczki; strażnik odwracał już głowę w tamtym kierunku. Nie zważając na łomotanie w skroniach, poderwał się na nogi i ruszył w stronę umywalni. Marynarz chwycił go za rękę.

- Chwileczkę, proszę pana. Dokąd się pan wybiera?

- Po drugą szklankę wody...

- Ja podam. Słyszał pan, jakie otrzymałem rozkazy.

Charles usiadł z powrotem. Kiedy ponownie zerknął w stronę łóżka, Lee leżała spokojnie z rękami ułożonymi wzdłuż ciała; oficer pieczołowicie sprawdzał dawki wypisane w książce z ustawieniem ciśnieniowego pojemniczka zawierającego działający podskórnym środkiem.

W końcu westchnął i zwrócił się do Lee:

- Niczego pani nie poczuje. Proszę się odprężyć.

Raz jeszcze sprawdził ustawienie tłoka w pojemniku, zajrzał do książki, wreszcie przytknął igłę do skóry na przedramieniu Lee i nacisnął zawór. Rozległ się krótki syk. Charles wiedział, że mikroskopijne kropelki cieczy wdarły się pod skórę z taką szybkością, iż nerwy nie zdążyły odnotować bólu.

Kiedy marynarz przyniósł mu szklankę wody, Charles wypił ją duszkiem. Oficer spakował pojemnik ciśnieniowy, zamknął walizeczkę i rzekł niezbyt pewnym tonem:

- To powinno pomóc. Gdyby... gdyby coś się stało, albo lekarstwo nie działało, proszę mnie wezwać i spróbujemy czegoś innego, może morfiny...

Po jego wyjściu Charles zagłębił się w krzesło. Mimo dotkliwego bólu ogarniała go coraz większa senność, z którą walczył ze wszystkich sił. Strzepnął jakiś paproch ze swojej piersi, po czym zapytał strażnika:

- Czy mógłbym trochę oczyścić tę panią i siebie z brudu?

- Proszę bardzo, możecie skorzystać z umywalni. Tylko nic nie kombinujcie.

Marynarz zajął posterunek w przejściu do łazienki, zerkając to na Charlesa przy zlewie, to na leżącą bez ruchu Lee. Orsino najpierw usunął z siebie grubą warstwę brudu i smarów, a następnie podszedł ze zwilżoną ściereczką do koi. Dreszcze Lee Falcaro wyraźnie osłabły; kiedy przemywał jej twarz, uśmiechnęła się nawet do niego i puściła oko.

- Jesteście małżeństwem? - zapytał strażnik.

- Nie - odparł Charles.

Lee ociężale uniosła prawą rękę, którą starał się doczyścić, a gdy ujął jej dłoń, poczuł



w palcach niewielki cylinder. Niepostrzeżenie wsunął go do kieszeni i pospiesznie dokończył toaletę.

Wkrótce ponownie zjawił się oficer z kartonikiem mleka.

- Lepiej się pani czuje?

- Tak - szepnęła Lee.

- To dobrze. Proszę to wypić.

Wyraźnie podniesiony na duchu skutecznością własnej terapii siedział przy niej przez dobry kwadrans, raz za razem wlewając jej w usta po odrobinie mleka, którego dziewczyna nie wymiotowała. Zasypywał ją przy tym wizjami rychłego ozdrowienia. W tym samym czasie Charles zdołał zapoznać się z niezwykłą zdobyczą, którą przekazała mu Lee. Był to ciśnieniowy pojemnik z igłą, zawierający roztwór siarczanu morfiny - pełen i gotów do użycia. Orsino zerwał kapturek ochronny i czekał nadarżającej się okazji.

Kiedy oficer wyszedł, Lee skrzywiła się i cichym szeptem przywołała pilnującego ich marynarza. Mamrotała tak niewyraźnie, że strażnik musiał się pochylić nad koją, żeby coś usłyszeć. Charles wykorzystał to, przytknął igłę do jego wyświechtanych na tyłku spodni i opróżnił pojemnik, aplikując mu od razu kilkanaście jednomililitrowych dawek. Po chwili marynarz podrapał się po pośladku i rzekł:

- Musi pani mówić głośniej. Nic nie rozumiem.

Potem zachichotał, potoczył dokoła przekrwionymi ślepiami i runął na podłogę, wywracając oczy białkami do góry.

Lee ociężale usiadła na koi.

- Bulaj - powiedziała.

Charles podbiegł do iluminatora, chwycił za rączkę i szarpnął. Bulaj otworzył się... lecz na całym statku rozbrzmiały dzwonki alarmowe. Dopiero teraz Charles zauważył przerwany, cieniutki niczym włos drucik.

Za drzwiami rozległy się szybkie kroki i zagrzmiął głos Regana:

- Stójcie, głupcy! Hej, ty tam! Wszystko w porządku? Czy oni próbowali coś otwierać?

Charles nie odpowiedział i ruchem głowy dał znać Lee, żeby milczała. Podniósł krzesło i stanął za drzwiami. Regan mruknął coś jeszcze, ale tak cicho, że trudno było rozpoznać słowa. Drzwi odskoczyły z hukiem. Orsino zamachnął się krzesłem, a przez głowę przemknęło mu, że jest ono niezwykle lekkie.

Regan, który stanął w wejściu z pistoletem w dłoni, runął na ziemię z rozwaloną czaszką. Charles miał wrażenie, że specjalnie dla niego czas zwolnił swój bieg. Sięgnął po pistolet i wymierzył w stronę narastającego szumu głosów, który w jego uszach brzmiał jak nagranie odtwarzane z dwukrotnie mniejszą szybkością. Opróżnił cały magazynek, strzelając w głąb korytarza. Pistolet był w pełni automatyczny, więc huk piętnastu wystrzałów zlał się w jeden, jakby ceremonialny salut. Na szczęście Regan w swej próżności nosił przy sobie dwa pistolety. Orsino sięgnął po drugi i rzucił krótko Lee:

- Wiejemy.

Pognał pustym korytarzem i zbiegł po drabince, zmierzając w stronę ładowni, w której ich trzymano; miał świadomość, że Lee biegnie za nim. Na ścianach migotały czerwone światła alarmowe. Kiedy mijali grubą, pomalowaną na czerwono rurę, z której wystawały liczne kurki i manometry, w biegu przełączył pistolet na ogień pojedynczy, odwrócił się i posłał w rurę trzy pociski. Po ostatnim strzale dał się słyszeć stłumiony huk oznaczający eksplozję oparów benzyny. Dokoła posypały się odłamki blach i fragmenty rur. Pobiegli dalej.

Przed nimi wyłoniła się postać marynarza.

- Do cholery, co tam się stało, kolego? Co wybuchło?

- Gdzie jest maszynownia? - wycedził Charles, przytykając lufę pistoletu do piersi tamtego.

Marynarz jęknął i bez słowa wskazał kierunek.

- Zaprowadź nas tam. Szybko.

- Posłuchaj, kolego...

Charles pośpiesznie objaśnił mu w detalach, gdzie i w jaki sposób zamierza go postrzelić. Tamten zbladł i zaprowadził ich na dół, potem długim korytarzem, aż do hali reaktora. Trzej mężczyźni w białych fartuchach obrzucili pogardliwymi spojrzeniami intruzów, którzy wtargnęli do ich błyszczącego nienaganną czystością pomieszczenia.

Najstarszy z techników wycedził zdumiony:

- A co wy tu robicie, marynarze, jeśli wolno zapytać...?

Lee zamknęła za sobą opancerzone drzwi.

- Ogłoście alarm radiacyjny! - rozkazała.

- To niemożliwe. Zapewne jesteście tą parą, która...

- Ogłoście alarm radiacyjny! - Lee chwyciła ze stołu cyrkiel i z miną mordercy podeszła do technika. Ten wciągnął głęboko powietrze, gdy ujrzał igły przyrządu tuż przed swymi oczami.

- Ogłoście alarm radiacyjny! - powtórzyła dziewczyna.

Nikt, nawet Charles, nie miał wątpliwości, że szpikulce zostaną wbite w oczy technika, jeśli odmówi wykonania rozkazu.

- Zrób to, Will - mruknął szef obsługi, nie spuszczać wzroku z cyrkla. - Zróbcie to, co każe, na miłość boską! Ona jest szalona!

Jeden z mężczyzn powoli uczynił dwa kroki, wpatrując się w Charlesa i w wymierzony w siebie pistolet, sięgnął do czerwonej dźwigni i pociągnął ją w dół. Wzdłuż ściany hali wysunęła się z podłogi bariera z żelazobetonu, odcinając ich od reszty statku, a w korytarzach rozbrzmiało jęgliwe wycie syren, oznajmiające alarm radiacyjny.

- Zatopcie blok reaktora! - rzucił Orsino, ostrożnie rozglądając się na boki. Znalazł wyjście awaryjne: oznakowane czerwoną farbą okienko, które należało wybić, jak w każdym laboratorium radiochemicznym.

- Nie możemy tego zrobić! - jęknął technik. - W żadnym wypadku! W reaktorze siedzi tor wartości miliona dolarów, ludzie poświęcili sto lat życia, żeby go wydobyć. Miej serce, człowieku! Rozszarpia nas na strzępy!

- Później wydobędą go z dna - odparł Charles. - Zatopcie reaktor.

- Zatopcie blok reaktora! - powtórzyła Lee, która nawet się nie poruszyła.

Najstarszy z techników nadal wpatrywał się w wycelowane w niego szpikulce cyrkla, a z jego oczu płynęły łzy.

- Zatopcie go - powiedział.

- W porządku, szefie. Nie zapominaj, że to ty jesteś tu za wszystko odpowiedzialny.

- Zatopcie go! - krzyknął tamten.

Technik uderzył w kilka klawiszy na pulpicie kontrolnym. Po chwili umilkł jednostajny szum turbin, a podłoga pod ich stopami zaczęła drżeć.

- Rozbij tamtą pokrywę, Lee - rzekł Charles.

Dziewczyna podbiegła i stuknęła osłonę. Orsino ruszył za nią w stronę owalnego włazu. Pomieszczenie, w którym się znalazł, przypominało wnętrze dzwonu do nurkowania połączonego na stałe z kadłubem statku. W podłodze znajdowały się szerokie, oświetlone od

wewnątrz luki, przez które można było zejść prosto do wody i przepłynąć pod krawędzią dzwonu. Charles rzucił pistolet do wody, kilkakrotnie odetchnął głęboko i zaczął schodzić po drabince. Nigdzie nie było śladu Lee.

Popłynął, mocno pracując rękami i nogami, by jak najszybciej oddalić się pod powierzchnią od statku. Pomyślał, że los im sprzyja. Mając na pokładzie pożar, alarm radiacyjny i trupa kapitana, załoga powinna myśleć o wszystkim, tylko nie o tym, by wypatrywać na wodzie sylwetek uciekinierów.

Wynurzył się i spokojnie popłynął dalej tak, aby stanowić jak najmniejszy cel. Nie oglądał się na statek. Jego ciemne włosy były z pewnością gorzej widoczne niż jasna plama twarzy, a gdyby miała wystrzelić w jego kierunku seria z automatu, to wołał o tym nie wiedzieć. Przez chwilę widział przed sobą blond włosy Lee, lecz dziewczyna zaraz ponownie zniknęła pod wodą. Charles nabrał głęboko powietrza, zanurkował i popłynął ku niej.

Kiedy się wynurzył, dostrzegł na niebie jasną łunę pożaru; w powietrzu niósł się głośny ryk płonącej benzyny.

Zanurkował ponownie i tym razem dosięgnął Lee. Oczy miała zamknięte, a jej twarz okrywała trupia bladość. Charles nie miał pojęcia, skąd dziewczyna czerpie jeszcze siły, żeby płynąć. Za nimi ze statku bił w niebo gęsty słup dymu; zawodzący jęk syren alarmowych był z tego miejsca już słabo słyszalny. Przed sobą dostrzegli niewyraźny zarys linii brzegowej.

Charles chwycił Lee za ramię, lodowato zimne od przebywania w marcu w wodach jeziora Michigan, przerzucił je sobie przez szyję i popłynął w stronę brzegu. Przy każdym oddechu paliło go w płucach, a świat skrywał się za mgłą w przemęczonych oczach. Pracował ciężko jedną ręką, myśląc za każdym razem, że nie da rady wykonać następnego ruchu, lecz jakimś cudem zmuszał się do tego, aby go uczynić.

## ROZDZIAŁ XIX

Niełatwo było się wyrwać w godzinach pracy z wytwórni obrazów olejnych. Dlatego Ken Oliver wszedł do pachnącej środkami antyseptycznymi poczekalni centrum medycznego w Michigan City nieco spóźniony. Zawieszony pod sufitem, czuł na ciepło ludzkiego ciała mikrofon obrócił się w jego stronę i obniżył nad krzesłem, które zajął Ken. Z głośnika popłynął metaliczny głos:

- Proszę podać przyczynę wizyty.

Nieco zdumiony Oliver odwrócił się w jego kierunku.

- Nazywam się Ken Oliver, jestem rysownikiem w dziale niebieskim Korporacji Obrazów Olejnych i Grafik Picassa. Doktor Latham przysłał mnie tu na... jak wy to nazywacie?... na biopsję.

- Dziękuję, proszę usiąść.

Ken uśmiechnął się, ponieważ już siedział. Sięgnął po czasopismo, najświeższy numer „Wiadomości Sportowych Illinois”, zwanych potocznie Zielonym Zeszytem. Czytali go wszyscy na terytorium Zgromadzenia; istniało nawet specjalne wydanie Hawthorne’a dla niewidomych, drukowane alfabetem Braille’a, a jeśli ktoś w dodatku nie miał także rąk, mógł zamówić taśmę z dźwiękową wersją pisma.

Pobieżnie przejrzał ostatnie wyniki rozgrywek ligowych i otworzył Zeszyt na dłuższych artykułach. Hasło miesiąca brzmiało: „Dzięki Bogu umieram na raka krtani”.

Ken odchylił się na oparcie krzesła, a wewnątrz poczekalni zawirowało mu przed oczami. Nie, to niemożliwe, pomyślał.

Mam tylko mały guz w głębi gardła, nic więcej. Tylko mały guz w gardle. Nie trzeba było chodzić do Lathama. Ceny są astronomiczne, a ja znowu nie mam pieniędzy. Jak zawsze brakuje mi forsy. Ale rak... tak bardzo wiele osób zapada teraz na raka... a na to żadne narkotyki nie pomagają... Przecież Latham obiecywał, że ten guz nie jest złośliwy...

- Panie Oliver - padło z głośnika. - Proszę przejść do gabinetu doktora Riordana. Pokój numer dziesięć.

Riordan okazał się młodszy od Olivera. Oznaczało to, że mógł być dość kiepskim praktykiem, choć niezłym specjalistą. Riordan, szczupły mężczyzna o surowych rysach twarzy, specjalizował się w patologii.

- Dzień dobry. Proszę tutaj usiąść i otworzyć usta. Szerzej. Niech się pan odpręży, muszę zajrzeć do głośni.

Oliver nie zdążył zaprotestować, kiedy lekarz przycisnął mu język plastikową szpatułką pachnącą alkoholem. Poczul w gardle dotyk czegoś zimnego; omal nie podskoczył na krześle, gdy rozległ się metaliczny szcęk. Riordan wyjął narzędzia z jego ust, odwrócił się tyłem i wcisnął klawisz interkomu, przywołując kogoś z zewnątrz. Niemal od razu do gabinetu wszedł jakiś młokos.

- Zamrozić, pobrać wycinek i przygotować preparat - rzucił patolog, wręczając asystentowi szczypce, z których zwisał jakiś kawałek tkanki. - I niech mi przyślą fiszki Rotino, od trzysetnej do dziewięćsetnej włącznie.

Zaczął wypełniać karty chorobowe, nie zwracając najmniejszej uwagi na Olivera, który siedział bez ruchu i pocił się obficie. Po dziesięciu minutach lekarz wyszedł, a po dalszych pięciu wrócił.

- To nowotwór - rzucił krótko - ale da się bez trudu usunąć operacyjnie.

Napisał kilka słów na kartce i wręczył ją pacjentowi. Oliver ledwie mógł odczytać: „...przedni... nabłonkowy... metastaza... wielkokomórkowa...”

- Proszę oddać tę kartkę Lathamowi - rzekł Riordan. - To moja diagnoza. Niech on umówi pana z chirurgiem. A co się tyczy operacji, to im szybciej, tym lepiej, bo potem może trzeba będzie usunąć całą krtań. Płaci pan pięćdziesiąt dolarów.

- Pięćdziesiąt - powtórzył oszołomiony Ken. - Doktor Latham mówił, że... - Urwał w połowie zdania i wyciągnął książeczkę czekową.

Miał na koncie tylko trzydzieści dwa dolary, ale dzisiaj powinien zdeponować czek z wypłatą, zatem w sumie by mu wystarczyło. Minęła już trzecia, więc i tak suma nie została by już dzisiaj dopisana do konta... Z ociąganiem wpisał należność na czeku.

Riordan przyjął go, obejrzał dokładnie, po czym wrzucił do szuflady i rzekł:

- Życzę miłego dnia, panie Oliver.

Ken wolnym krokiem wyszedł z przychodni mieszczącej się w centrum handlowym dzielnicy artystycznej. Z kominów zakładów Van Gogha buchały kłęby gęstego dymu, a w powietrzu unosił się intensywny zapach oleju lnianego i terpentyny. Widocznie musieli dostać jakieś duże zamówienie z Meksyku, pomyślał. Za to długa kolejka oczekujących przed zamkniętą bramą spółki Rembrandt Ltd. oznaczała, że ci nie mieli szczęścia. Stali już chyba od miesiąca i nic nie wskazywało na to, że znajdą jakąś pracę. Ktoś w wielkim pośpiechu minął Kena na chodniku, omal nie potrącając. Oliver westchnął. Z każdym dniem miasteczko coraz bardziej upodabniało się do Chicago. Znowu nawiedziła go myśl, że został artystą nie z powodu jakiegoś specjalnego utalentowania, lecz dlatego, że według niego artystom żyło się nieco lepiej; nie ćpali na umór i nie zapijali się na śmierć, jeśli w ogóle sięgali po alkohol.

Przestań się okłamywać, podpowiedział mu jakiś wewnętrzny głos. Idź do Lathama. Przecież lekarz stwierdził: „im szybciej, tym lepiej”.

Oliver poszedł do Lathama, lecz tu poczekalnia pełna była rozwścieczonych kobiet. Dopiero po godzinie wszedł, do gabinetu i wręczył lekarzowi kartkę.

- Zatem nie ma się czym martwić - oznajmił lekarz. - Riordan to świetny specjalista. Jeśli twierdzi, że guz się da usunąć, to znaczy, że się da. Teraz umówię pana z Finsenem. Gdy on się panem zajmie, to nie będzie pan musiał się o nic martwić. To świetny chirurg. Bierze tylko półtora tysiąca.

- Och, mój Boże! - jęknął Oliver.

- O co chodzi? Nie ma pan pieniędzy?

Ku swemu zdumieniu i zaskoczeniu, Oliver zaczął wygłaszać przed doktorem Lathamem histeryczną tyradę na temat tego, z jakich powodów nie ma pieniędzy, bo kto je ma, i w ogóle jak można sobie poradzić, kiedy ceny tak szybko rosną, a każdy czyha, żeby wykantować człowieka, gdy ten tylko się odwróci, i że owszem, dotyczy to również lekarzy, a jeśli komus uda się schować parę dolarów w kieszeni, to wszyscy sprzedawcy, jakby wiedząc o tym, zaczynają go namawiać, aż w końcu zgodzi się na zainstalowanie takiego czy innego szmelcu, który wcale nie był mu potrzebny, i w ogóle co to za życie, do jasnej cholery.

Latham słuchał tego, uśmiechał się i kiwał głową, aż OHver zdał sobie w końcu sprawę, że tamten nie zwraca na niego najmniejszej uwagi, stopniowo ściszył głos i umilkł.

- Zatem jak pan sobie życzy - powiedział doktor. - Proszę wpaść, kiedy upora się pan z kłopotami finansowymi, wtedy umówię pana z Finsenem. To świetny fachowiec, nie będzie się pan musiał o nic martwić. I proszę pamiętać: im szybciej, tym lepiej.

Ken pospiesznie opuścił gabinet i udał się wprost do budynku Zgromadzenia, do Fundacji Dobroczynnej Regana. Ale tam panienska zrzedliwym głosem szybko pozbawiła go wszelkich złudzeń.

- Powinien się pan wstydzić za tak bezczelne wyłudzenie pieniędzy Fundacji, kiedy wielu ludzi jest w potrzebie i nie można wszystkim pomóc! Nie, nie chcę więcej słyszeć żadnych wyjaśnień i żadnych prósb. Inni czekają w kolejce.

Na co? Na takie samo odesłanie z kwitkiem? - pomyślał.

Dopiero teraz Ken uzmysłowił sobie, że nie zadzwonił do swego kierownika, tak jak obiecywał, a była już za cztery piąta. Znalazł budkę telefoniczną zajęta przez jakąś grubą babę i zaczął nerwowym krokiem chodzić dokoła. Kobieta go zauważyła, pogardliwie wydeła wargi, odwiesiła słuchawkę, ale nie wyszła z budki. Pogrzebała w torebce, wyciągnęła kolejną monetę i z namaszczaniem nakręciła numer. Pożegnała odchodzącego Kena złośliwym uśmiechem. Oliver był zdruzgotany; do tej pory miał czystą kartotekę, ale ten fakt na pewno zostanie w niej odnotowany. Teraz wystarczył jeden czy drugi czarny znaczek przy nazwisku i każdego dnia można się było spodziewać: bingo.

Bank Kredytowy był, rzecz jasna, otwarty. Przez okno popatrzył na przystojnych młodzieńców i ponętne panienski, które czekały tylko, by móc przyjść każdemu z pomocą, bez względu na wielkość potrzeb finansowych. Energicznym krokiem wszedł do środka i został przyjęty w gustownym kantorku przez sympatyczną, piersiastą blondynkę o słodkim głosiku. Musiał jedynie podpisać całą stertę dokumentów, korzystając z pomocy urzędniczki o jedwabistych dłoniach, i wkrótce wyszedł z czekiem na półtora tysiąca dolarów. Jedynie Bóg i członkowie zarządu banku wiedzieli, co figurowało na dokumentach, które podpisał. Niektórzy koledzy z pracy twierdzili, że zapożyczyli się w Banku Kredytowym niemal do końca życia. Inni mówili wprost, że bank był własnością Fundacji Dobroczynnej Regana, co zdawało się jawnym kłamstwem.

Na ulicach było pełno ludzi, przeważali jednak nie spokojni artyści, lecz muskularni obcy, ubrani w stylu chicagowskim, którzy przyglądali się przechodniom, a jeśli ktoś miał odwagę spojrzeć im w oczy, dostrzegał błyski okrucieństwa.

Ken się przestraszył. Skręcił w boczną uliczkę i poszedł do domu, gdzie miał nadzieję znaleźć nieco wytchnienia. Nie mógł jednak uspokoić zszarganych nerwów. Drzwi bloku otworzyły się posłusznie, kiedy stanął przed nimi i powiedział głośno: „Regan”, za to winda ani drgnęła, gdy kazał się zawieźć na szóste piętro. Splunął z goryczą i powtórzył wyraźnie: „Szóste piętro!” Tym razem ruszyła z cichym szumem, po czym wysadziła go na siódmym piętrze. Ociężale zszedł po schodach, stanął przed drzwiami swojego mieszkania, rozejrzał się uważnie na boki i szepnął: „Błękit kobaltowy”. Wszedł do mieszkania i w pierwszej chwili chciał zadzwonić do doktora Lathama, zrezygnował jednak. Zagłębił się w szaroburym fotelu i popatrzył na automatyczny mikrofon Hawthorne’a, który kosztował go dwieście pięćdziesiąt dolarów, sunący bezmyślnie pod sufitem w jego kierunku. Wcisnął klawisz wieży hi-fi, kosztującej sześćset dolarów, i ta zaczęła odtwarzać muzykę z tkwiącej w niej kasyety. Pokój wypełnił czysty, melodyjny dźwięk trąbki, ale zamilkł po dwóch taktach, ustępując miejsca smyczkom oraz instrumentom dętym, które podjęły ten sam temat...

Oliver wyłączył magnetofon; kropelki potu zbierały mu się nad brwiami. Rozpoznał „Zaginioną Symfonię” Gershwina i przypomniał sobie, w jaki sposób umarł kompozytor: miał jakiś niewielki guz w mózgu. On zaś ma niewielki guz w gardle.

Czas, ten Wielki Kpiarz! Lata mijały. Nie wiadomo, kiedy człowiek dobiegał wieku

średniego i zaczął łączyć po lekarzach z taką czy inną dolegliwością, aż wreszcie dowiadywał się, że trzeba mu wyciąć kawałek krtani, bo inaczej umrze w męczarniach. I co się z tego miało? Skromne mieszkanie, przepustkę podrózną, nie spłacony dług w Banku

Kredytowym, kupę niepotrzebnych sprzętów i do tego pracę, która była o wiele cięższym jarzmem, niż ktokolwiek doświadczył w barbarzyńskich czasach rządu. Czy właśnie o to walczyli Regan i Falcaro?

Rozmroził hamburgera, przygrzał go na patelni, zjadł i zszedł na dół do baru. Nie lubił tu zaglądać, ale trzeba było się czasem pokazać wśród ludzi, w przeciwnym razie ktoś mógłby donieść na niego w fabryce i zarobiłby czarny znaczek przy swoim nazwisku. Czasami należało także odwiedzić kasyno Hawthorne'a i postawić parę dolarów. Ken nigdy nie zdołał nic wygrać. Nikt z jego znajomych również nigdy nie wygrał; ani na wyścigach konnych, ani w kości czy w totka.

Przez dłuższą chwilę stał przed wejściem do jasno oświetlonego lokalu, w końcu zawrócił i ruszył w stronę tonących w mroku przedmieść, gnany jakimś impulsem, którego nie rozumiał i nawet nie chciał rozumieć. Miał cichą nadzieję, że jeśli stanie na wydmach i popatrzy na tonące w ciemnościach jezioro, uspokoi się trochę.

Po upływie pół godziny dotarł do pozbawionego liści zagajnika, potem minął las sosnowy, suche zarośla, pas trawy, aż znalazł się na białym piasku plaży. Odnalazł tu dwoje leżących ludzi; mężczyzna był mocno zbudowany, ciemnoskóry i przypominał posąg z hebanu, natomiast wychudzona kobieta o bardzo jasnej skórze wyglądała jak wyrzeźbiona z kości słoniowej.

Wstydliwie odwrócił się tyłem, nie chcąc oglądać jej nagości.

- Dobrze się pan czuje? - zapytał mężczyznę. - Czy mogę wam jakoś pomóc?

Leżący otworzył przekrwione oczy.

- Lepiej zostaw nas w spokoju - rzekł. - Przez nas możesz mieć tylko same kłopoty.

Oliver zaśmiał się nienaturalnym głosem.

- Kłopoty? No i co z tego?

Obcy przez chwilę mierzył go wzrokiem.

- Idź sobie lepiej i nikomu nie mów, że nas tu widziałeś. Jesteśmy wrogami Zgromadzenia.

- Ja też - odparł Oliver po krótkim zastanowieniu. - Nie uciekajcie. Wrócę tu niedługo z jakimiś ubraniami i żywnością. Później pomogę wam się przedostać do mojego mieszkania. Ja też jestem wrogiem Zgromadzenia, chociaż do tej pory nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Odszedł na dwa kroki, lecz odwrócił się jeszcze.

- Nie uciekniecie? Mówię szczerze, że chcę wam pomóc. Nie umiem pomóc samemu sobie, ale może uda mi się...

- Nie uciekniemy - odparł z wysiłkiem mężczyzna.

Oliver ruszył szybkim krokiem. Tego wieczoru z żywicznym zapachem sosen mieszała się jakaś przykra woń; Ken był już na ulicach miasta, kiedy zidentyfikował ją jako swąd płonącej ropy.

## ROZDZIAŁ XX

Lee cicho zaklęła.

- Mogłabym wstać, gdybym tylko zechciała.
- Zostaniesz w łóżku, czy chcesz tego, czy nie - odparł Charles. - Jesteś chora.
- Jestem bardzo źle wychowaną kobietą, co oznacza, że trudno mnie utrzymać w łóżku.

Możesz zapytać kogo chcesz.

- Zaraz wyjdę na ulicę i zrobię to, kochanie.

Lee usiadła w pościeli i narzuciła sobie na ramiona szlafrok Olivera.

- Znowu jestem głodna - mruknęła.

- Ken zaraz wróci. W lodówce nie zostało nic, oprócz kilku mrożonych... glist, bo niczego innego to nie przypomina. Mam je rozmrozić?

- Nie rób sobie kłopotu. Zaczekam.

- Okno! - syknął Orsino.

Lee opadła z powrotem na poduszki i ponownie zaklęła pod nosem, tym razem na siebie.

- Przepraszam. Pewnie zrobiłoby się cholernie nieciekawie, gdyby ktoś mnie zauważył i zaczął się nad tym zastanawiać.

Wkrótce wrócił Oliver z torbą pełną zakupów. Lee cmoknęła go w policzek i Ken się zaczerwienił.

- Pstrągi - szepnął.

Dziewczyna wzięła torbę z jego rąk i pobiegła do kuchni.

- Najlepszy sposób na zdobycie serca Lee Falcaro - zażartował Charles. - Jak twoje gardło, Ken?

- Dzisiaj nie czuję bólu - odparł szeptem Oliver. - Latham twierdzi, że mogę mówić tyle, ile mi się podoba. A mamy wiele do omówienia.

Odchylił poję płaszcz i wyciągnął płaską paczuszkę, którą trzymał wetkniętą za pasek spodni.

- Ukradłem to z fabryki - wyjaśnił. - Pędzle, kredki, tusz i rysiki. Wróćcie na terytorium Syndykatu w pełni legalnie, przyjaciele, z paszportami i wszelkimi niezbędnymi przepustkami.

Lee wychyliła się z kuchni.

- Już się smaży - rzekła. - Słyszałam coś o paszportach. Czy jesteś pewien, że zdołasz je podrobić?

Ken zrobił obrażoną minę.

- Osiem lat w chicagowskim Instytucie Sztuki - szepnął - trzy lata w Zakładach Oryginalnych Reprodukcji, jednaście lat pracy w Fabryce Obrazów Olejnych i Grafiki Picassa, gdzie jestem obecnie trzecim na liście w wydziale niebieskim. Chyba naprawdę możecie na mnie polegać.

- Ufamy ci, Ken. Jesteś wspaniały. Gdyby nie ta różnica wieku, wyszłabym jednocześnie za ciebie i Charlesa. A co z tymi osiłkami z Chicago? Poczekaj, odwróć rybę!

Obiad został podany i zniknął ze stołu, zanim Oliver zdążył jeszcze coś wyjaśnić, a stan jego krtani nie pozwalał mu wydobyć z siebie głosu w trakcie jedzenia.

- Trochę się uspokoiło - rzekł, gdy skończyli posiłek. - Nadal po ulicach kręcą się obcy, a uliczne patrole policyjne są bardzo agresywne, lecz dziś już nikogo nie aresztowano. Któryś z kolegów powiedział, że to wszystko to jedna wielka lipa, że statek musiał zostać uszkodzony



przez czyjaś głupotę, a Regan zginął w jakiejś bijatyce; wszyscy wiedzą, że był stuknięty, tak jak jego ojciec. Tak więc ludzie w fabryce uważają, że historyjka o parze Europejczyków została wyssana z palca. Stwierdziłem wtedy, że może być w tym sporo prawdy. - Oliver zaśmiał się cicho.

- Prawidłowo! - Charles mimo woli musiał zademonstrować swoje doświadczenie. - Jak sądzisz, Ken, kiedy mógłbyś zacząć pracę nad paszportami?

Ten przygryzł dolną wargę.

- Dziś wieczorem - odparł szeptem. - Myślę, że pierwsze próby nie będą najlepsze...  
Zobaczmy.

Lee położyła mu dłoń na ramieniu.

- Będzie nam ciebie brakowało. Nie zapomnij jednak, że wrócimy tu. Do cholery, nic nas nie powstrzyma! Wrócimy!

Oliver zaczął rozkładać na stole skradzione przedmioty.

- To bardzo trudne zadanie - szepnął ze smutkiem. - Myślę, że nie boicie się niczego, bo jesteście bogaci i silni, jak zawsze. Możecie zrobić wszystko, co według was jest możliwe do zrobienia. Ale jak chcecie rozprawić się z rządem? A ze Zgromadzeniem? Może byłoby lepiej, gdybyście pozwolili sprawom biec własnymi torami, Lee. Odkryłem, że człowiek może być szczęśliwy nawet tutaj.

- Obiecuję ci, że wrócimy - powiedziała Lee.

Oliver wyjął swoją stałą przepustkę podróżną z Michigan City do Chicago. Nie po raz pierwszy Charles popatrzył na nią zdumiony. Nie mieściło mu się w głowie, że Amerykanie muszą żyć w takim jarzmie.

- Przyjrzałem się dzisiaj dokładnie przepustce z Michigan City do Buffalo. Nadzorca ma taką, kupuje dla nas w Buffalo karolińską terpentynę. Naszkicowałem ją z pamięci, kiedy tylko miałem ku temu okazję. Mogę za nią ręczyć. Jeszcze nie teraz, będę musiał wykonać kilka szkiców i przyjrzeć się po raz kolejny oryginałowi.

Ken przypiął na desce arkusz papieru, poślinił grafion, napełnił go tuszem i zaczął kopiować ramkę ze swojej przepustki.

- Chyba nie możemy ci w niczym pomóc? - zapytała Lee.

- Możecie włączyć radio - szepnął Oliver. - W fabryce mamy je włączone przez cały dzień. Dobrze mi się pracuje, kiedy jakaś muzyka pozwala odegnąć myśli.

Lee podeszła do wielkiego zestawu Hawthorne Electric i włączyła radio. Pokój wypełniła jakaś kretyńska muzyka, Oliver mruknął i zabrał się do pracy.

Charles i Falcaro siedzieli przez pół godziny bez ruchu, słuchając sentymentalnych ballad i patrząc na pracującego Olivera. W końcu rozległ się sygnał dziennika i spiker zaczął odczytywać wiadomości, pełne rozbrajających werdyktów sądowych, informacji sportowych oraz aktualności, traktujących głównie o tym, dokąd udał się z wizytą każdy z Reganów.

Nagle...

„Lokalne władze Michigan City w Indianie powitały dziś w swoim mieście Maurycego Regana, mającego pokierować wszelkimi poczynaniami zmierzającymi do ujęcia dwójki uciekinierów z Europy, którzy w ubiegłym miesiącu na pokładzie statku „Hrabia James J. Regan” przepływającego w pobliżu Michigan City zamordowali Jamesa Regana Czwartego. Przypomnę, że Europejczycy przed ucieczką ze statku dokonali poważnych zniszczeń w przedziale reaktora. Nie wyjaśniono dotąd, skąd wzięli się oni na pokładzie, ani gdzie obecnie przebywają, lecz wkrótce tajemnica ta zostanie wyjaśniona. Maurice Regan nie jest

znany szerokiej opinii publicznej, ma jednak za sobą liczącą się karierę w departamencie administracyjnym policji w Chicago. Podejmując się kierowania akcją, pan Regan powiedział nam: „Wnioskując po śladach na plaży, możemy określić kierunek ich ucieczki, a na podstawie raportów patroli drogowych wiemy, że nie wydostali się poza granice okręgu Michigan City. Jedynym sposobem ujęcia przestępców jest otoczenie miasta szczelnym kordonem. Stworzy to, niestety, pewne niedogodności dla wielu obywateli, mam jednak nadzieję, że wszyscy zniosą je do czasu umieszczenia złoczyńców w takim miejscu, gdzie nie będą stanowić zagrożenia dla naszego społeczeństwa. Mam już plan działania, ale liczę również na pomoc mieszkańców i czekam na ich doniesienia, choć nie będę tolerował zgłoszeń różnych maniaków.”

Spiker przeszedł do odczytywania wyników sportowych. OHver odwrócił się i dał znak ręką, żeby byli cicho.

- Nie podoba mi się to - szepnął. - Nigdy nie słyszałem o żadnym Reganie w chicagowskiej policji.

- Powiedzieli przecież, że nie jest znany opinii publicznej.

- A ja nie jestem opinią publiczną. Robiłem swego czasu szereg plakatów dla policji i znam tam wszystkich. To by się zresztą zgadzało, już nieraz słyszałem o podobnych kombinacjach. Wiecie chyba, że ci ze Zgromadzenia nigdy nie przyznają się do błędów. Jeśli zatem próbują zawczasu uniknąć fali krytyki... to znaczy, że ten Regan musi stosować bardzo drastyczne środki.

Charles i Lee szybko popatrzyli na siebie nawzajem.

- Nie chcemy cię popędzać, Ken - mruknęła Lee - ale wszystko wskazuje na to, że nie mamy czasu do stracenia.

Oliver przytaknął ruchem głowy i znów pochylił się nad stołem.

- To potrwa z tydzień - rzekł.

Najcieńszym piórkiem skopiował kółka i zawijasy oryginalnego druku, które miały świadczyć o autentyczności przepustek. Do diabła, pomyślał, życie tych dwojga zależy teraz wyłącznie od czegoś tak ulotnego, jak cienkie kolorowe kreski, które rysują piórkiem na papierze. Ale po chwili nawiedziła go myśl, że jego życie także zależy od tych wzorów.

Następnego dnia Ken zabrał się do pracy z niezwykłą pasją; przegryzł tylko coś w biegu i nie chciał o niczym rozmawiać. Lee z trudem wyciągnęła z niego parę słów.

Kilka razy zapewniał, że czuje się dobrze, potem narzekał na bóle głowy, czuł drapanie w gardle, a znów po chwili dolegliwości mijały. W końcu wyznał szeptem:

- Nie chcę was martwić, przyjaciele, ale sprawa wygląda źle. W mieście pojawiły się nowe oddziały. Dzisiaj zgarnęli z ulicy dwadzieścia par... par!... żeby dokładnie sprawdzić ich personalia. Co najmniej pięćdziesięciu mieszkańców zostało wezwanych na przesłuchanie. Co panu wiadomo o tym? A co o tamtym? Ponadto zaczęli przeszukiwać mieszkania. Każdy ma donosić Reganowi, jeśli zauważy cokolwiek podejzranego, a szczególnie, czy ktoś z jego sąsiedztwa nie ukrywa dwójki Europejczyków. Tylko tyle, policja zajmie się resztą. Wszyscy w mieście zadają sobie pytanie, dlaczego aresztuje się pary rozpoznawalnych z daleka Amerykanów, jeśli poszukiwani są Europejczykami. I wszyscy powtarzają, że czegoś podobnego jeszcze nie widzieli. Więc... chyba powinienem się pospieszyć z robotą.

- Tak - odparła Lee. - Chyba tak.

Charles zajął postereunek przy oknie i ostrożnie wyglądał zza firanki.

- Spójrz na to - powiedział.

Lee podeszła do niego. Po chodniku spacerował wolnym krokiem barczysty mężczyzna.

- Mogę się założyć, że będzie wracał tą samą drogą za dziesięć minut i będzie tak łąził przez całą noc.

- Ja się nie założę - odparła Lee. - Z daleka widać, że to tajniak. Zgromadzenie nauczyło się już czegoś od swych przyjaciół zza oceanu. Nawet cholernie dużo się nauczyło. Tacy kapusie muszą łązić po całym mieście.

Wyglądali razem przez okno; mężczyzna wrócił po dziesięciu minutach. Przechodząc po raz piąty, zatrzymał parę młodych ludzi, uważnie popatrzył im w twarze i trzymając ich na muszce, zadał w gwizdek. Po chwili zabrał ich patrol; dziewczyna dostała hysterii. O drugiej w nocy tajniaka zastąpił inny, podobny osiłek o groźnym wyglądzie. Charles i Lee bez przerwy zerkali przez okno, a Oliver siedział zgarbiony przy stole, uzupełniając zakrętasz kolorowymi paskami.

Po pięciu nocach, w czasie których zupełnie nie kładł się spać, Ken ukończył dwie przepustki podróżne z Michigan City do Buffalo. Nim tusz zdążył dobrze wyschnąć, pod sąsiedni blok zajechał wóz patrolowy. Charles i Lee nie odstępowali od okna, uzbrojeni w kuchenne noże. Tamci musieli jednak sprawdzać jakiś donos, bo nie przeczesywali systematycznie mieszkania po mieszkaniu i nie zahaczyli nawet o ich budynek.

Zgodnie z instrukcjami Lee, Oliver kupił dla nich ubrania: dwa męskie garnitury na swój rozmiar. Jeden miał być dla Charlesa, drugi dla Lee. Równocześnie dziewczyna instruowała Orsino, jak ma się zachowywać na ulicy. Początkowo kwitował jej rady szaleńczym śmiechem. Lee zapewniała go, jako psycholog, że jest to zupełnie naturalne. Ken, zdumiony naiwnością Charlesa, przyznał, że opisane zachowanie nie jest niczym niezwykłym, w każdym razie na terytorium Zgromadzenia. Charles zareagował na to wybuchem wściekłości, lecz Lee szybko sprowadziła go na ziemię. W końcu Orsino wymamrotał tylko niewyraźny protest:

- A co ja mam robić, jeśli ktoś tak samo będzie odnosił się do mnie?

Lee wzruszyła jedynie ramionami i zostawiła go sam na sam z tym problemem, zajmąwszy się przycinaniem i farbowaniem włosów.

Następnego ranka pocałowała Olivera na pożegnanie.

- Spotkamy się na dworcu - powiedziała do Orsino. - Nie żegnam się z tobą.

Wyszła z mieszkania; przypominała ciemnowłosego chłopca z pobielającymi wargami. Charles zerknął przez okno. Tajniak obejrzał się za nią, lecz poszedł dalej swoją drogą.

Pół godziny później Orsino także się pożegnał z Oliverem i wyszedł.

Tego dnia Ken nie zjawił się w pracy. Nie ruszył się od stołu, szkicując w nieskończoność podobizny Lee Falcaro.

Czas, ten Wielki Kpiarz, pomyślał. Otwiera przed tobą drzwi sąsiedniego pokoju, gdzie widzisz zastawiony różnymi przysmakami stół, łowisz ponętne zapachy, mężczyźni i kobiety odwracają głowy, mile zaskoczeni twoim widokiem, i zapraszają cię, żebyś przyłączył się do tej uczty. Proszę spróbować pieczeni wołowej, jeśli jest pan bardzo głodny, albo kawioru, jeśli woli pan coś niezwykłego, czy też pieczonej alaski, jeśli wystarczy tylko deser... Proszę się przyłączyć i spróbować po odrobinie wszystkiego. Ruszasz więc w stronę tych drzwi.

Ale Czas, ten Wielki Kpiarz, usuwa ci dywan spod nóg i zatrząskuje drzwiami przed nosem. Słyszysz tylko śmiechy ludzi przy stole na widok twoich bolesnych, chociaż powierzchownych obrażeń.

Oliver powoli, chyba po raz piętnasty, naszkicował profil Lee Falcaro. Żałował, że nie ma odwagi włączyć radia i wysłuchać wiadomości. Przyszło mu do głowy, że usłyszy głos człowieka dopiero wtedy, gdy rozlegnie się łomotanie w drzwi.



## ROZDZIAŁ XXI

Orsino nie uszedł nawet stu metrów ulicą, kiedy zaczepił go umundurowany sierżant policji.

- Skąd pan pochodzi? - zapytał gliniarz, gotów w każdej chwili sięgnąć po broń.

Charles przełknął ślinę, przypominając sobie rady Lee Falcaro.

- Jestem tutejszy, sierżancie. Mieszkam w pobliżu.

- Dlaczego więc zachowuje się pan tak nerwowo?

- No cóż, sierżancie, nie co dzień ma się do czynienia z tak interesującym mężczyzną.

Naprawdę. Czy ktoś już panu mówił, że bardzo panu do twarzy w tym mundurze?

Policjant wybałuszył oczy.

- Gdybym nie był na służbie, to byś oberwał, siostrzyczko. A gdyby wszyscy nie musieli ganiać za tymi wariatami, którzy zabili pana Regana, wlepiłbym ci mandat za plucie na ulicy. Zjeżdżaj mi z drogi i nie pokazuj się więcej na oczy. Zapamiętam twoją gębę.

Charles odszedł pośpiesznie. Metoda okazała się skuteczna.

Zastosował ją po raz drugi wobec umundurowanego policjanta. Ale za trzecim razem, gdy zatrzymał go tajniak ubrany w stylu chicagowskim, dostał najpierw pięścią w zęby, a następnie kopniaka w siedzenie. Ostrzegano go, że może się spotkać z podobną reakcją.

- Bierz pod uwagę, że mogą tak zareagować - powiedziała Lee. - To jest właśnie klucz do sukcesu. Musisz ich sprowokować, żeby poczuli się urażeni, i w ten sposób na chwilę zapomnieli o swoich obowiązkach. Jest dość prawdopodobne, że dostaniesz parę ciosów, ale nie pozostaje ci nic innego, jak przystać na to. Jeśli zdołasz przejść przez miasto, sam przyznasz, że nie zapłaciłeś za życie zbyt wysokiej ceny.

Cios w szczękę został zadany niezbyt umiejętnie, a kopniak w tyłek był tylko symboliczny, jeśli nie liczyć faktu, że z jego powodu szybciej minął wejście dworca kolejowego w Michigan City.

Olbrzymi dworcowy zegar wskazywał, że do przybycia ekspresu z Chicago do Buffalo zostało piętnaście minut. Po przeciwnej stronie hali Charles dostrzegł pojedynczą szynę toru kolei, mającą niemal półtora metra wysokości. Większość z kręcących się tu ludzi była po pięćdziesiątce i prawdopodobnie jechała do Buffalo w interesach. Takim staruchom można było zezwolić na podróż na terytorium Syndykatu, zwykle nie urywali się ze smyczy i posłusznie wracali. Nieliczni mężczyźni w średnim wieku, elegancko ubrani, musieli mieć powiązania ze Zgromadzeniem dużo silniejsze od tęsknoty za wolnością. Wśród nich wyróżniał się tylko jeden młodzieniec... To była Lee, która stała oparta o filar i z napiętą twarzą udawała, że czyta Zielony Zeszyt.

Kto w tym tłumie mógł być tajniakiem? Na pewno ten silnie zbudowany facet z rozbieganymi oczkami. I ten drugi, o wyglądzie świętoszka, który spacerował i zaglądał ludziom w oczy.

Charles podszedł do automatu z książkami, odliczył drobne i wybrał „Krótką historię Zgromadzenia” autorstwa tego samego Arrowsmitha Hynde’a, z którego dezinformujących podręczników uczył się w młodości.

Bez znaczenia, pomyślał. Najważniejsze to doczekać przybycia pociągu, wsunąć odliczoną sumę do okienka, pokazać swą przepustkę przed obiektywem kamery, następnie zająć miejsce w wagonie i tyle. Chyba że pieniądze okażą się fałszywe albo przepustka podrobiona, wtedy

barierka opadnie i rozpięta się piekło. Pieniądze powinny być w porządku, natomiast przepustka... Nie istniał żaden sposób wcześniejszego jej wypróbowania, nie było nawet czasu, żeby to zrobić. Charles oceniał szanse dostania się do pociągu na dwa do jednego.

Nagle spadły one jednak do zera, kiedy w hali dworca pojawił się niski, gruby mężczyzna w towarzystwie dwóch barczystych tajniaków.

*Komandor Grinnel!*

W umyśle Orsino układanka złożyła się automatycznie w prawdziwy obraz, kiedy dwaj krążący w poczekalni agenci powitali wkraczającego Grinnela nieznacznymi skinieniami głowy. Jeden z nich odruchowo uniósł nawet rękę, żeby zaszalutować.

Zatem to Grinnel był Maurycym Reganem - tajemniczym Reganem, którego nie znał Oliver, nie znała nawet chicagowska policja. Wypożyczono tego człowieka z Marynarki Wojennej Ameryki Północnej z uwagi na to, że jako jedyny znał oboje, Charlesa Orsino oraz Lee Falcaro, mógł rozpoznać ich twarze, głosy czy sposób zachowania. Grinnel był ponadto ekspertem od przeczesywania miasta bez zbytecznego przejmowania się przepisami; był fachowcem zdolnym odpowiednio zorganizować wojskowe patrole na ulicach. Czasowo nadano mu status jednego z Reganów, by mógł swobodnie wykonać swoje zadanie.

Niski grubas z potarganymi włosami podszedł szybko do zamkniętego przejścia na peron i porozstawiał swoich ludzi, którzy zajęli posterunki z wyrazem rezygnacji na twarzach. Ich miny zdawały się mówić: Jak to się stało, że właśnie mnie przypadło takie kretyńskie, nudne zajęcie? Po co ten błyskotliwy oficer rozstawia potajemnie posterunki przed każdym odjazdem pociągu zmierzającego na terytorium Syndykatu?

Zasepiony młodzieniec, w którego przeistoczyła się Lee Falcaro, zerknął na Charlesa znad krawędzi Zielonego Zeszytu, nieznacznie skinął głową i ponownie zagłębił się w tabelach wyników ostatnich rozgrywek w Tia Juana. Lee także zauważyła Grinnela.

Pasażerowie ustawiali się przed wejściem na peron, szykując pieniądze oraz przepustki podróżne. Lee i Charles musieli także zaraz stanąć w kolejce, inaczej zostaliby sami w szybko pustoszejącej poczekalni. Nie zostawało im nic innego, jak przeczekać dobę, do następnego pociągu...

Niespodziewanie Grinnel ruszył się z miejsca. Nie ulegało wątpliwości, że zmierza do toalety. Tajniacy i dwaj goryle komandora zbili się w gromadkę i zajęli rozmową.

Charles ruszył za Grinnelem, starając się nie zwracać na siebie uwagi, i wszedł do toalety tuż za komandorem.

Ten spostrzegł odbicie w lustrze; zaczął się nagle odwracać, sięgając do kieszeni płaszcza i otwierając usta do krzyku. Błyskawiczny prawy prosty Charlesa trafił go w bok pulchnej szyi. Grinnel padł na podłogę z głową wykręconą pod nienaturalnym kątem; z kącika ust pociekła mu na koszulę strużka krwi.

- Pamiętasz Martę? - szepnął Charles, pochylając się nad trupem. - Wyrównałem rachunki.

Rozejrzał się szybko po wyłożonej kafelkami toalecie. Dostrzegł uchylone drzwi szafki sprzątaczkowej, w której w sam raz mogło się zmieścić ciało Grinnela.

Wyszedł z toalety, przeszedł przez całą halę i ustawił się w kolejce. Miał wrażenie, że ogonek ludzi ciągnie się bez końca. Lee Falcaro nie stała już oparta o filar, zauważył ją w połowie długości kolejki: wciąż ze skupioną miną wpatrywała się w gazetę. Pojedyncza szyna kolei zaczęła dygotać pod ciężarem nadjeżdżającego pociągu i zaraz zapaliło się światelko oznaczające uruchomienie automatycznego przejścia.

Charlesowi zdawało się, że wszyscy wyjątkowo marudzą przy okienku. Często na ekranie pojawiał się napis: „Proszę rozwinąć banknoty”. Kiedy Lee ze swą niedbałą pozą dotarła do odprawy, zapalił się napis: „Niewłaściwe nominały banknotów”. Stojący za jej plecami mężczyzna parsknął:

- Na miłość boską, dzieciaku! Wszyscy czekają na ciebie!

Gliniarze ledwie zwrócili na to uwagę, byli zajęci rozmową. Kiedy Charles zbliżył się do okienka, złowił uchem fragment zdania jednego z nich:

- ...może to zatrucie pokarmowe? A jak wy byście potraktowali kogoś, kto by wam włąził...?

Resztę zagłuszył brzęczyk automatycznej barierki, który oznajmiał, że może przejść.

Orsino rozsiadł się wygodnie w fotelu pneumatycznym, kiedy pociąg nabierał rozpędu, by w końcu osiągnąć prędkość niemal sześciuset kilometrów na godzinę. Napis na czołowej ścianie wagonu głosił, że następną stacją będzie Buffalo. Wkrótce zjawiała się Lee, szła z trudem, walcząc z przeciążeniem. Wreszcie zauważyła Charlesa, cisnęła Zielony Zeszyt w powietrze i rzuciła mu się w objęcia.

- To obrzydliwe! - syknął mężczyzna siedzący po drugiej stronie przejścia. - Po prostu ohydne!

- To pan jeszcze nie widział wszystkiego! - oznajmiła Lee i przywarła ustami do warg Charlesa.

Mężczyzna głośno prychnął.

- Doniosę o tym odpowiednim władzom, kiedy już znajdziemy się w Buffalo!

- Mhm! - mruknęła Lee, nie wypuszczając Charlesa z objęć. - Proszę to zrobić! Koniecznie!

## ROZDZIAŁ XXII

- Nie podobała mi się jego reakcja - stwierdził Charles w przedpokoju gabinetu F. W. Taylora. - Co prawda dość krótko rozmawiałem z nim przez telefon, ale nie podobała mi się jego reakcja. Myśli chyba, że przesadzam i robię w majtki ze strachu. Albo że zbzikowałem.

- Mogę go zapewnić, że nic z tych rzeczy - odparła ciepłym głosem Lee Falcaro. - Powołuj się na mnie, kiedy tylko zajdzie potrzeba.

Uśmiechnął się z zakłopotaniem. Otworzył drzwi i oboje weszli do środka.

Wuj Frank uniósł głowę.

- Mieliśmy was już skreślić - rzekł. - No i jak tam jest?

- Źle - odpowiedział Charles. - Jeszcze gorzej niż przypuszczałeś. To prawda, że działa u nas nielegalna siatka, która planuje zabójstwa.

- Niedobrze - mruknął starzec. - Trzeba będzie dokładnie sprawdzić grupę ochrony osobistej i narzucić im ostrzejszą dyscyplinę; częściej urządzać treningi, żeby naprawdę potrafili dobrze strzelać. Brzydzę się takimi działaniami, nie możemy jednak pozwolić, aby rząd wykańczał nas po kolei.

- Jest jeszcze gorzej - wtrąciła Lee. - Odkryliśmy ścisłe powiązania między rządem a Zgromadzeniem. Uciekliśmy z Irlandii łodzią patrolową, a zostaliśmy ujęci przez statek Zgromadzenia, tankowiec z floty Wielkich Jezior. Wracali, dostarczywszy rządowi ładunek benzyny i amunicji, a funkcje kapitana pełnił Jimmy Regan. Uciekliśmy na jeziorze Michigan i udało nam się wrócić, lecz przebywaliśmy na terytorium Zgromadzenia, wśród zwyczajnych ludzi wystarczająco długo, by się przekonać, iż rząd oraz Zgromadzenie działają ręka w rękę. Któregoś dnia wspólnie na nas napadną.

- Aha - mruknął cicho Taylor. - Już od dawna się tego domyślałem.

- Na miłość boską! - wybuchnął Charles. - Więc dlaczego nie podjąłeś żadnych działań, wuju?! Sam nie wiesz, jak tam jest. Życie na terytorium rządu to koszmar. Oni wykorzystują niewolników. A Zgromadzenie wcale nie jest lepsze. Przepisy, ograniczenia, przepustki, paszporty! Ludzie nawet nie zdają sobie sprawy, jak bardzo się ich uciska!

- Oni są nienormalni - dodała Lee. - Wręcz szaleni. Mówię to jako fachowiec. Na ulicach aż roi się od neurotyków i psychotyków. Spodziewaliśmy się tego w Europie, lecz Zgromadzenie nas zaszokowało. Musimy być przygotowani, panie Taylor. Każdy z objawami psychozy czy ostrej neurozy na terytorium Syndykatu może być potencjalnym agentem.

- Tylko niczego nie sprawdzamy, jeśli chodzi o rząd, kochanie - wtrącił z naciskiem Charles. - Ich trzeba się pozbyć. Nie potrafią sprawować władzy ani tu, ani gdzie indziej. Życie jest tam koszmarem, chociaż ludzie nie zdają sobie z tego sprawy. Poza tym zwalczają tubylców ze straszliwym okrucieństwem.

Taylor odchylił się na oparcie krzesła.

- Co zatem proponujecie? - zapytał.

- Przygotować flotę oraz silną armię - rzekł Charles.

- Wprowadzić badania psychiatryczne na szeroką skalę - dodała Lee. - Objąć obserwacją niektóre przypadki i poddać je przymusowemu leczeniu. Riveredge musi być głównym siedliskiem agentów.

Taylor pokręcił głową i stwierdził krótko:

- To nic nie da.



- To nic nie da?! - wybuchnął Charles. - Do cholery, jak mamy to rozumieć, wuju? Czy sprawa nie jest jeszcze jasna? Chcą na nas napaść, ograbić ze wszystkiego i zniewolić!

- To nic nie da - powtórzył Taylor. - Wolę to zło, które dobrze znam. Nie mamy żadnej floty, możemy uzbroić nasze statki handlowe i łudzić się, że to wystarczy. Nie mamy także regularnej armii, co najwyżej zdołamy zebrać coś w rodzaju straży obywatelskiej. Nie wchodzi też w rachubę masowe badania psychiatryczne.

- Dlaczego? - przerwała mu Lee. - Moi ludzie opracowali tak znakomite i efektywne metody...

- Proszę, pozwólcie mi skończyć. Czuję, że nie zdołam was przekonać, niemniej dajcie mi skończyć.

Najpierw zajmę się twoją propozycją, Lee. Jak wiesz, interesuję się historią, a dla historyka wyniki twoich prac są niezwykle ciekawe. Można je podsumować następująco: Badania odchyleń psychicznych załamały się po odkryciach Liebermana, lecz zaczynają odzyskiwać znaczenie po tym, jak ty wykazałaś nieprawdziwość jego twierdzeń. Sądzę, że Lieberman i jego naśladowcy nie popełnili błędu, ale ty również się nie mylisz. Po prostu uległ zmianie stan naszego społeczeństwa. Oznacza to, iż występujące kiedyś masowo neurozy i psychozy w czasach Liebermana stały się czymś tak rzadkim, że ich naukowe opisywanie straciło jakikolwiek sens, natomiast teraz, za naszego życia, Lee, znowu zaczynają się pojawiać coraz liczniej.

Dziewczyna otworzyła usta, lecz zamknęła je po chwili i wbiła wzrok w swoje palce.

- Nie będę tolerował - mówił dalej Taylor - żadnych obław, rejestrów, masowych badań, czy jakiegokolwiek innego działania wbrew zasadom Syndykatu.

- Do cholery! Przecież to sprawa życia i śmierci dla Syndykatu! - wtrącił Charles.

- Nieprawda, Charles. Nic nie może być sprawą życia i śmierci dla Syndykatu. Jeśli cokolwiek uznamy za sprawę życia i śmierci dla Syndykatu, będzie to oznaczało, że Syndykat już jest martwy; jego morale legło w gruzach, zaufanie społeczne jest mitem, a to, co nazywamy Syndykatem, jest już tylko pustą skorupą. Trudno mi z tego miejsca stwierdzić obiektywnie, czy owe zmiany się już dokonały, obawiam się jednak, że Syndykat obumiera. Jednym z symptomów jest właśnie narastająca fala neuroz. Sugestie was dwojga, którzy powinniście tchnąć optymizmem szczęśliwego, beztroskiego życia i zdawać sobie sprawę, że nie wolno nam zmieniać zasad Syndykatu, są drugim symptomem. Kolejnym jest wzrost poparcia dla Dicka Reinera, hołdującego polityce całkowitego zniszczenia rządu.

Powiedziałem już, że wolę to zło, które dobrze znam. Wiem, jakie jest nasze status quo, chociaż mam wiele powodów do obaw, że ziemia zaczyna nam się usuwać spod stóp. Może zdołamy jakoś zahamować ten proces. Uzbrowimy statki handlowe i powołamy do życia milicję. Jeśli zyskamy takie poparcie społeczeństwa, jakie mieliśmy do tej pory, opóźnimy klęskę. Gdybyśmy natomiast radykalnie odmienili życie oraz cele przyświecające Syndykatowi, stalibyśmy się wówczas tym złem, którego nikt nie zna.

Nie poprę wniosku o stworzenie floty i powołanie regularnej armii. Nie poprę jakichkolwiek restrykcji przeciwko swobodom obywatelskim, chyba że będą one dotyczyć kryminalistów. Studiujcie historię. To ona mnie nauczyła, że nie wolno w nic ingerować, że żaden człowiek nie ma prawa uważać siebie za coś tak doskonałego, by odważać się ingerować w bieg historii.

Któż wie na pewno, jaki skutek przyniosą jego działania, jeśli nie rozumie nawet motywów swego postępowania?

Możemy czcić Kromaniończyka za wynalazek łuku, a jednocześnie pomstować na niego za rozpoczęcie wyścigu zbrojeń. Możemy być wdzięczni krępyim Sumeryjczykom za sporządzenie wspaniałych zwierciadeł ze złota i odkrycie lapis lazuli, a zarazem ganić ich za grzebanie żywcem służebnic w jednej mogile ze swoją panią; dziękować Shih Huang Ti za to, że zbudował Wielki Mur, oddzielając barbarzyńską północ od południowej kultury, i pomstować na niego, bo kazał spalić wszystkie książki w Chinach. Możemy wychwalać króla Minosa za budowę toalet wodnych w Knossos i przeklinać go za przekazywanie co roku Grekom człowieka na żywą ofiarę; dziękować faraonom za długotrwały pokój i pomstować na nich za wprowadzenie niewolnictwa. Możemy być wdzięczni Grekom za nałożenie podatków, dzięki którym utrzymywali bogate przyczółki wojskowe na zachodzie, a zarazem kląć ich za prostytucję, sodomię i wojny kolonizacyjne służące zakładaniu tych baz; wychwalać Rzymian za to, że rozebrali każdy mur, który nie odpowiadał ich geniuszowi inżynierskiemu, albo przeklinać ich za słabość, z powodu której nigdy nie zdołali zerwać ze sposobem myślenia etruskich niewolników. Możemy wysławiać Żydów za odkrycie ojcowskiej ręki Boga i pomstować, że pozwolili ją poznać tylko tym, którzy cudem przeżywają operacje chirurgiczne; dziękować Justynianowi za pierwszy kodeks prawa lub przeklinać go za niezliczone zdrady, które dały początek haniebnemu tysiącleciu bizantyjskiemu. Możemy być wdzięczni kapłanom za nauki i modły, albo ganić ich za wyznaczenie granicy, za którą mogli nauczać i modlić się tylko pod groźbą spalenia na stosie.

Możemy dziękować żeglarzom, którzy nękaną głodem Europie otworzyli drogi do Nowego Świata, a zarazem przeklinać ich za syfilisa; wysławiać czerwonoskórych za uprawę kukurydzy, jedyne ratunku dla głodujących mas, albo kląć ich za tę samą kukurydzę, która najsilniej wyjaławia gleby. Możemy wychwalać plantatorów z Wirginii za najlepsze odmiany tytoniu, albo ganić ich za zostawienie po sobie czerwonych bagnisk w miejscu dawnych lasów; dziękować położnikom za wynalazek kleszczy, które złagodziły mękę porodu, a jednocześnie pomstować za przysporzenie światu tysięcy potworków przynoszących mu jedynie dalsze potomstwo. Możemy wychwalać chłopców z Czwartej Eskadry za wytępienie moskitów malarycznych na Cejlonie, albo przeklinać, że w ten sposób przyszło na świat tyłu Syngalezów, iż nawet pięć Cejlonów nie byłoby w stanie ich wyżywić; czcić ojców-założycieli za wzorowe wprawienie w ruch osiemnastowiecznej maszyny newtońskiego konstytucjonizmu, a zarazem kląć nieprzydatne piękno tego ruchu, które przetrwało wiek dziewiętnasty, dwudziesty i dwudziesty pierwszy.

Któż wie na pewno, do czego zmierza, jakie są motywy jego postępowania i jakie będą tegoż konsekwencje?

Niech socjologowie bawią się swoimi teoriami, lecz ja jestem zwolennikiem poezji. Musicie przyznać, że niewiele udało im się zdziałać w kierunku rozwiązania tego, co nazywam problemem dwóch miliardów ciał. Owa błyskotliwa nauka - niestety, po fakcie - mówi, że przed nami już kilkanaście wielkich cywilizacji pograżyło się w mrokach niebytu. Nie widzę żadnego powodu, dla którego nasza cywilizacja nie miałaby się pograżyć w tych samych mrokach śladem tamtych; ale nie widzę również żadnego powodu, dla którego my, mając tę krótką chwilę wspaniałości, nie mielibyśmy cieszyć się życiem, zbierając wszelkie radosne doznania, by móc na starość nimi się cieszyć. Nie, nigdy nie poprę idei całkowitego zniszczenia rządu i przejęcia kontroli nad Zgromadzeniem. Taka polityka automatycznie, nieuchronnie i niezwłocznie pociągnęłaby za sobą olbrzymią liczbę tragicznych zgonów i bolesnych ran; odmieniłaby nasze radosne doznania. Zgadza się, co prawda pełen obaw

i lęku, na powołanie milicji obywatelskiej, organizacji o bardzo luźnym charakterze, czysto obronnej, i będę się modlił o to, by jej powstanie nie wciągnęło nas w agresywną wojnę.

Obrzucił spojrzeniem siedzącą przed nim parę i wzruszył ramionami.

- Nie bądź taka zacięta, Lee, a ty taki ponury, Charles. Przypuszczam, że jesteście już bez reszty oddani swojej idei. Mam nawet ochotę wyciągnąć z szuflady pistolet i zastrzelić was oboje na miejscu. Domyślam się, że będziecie nawoływali do krucjaty, do przebudzenia się wszystkich mieszkańców terytorium Syndykatu. Myślicie, że losy cywilizacji zależą od was. To prawda, losy cywilizacji zależą od każdego z nas, od każdej chwili naszego życia. Jesteśmy wszyscy podmiotami w procesie dwóch miliardów ciał. W ciągu stulecia udało nam się wywalczyć prawa obywatelskie niemal dla wszystkich mieszkańców terytorium Syndykatu, długotrwały pokój oraz standard życia, jakim cieszyła się klasa średnia sprzed roku tysiąc dziewięćset cztertnastego, wzbogacony o długowieczność, lepszy stan zdrowia, znacznie wyższą moralność, większe panowanie nad przyrodą, a także pozbawiony problemów ze służbą i paru innych niedogodności. Mieliśmy kilka naprawdę wspaniałych dziesięcioleci. Jeśli spojrzycie wstecz, na historię, powinniście zadać sobie pytanie, kto przy zdrowych zmysłach pragnąłby czegoś więcej. A także inne: Kto miałby odwagę zniszczyć to wszystko?

Urwał, wpatrując się z napięciem w twarze młodych ludzi. Tak wiele mógł im jeszcze powiedzieć, lecz tylko ponownie wzruszył ramionami.

- Dziękuję wam - rzekł. - Dopóki możecie, zajmijcie się kolekcjonowaniem na swój użytek radosnych wspomnień, chociażby takich, jak badanie odruchów czy testowanie tarcia między błonami śluzowymi. Różni ludzie czerpią przyjemność na wiele różnych sposobów. Ruszajcie więc do swoich ciemnych, tajemniczych spraw; ja mam niecierpiącą zwłoki pracę.

Ale w rzeczywistości nie miał nic do roboty. Kiedy został sam, osunął się w fotelu i śmiał się w głos, aż do łez.

Wiedział bowiem, że bez względu na to, czy zwyciężą, czy przegrają, czy po prostu zaniechają swej krucjaty, Charles i Lee zajdą bardzo wysoko, nieustannie czerpiąc radość z tego, co będą robić.

**KONIEC**

\*\*\*

The logo for Bevitore, featuring the word "Bevitore" in a white serif font centered within a dark red rectangular background.

# Spis treści

[WSTĘP](#)

[ROZDZIAŁ I](#)

[ROZDZIAŁ II](#)

[ROZDZIAŁ III](#)

[ROZDZIAŁ IV](#)

[ROZDZIAŁ V](#)

[ROZDZIAŁ VI](#)

[ROZDZIAŁ VII](#)

[ROZDZIAŁ VIII](#)

[ROZDZIAŁ IX](#)

[ROZDZIAŁ X](#)

[ROZDZIAŁ XI](#)

[ROZDZIAŁ XII](#)

[ROZDZIAŁ XIII](#)

[ROZDZIAŁ XIV](#)

[ROZDZIAŁ XV](#)

[ROZDZIAŁ XVI](#)

[ROZDZIAŁ XVII](#)

[ROZDZIAŁ XVIII](#)

[ROZDZIAŁ XIX](#)

[ROZDZIAŁ XX](#)

[ROZDZIAŁ XXI](#)

[ROZDZIAŁ XXII](#)